MOC CZYTANIA | Demografia: skąd się biorą dzieci ■ Polska nie chce być wielka
Nietykalni biskupi emeryci ■ Wszystkie deale Trumpa ■ Nasi na Antarktydzie

Kraków 10 – 16 września 2025 nr 37 (3975) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl



Jak to jest być w średnim wieku

ROZMOWA Z KAROLINĄ WIGURĄ O DOJRZAŁOŚCI I NOWYCH POCZĄTKACH

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 257d49964c

REKLAMA

ALUPROF

selt by ALUPROF

PANUJ NAD KLIMATEM
PANUJ NAD KOSZTAMI

OKNA | DRZWI | FASADY | OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE



AMBASADOR

Szymon Marciniak

ALUPROF GRAMY FAIR Z NATURĄ

www.aluprof.com/dom

KS. ADAM

Boniecki: *Ksiądz i kobieta*

Nie wiem, jak to ująć, ale dzisiaj Kościół w sprawach celibatu nie jest niezłomnie surowy. Mam nawet wrażenie, że łagodność w tej materii posunął bardzo daleko. Mówiąc najprościej, kiedy ksiądz stwierdza, że droga celibatu jest nie dla niego, może ubiegać się o dyspensę i tę dyspensę zwykle – nie zawsze, nie automatycznie, ale zwykle – otrzymuje. Przestaje wtedy wykonywać funkcje kapłańskie. Dawniej było to trudniejsze. Znam przypadek, gdy ksiądz czekał na odpowiedź Watykanu dziesiątki lat. Inna sprawa, że jego podanie dziwnym trafem nie dotarło do watykańskiej Kongregacji; podejrzewam, że zostało w biurku biskupa, który miał je tam dostarczyć. Ów człowiek ostatecznie dyspensę otrzymał, po kilkudziesięciu latach oczekiwań mógł zacząć spokojnie żyć i będzie mógł spokojnie odejść z tego świata.

Jednak głośne ostatnio sprawy – o jednej z nich pisze w tym numerze Monika Białkowska – ujawniły okropny nieład w tej dziedzinie. Łatwo wręcz o wrażenie, że wszyscy księża są w to jakoś wplątani. Tymczasem jeśli z takimi sprawami miało się do czynienia, to wie się, że przypadki są różne i różnie są traktowane przez Stolicę Apostolską. Celibat księży obowiązuje w końcu z ustanowienia Kościoła (choć też nie w całym Kościele). Ale Kościół ma nad nim władzę. Z drugiej strony, ten ustanowiony przez Kościół celibat jakby się powszechnie przyjął. To „jakby” tkwi u źródeł wstrząsu wywołanego obecnymi doniesieniami – które dla Kościoła jako instytucji być może wcale odkryciami nie były. Chociaż kto wie, może były...

Różnorakie relacje księży z kobietami to problem zarazem prosty, jak i niezmiernie złożony. W wielkim uproszczeniu widzę tu kilka kategorii sytuacji. Pierwsza to zakochanie młodego człowieka, który, gotowy do największych wyrzeczeń, przeszedł seminarium, zaczął pracę jako młody wikary i raptem po raz pierwszy spotkał się u siebie z tak wielkim uczuciem. O tym można by pisać powieści. Jedną z możliwości jest tu porzucenie kapłaństwa i związanie się z kobietą – z kościelnym zwolnieniem z celibatu lub bez zwolnienia... Inna kategoria to trwanie w sytuacji podwójnej przynależności do wspólnoty i do towarzyszki życia. Taka sytuacja, oznaczająca ukrywanie swojego związku, często wiele kosztuje – głównie kobiety. Wreszcie trzecia kategoria: księża bez skrupułów, egoistycznie korzystający z każdej możliwości. Czy wręcz – o czym pisze Białkowska – manipulujący i wykorzystujący kobiety, żeby sobie takie „możliwości” kreować.

Problem jest na tyle duży i złożony, że nawet się nie kuszę na pisanie o rozwiązaniach. Jednego jestem pewien: rekrutacja do seminariów i zakonów nie powinna być tak wczesna. Rozumiem sens niższych seminariów, powinny one jednak nosić inną nazwę (bez słowa „seminarium”) i po prostu kształcić przyzwoitych ludzi. Jeśli wśród tych, którzy tam się znajdą, jest ktoś z kapłańskim powołaniem, to świetnie – ale nie należy nikomu tego sugerować. Studia przygotowujące do kapłaństwa należy zaczynać przynajmniej po kilku latach normalnej pracy lub po odbyciu innych wyższych studiów. Ktoś powie, że to marnowanie czasu, ale dobrą odpowiedzią będzie zapytanie o dojrzałość tych, którzy „nie tracili czasu” na inne studia czy pracę.

Reforma przygotowania do kapłaństwa, wyższy wiek przyjętych kandydatów oraz inne odpowiadające naszej epoce zmiany z pewnością przyniosłyby nową jakość w Kościele katolickim. ©℗



GRAŻYNA MAKARA

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.

TP W NASTĘPNYCH NUMERACH „TYGODNIKA”

MAREK RABIJ
Autobahnfreude. Polska sieć autostrad liczy już prawie 2000 km i coraz częściej stanowi obiekt zazdrości sąsiadów.

MONIKA BIAŁKOWSKA
Jak księża z archidiecezji wrocławskiej założyli związek zawodowy – i jak źle się to dla nich skończyło.

DOMINIKA JANG
Młoda Polska nuci K-pop. Za co lubimy muzykę i popkulturę z Korei Południowej?

Pytana przez **KATARZYNĘ KUBISIOWSKĄ** o to, jak to jest być w średnim wieku, socjolożka **KAROLINA WIGURA** cytuje Kierana Setiyę, profesora filozofii z Massachusetts Institute of Technology. Porównuje on ten czas do stanięcia na szczycie góry – skąd dobrze widać to, co za nami, ale i to, że po drugiej stronie jest również jakiś kres. I ta świadomość, powiada nasza rozmówczyni, weryfikuje plany, dążenia i poczucie sensu. Karolina Wigura, socjolożka, współzałożycielka „Kultury Liberalnej", znana z przenikliwych analiz polskiego życia publicznego publikowanych na łamach „Guardiana", „New York Timesa", a również i na tych – udziela nam tym razem wywiadu bardzo osobistego.

Wiek średni – chciałoby się powiedzieć: czas szczerości z samym sobą – staje się w nim punktem wyjścia do opowieści o dojrzałości, ciele, chorobie, ale chyba przede wszystkim o nieuleganiu presji, odnalezieniu osobistego języka i osobistej wolności. Mimo że to rozmowa głównie o doświadczeniu kobiet, to jako lada chwila czterdziestopięciolatek czytam ją z dużą uwagą.

Właśnie ten materiał proponujemy Państwu na okładce. Owszem, w tym tygodniu nie brak innych ważnych tematów okładkowych. Takich na przykład, jak spotkanie prezydentów **NAWROCKIEGO** i **TRUMPA** – komentuje je w tym wydaniu **OLAF OSICA**, a **PAWEŁ MUSIAŁEK** bierze je za punkt wyjścia do zadania bezlitosnego pytania o to, czy aby przypadkiem Polska nie porzuciła własnego marzenia o awansie w międzynarodowej hierarchii. „Gdy w końcu zobaczyliśmy, czym on pachnie, przestał być dla nas atrakcyjny, albo oszukujemy się, że możliwy jest awans »na skróty« – diagnozuje publicysta z Klubu Jagiellońskiego. – Chcielibyśmy korzyści wynikających z silnej pozycji, ale nie chcemy ponosić kosztów, jakie się z tym wiążą". Tematem okładkowym są też bez wątpienia **DEMOGRAFICZNE WYZWANIA**, przed którymi stoi Polska. W dziale Temat Tygodnika **MAREK RABIJ** i **PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI** analizują, dlaczego polityka na rzecz dzietności, choć jest jedną ze skrajnie nielicznych kwestii stawianych ponad politycznymi podziałami, wciąż nie działa.

A jednak warto zacząć lekturę od zaczerpnięcia inspiracji z rozmowy o osobistej wolności. Bo od niej wszystko inne się zaczyna. ©℗

MICHAŁ KUŹMIŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY



Pełniący obowiązki redaktora naczelnego, twórca podkastu „TP", współautor powieści kryminalnych i wywiadu-rzeki „Ścigając zło", autor popularnonaukowej książki „Nauka w kuchni". W „Tygodniku" od 2001 r.



21 Będę twoimi rękami
EWELINA BURDA
Jak wygląda praca asystenta osoby z niepełnosprawnością? Co powinna tu zmienić ustawa, która wciąż czeka na przegłosowanie? Oddajemy głos asystentom, którzy opowiadają, kiedy jest im ciężko i dlaczego ich praca ma sens.



28 Jedna z miliona
AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA
Późnym latem 2015 r., gdy w Europie zaczął się kryzys migracyjny, Angela Merkel powiedziała słynne słowa: „Damy radę". Odwiedziliśmy jedną rodzinę, która w tamtych latach przybyła do Niemiec. Oto jej historia.

NA OKŁADCE



76 Siwa na agorze
ROZMOWA Z KAROLINĄ WIGURĄ, SOCJOLOŻKĄ:
Przyszedł czas, w którym kobiety nie chcą już milczeć. Chcą mówić wprost o tym, jak się czują, i o tym, o czym dawniej nie wypadało im mówić. Mnie wiek średni przyniósł tę właśnie wolność.

GRAŻYNA MAKARA // KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP" // ARCHIWUM PRYWATNE // DARIUSZ GOLIK / FUNDACJA KULTURA LIBERALNA

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Dobry początek i co dalej
OLAF OSICA

7–11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Puste krzesło
PAWEŁ MUSIAŁEK: *Teraz, gdy możemy, nie chcemy być już wielkim państwem*

21 Będę twoimi rękami
EWELINA BURDA

25 Polski Jordan
PIOTR WESOŁOWICZ: *Gdyby nie Jordan Loyd, nie byłoby sukcesu polskich koszykarzy*

■ ■ ŚWIAT

28 Jedna z miliona
AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

32 Wszystkie deale Trumpa
MARTA ZDZIEBORSKA: *Prezydent USA dobrze na swojej prezydenturze zarabia*

34 Zakochani w Orkadach
PATRYCJA BUKALSKA: *Mieszkańcy tego archipelagu obawiają się presji turystycznej*

37 Próba ognia
MARTYNA LESZCZYŃSKA: *Kolejny rok z rzędu pożary dotykają Portugalię i Hiszpanię*

■ ■ WIARA

40 Kościół spokojnej starości
IGNACY DUDKIEWICZ: *Przez lata urządzali polski Kościół, doglądali interesów, kryli przestępców. Na emeryturze – wciąż nietykalni*

44 Powakacyjny reset
PIOTR SIKORA: *Duchowość: jak przywieźć z urlopu spokój?*

46 Różaniec i prysznic
MONIKA BIAŁKOWSKA: *Grooming w Kościele: manipulacja bez paragrafu*

TEMAT TYGODNIKA

SQOFIELD / SHUTTERSTOCK

12 RAPORT O DEMOGRAFII: Skąd się biorą dzieci
MAREK RABIJ, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Na rodzinę wydajemy miliardy, rodzicom oferujemy przywileje, a polityka dla dzietności to jeden z nielicznych przykładów zgody skłóconych obozów. Skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle?



■ STRONY SPECJALNE ■

38 DROGA REFORMATORA – LUTHERLAND

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
27 OLGA DRENDA **60** ELIZA KĄCKA
74 PAWEŁ BRAVO **82** TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
BLANKA BIERNAT DLA „TP”

48 Relacja czy manipulacja
ROZMOWA Z KS. JACKIEM PRUSAKIEM, PSYCHOTERAPEUTĄ: *Nie oddawaj swojego życia w ręce duchownego*

50 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

52 Wrześniowe mogiły
KRZYSZTOF PIĘCIAK: *Wciąż nie ma ostatecznych ustaleń, ilu żołnierzy Wojska Polskiego zginęło we wrześniu 1939 r. i jak się nazywali. Czy można to nadrobić?*

■ ■ NAUKA

56 Wnioski z końca świata
ROZMOWA Z AGNIESZKĄ KRUSZEWSKĄ, SZEFOWĄ POLSKIEJ STACJI ANTARKTYCZNEJ: *W Antarktyce wszystko trzeba przemyśleć*

■ ■ KULTURA

62 Nowe melodie
ANNA GACEK: *Jak 11 września odmienił popkulturę*

66 Codzienna walka
MICHAŁ SOWIŃSKI: *O twórczości Abdulrazaka Gurnaha: w naszym świecie wciąż możliwe jest odnajdywanie wartości. Nawet na gruzach dawnego życia*

69 Dziennik Bridget Grant
ROZMOWA Z GWENDOLINE RILEY, PISARKĄ

71 Polecamy

72 Jak zmieniać świat
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „One to One: John i Yoko” Kevina Macdonalda i Sama Rice'a-Edwardsa*

73 Jesień z poetą
LEKTOR *o książce Antoine'a Compagnona „Lato z Baudelaire'em”*

■ ■ PSYCHE

76 Siwa na agorze
ROZMOWA Z KAROLINĄ WIGURĄ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK” JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ JESIENNĄ OFERTĘ NA STRONIE 83

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA



DOBRY POCZĄTEK I CO DALEJ

Donald Trump mówi, że nie zredukuje wojsk w Polsce. Jeśli cięcia obejmą jednak inne bazy w Europie, to *per saldo* zaangażowanie USA będzie mniejsze, ze złymi skutkami także dla Polski. Jak będzie, dowiemy się wkrótce.

OLAF OSICA

POWYŻEJ:
Prezydent Karol Nawrocki na defiladzie z okazji Święta Wojska Polskiego z udziałem wojsk amerykańskich. Warszawa, 15 sierpnia 2025 r.

Od ponad trzech dekad każda wizyta prezydenta Polski w Waszyngtonie przypomina nam, jak silna jest wśród polskich polityków i zdecydowanej większości komentatorów potrzeba bycia docenionym i wyróżnionym przez lokatorów Białego Domu. Nie inaczej było podczas wizyty Karola Nawrockiego.

INNY KRAJ | Miłe gesty i słowa, które w kontaktach z innymi stolicami są traktowane jako drugorzędne elementy poważnej polityki (lub nawet jako puste ceremonie, mające skrywać realne problemy we wzajemnych stosunkach), w Waszyngtonie nabierają niemal magicznego znaczenia. Tak jest i pewnie długo się to nie zmieni – mimo faktu, że Polska przestała być już biednym postkomunistycznym państwem, szukającym uznania w świecie. Jesteśmy, jak słyszymy, dwudziestą gospodarką na globie, która z pieniędzy własnych podatników (wspieranych funduszami UE) wydaje prawie 5 proc. PKB na obronę, w tym na zakupy broni z USA. Otworzyliśmy granicę dla fali uchodźców z Ukrainy i przekazaliśmy (za darmo) gigantyczną ilość sprzętu, który odegrał ważną rolę w powstrzymaniu Rosji.

Ale to, co w Paryżu, Berlinie, Brukseli czy Kijowie jest używane jako retoryczna czy polityczna dźwignia, w stolicy USA staje się zaledwie przepustką do bycia zauważonym. Bo Ameryka jest wciąż mocarstwem, co ma swoje dobre i złe strony.

BEZ DRAŻLIWYCH TEMATÓW | Patrząc z tej perspektywy, wizyta prezydenta Nawrockiego nie była żadnym przełomem – co oznacza, że była to dobra wizyta. Mimo obaw o nieprzewidywalność zachowania Donalda Trumpa, który potrafi postawić swoich gości w pozycji natrętnych petentów, tutaj ryzyko takiego rozwoju wydarzeń było zerowe.

Nie tylko dlatego, że Polska od lat konsekwentnie unika tematów drażliwych dla strony amerykańskiej (jak podatek cyfrowy, rola big techów w sianiu dezinformacji czy konflikt izraelsko-palestyński), będąc zarazem zawsze otwartą na potrzeby amerykańskiego biznesu. Obec-

ny prezydent Polski był też kandydatem otwarcie wspieranym przez Trumpa w czasie naszej kampanii wyborczej jako polityk podzielający idee ruchu MAGA. Trudno zatem, aby gospodarze nie zadbali o dobrą atmosferę spotkania.

WRACA FORT TRUMP? | Wizyta przyniosła też ważną deklarację Trumpa dotyczącą pobytu 10 tys. żołnierzy USA w Polsce. Ich liczba ma pozostać na tym samym poziomie, a być może ulec nawet zwiększeniu. Przedstawiciele Kancelarii Prezydenta sugerowali, że część tych wojsk może przejść z tzw. stałej obecności rotacyjnej (raz na kilka miesięcy kontyngenty wymieniają się, by zachować ciągłość pobytu) w stronę stałej obecności. Ta ostatnia oznaczałaby zapewne budowę nie tylko koszar, ale całych osiedli i infrastruktury dla rodzin, które żyłyby w Polsce tak, jak w bazach w Niemczech czy Włoszech.

Czy tak będzie, czy to powrót do idei Andrzeja Dudy, aby zbudować Fort Trump? Czas pokaże. Na pewno lepiej mieć więcej wojska amerykańskiego w Polsce niż mniej, lub go nie mieć wcale. I lepiej, żeby mieszkali tu z rodzinami, niż przyjeżdżali sami na kilka miesięcy.

A CO Z EUROPĄ? | Biorąc deklarację Trumpa za dobry prognostyk, warto jednak spojrzeć na problem szerszej. O dalszym zaangażowaniu militarnym USA w Europie przesądzą dwa dokumenty, które wkrótce ujrzą światło dzienne: strategia obrony narodowej (NDS) i przegląd globalnego rozmieszczenia sił zbrojnych. Z przecieków wynika, że Stany mają nadać priorytet powstrzymywaniu Chin, a tym samym obecności na Indo-Pacyfiku. W tym celu „podejmą ryzyko" w Europie i na Bliskim Wschodzie – tj. zostawią tam niewystarczającą liczbę wojska i będą polegać na wsparciu sojuszników.

Na taki scenariusz wskazuje też alokacja środków na obronę w ustawie budżetowej z tego roku. Przyznaje ona dodatkowe 150 mld dolarów dla Departamentu Obrony na budowę okrętów, obronę przeciwrakietową, amunicję, drony, modernizację broni jądrowej, zabezpieczenie granic, a także na rozwój zdolności dowodzenia w regionie Indo-Pacyfiku.

Natomiast nie przewiduje ona takich środków dla innych możliwych teatrów działań wojennych, gdzie większy ciężar będzie spoczywać na sojusznikach. Co więcej, parę dni po wizycie prezydenta pojawiły się medialne przecieki, że Stany obetną fundusze na obronę m.in. krajów bałtyckich. Prezydent Estonii nie kryje, że boi się takiego scenariusza.

SKUTKI DLA WSZYSTKICH | W takim kontekście musimy patrzeć na zmiany obecności USA: z perspektywy całej Europy, a nie tylko Polski. Bo nawet jeśli kontyngent w Polsce nie zostanie zredukowany – o co w tych dniach zabiegał także minister Radosław Sikorski podczas rozmów w Pentagonie – ale redukcje obejmą stałe bazy USA w Europie Zachodniej i oddziały obecne rotacyjnie w trzech krajach bałtyckich, to *per saldo* zaangażowanie USA będzie wymiernie mniejsze – z negatywnymi skutkami także dla Polski.

Jeśli natomiast obecność USA w Polsce zostanie zwiększona np. o siły przeniesione z Niemiec, czyli w całym rozrachunku pozostanie w Europie na zbliżonym co dziś poziomie, będzie to realny wzrost zaangażowania Ameryki w bezpieczeństwo wschodniej flanki NATO.

Jak będzie, dowiemy się w ciągu kilku miesięcy. To kwestia nie tylko deklaracji Trumpa, ale głównie rozwoju sytuacji w Ukrainie, relacji USA z Rosją i sytuacji w Azji i na Pacyfiku. To tam rozstrzygnie się strategia USA na kolejne lata.

Jedno natomiast na pewno się nie zmieni: Stany prowadzą globalną grę, w której Europa, w tym Polska, nie jest podmiotem. Dlatego stawianie przez Polskę wszystkiego na sojusz z odległym mocarstwem byłoby ryzykiem, które musi być równoważone zacieśnieniem współpracy w Europie. ©

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM



Chińska parada

MARIA WIŚNIEWSKA

Xi Jinping, Putin i Kim Dzong Un w uścisku na hucznych obchodach 80. rocznicy „zwycięstwa Chin w wojnie przeciwko japońskiej agresji" – jak Pekin nazywa zakończenie II wojny światowej – to mocny obrazek. Nie do wyobrażenia jeszcze parę lat temu. Kryje się za nim umacniany sojusz na osi Pekin–Moskwa–Pjongjang. Chce on być alternatywą dla Zachodu i od początku rosyjskiej inwazji na Ukrainę wzmacnia więzi gospodarcze, polityczne i ludzkie (widok przedstawicieli rosyjskiej klasy średniej to teraz stały element krajobrazu miejskiego w Pekinie).

Wątpliwe jednak, aby ta trójka była w stanie podważyć obecny ład międzynarodowy. Choć powrót Trumpa do Białego Domu mocno osłabił wizerunek Zachodu na świecie, nadal trzyma się on mocno i w razie potrzeby mobilizuje. W obliczu zaś problemów wewnętrznych i gospodarczych Chiny, Rosja i Korea Północna raczej nie są w stanie przedstawić Globalnemu Południu wiarygodnej oferty, która skłoni kraje z tej części świata do przestawienia dyplomatycznej zwrotnicy.

Nowym elementem tej układanki jest za to zakopanie topora wojennego między Chinami a Indiami. Przyjazd indyjskiego premiera Narendry Modiego na szczyt Szanghajskiej Organizacji Współpracy w Tiencinie (odbył się on tuż przed pekińskimi obchodami), po wcześniejszych latach konfliktu i zawieszenia dialogu, pokazuje, że oba kraje są w stanie dogadać się, jeśli jest taka potrzeba.

Dla Zachodu to niebezpieczne, bo może stracić Indie, jednego z kluczowych partnerów w Azji.

Spektakularna parada wojskowa w Pekinie na 80-lecie końca II wojny światowej w Azji miała pokazać rosnącą siłę Chin i ich gotowość do inwazji na Tajwan (choć większość analityków wątpi, by miało się to zdarzyć w najbliższych latach), a także zademonstrować, że to wokół Chin skupia się teraz duża część świata. Xi Jinping widzi się niejako w roli cesarza, witającego na swoim dworze władców barbarzyńskich ludów, którzy przyjechali złożyć mu hołd.

Wiele o osobistych motywach współczesnych autokratów mówi natomiast rozmowa Xi i Putina, zarejestrowana przez mikrofony, których nie wyłączono. Putin stwierdził, że nieśmiertelność może być w zasięgu ręki dzięki postępom w biotechnologii i przeszczepom organów. Śmiejąc się, Xi odparł, że w tym stuleciu możliwe jest, by ludzie dożywali 150 lat. Marzyciel i umiarkowany realista: ten pierwszy może być niebezpieczny teraz, ale w dłuższej perspektywie groźniejszy jest ten drugi. ©



Prawica już dzieli i rządzi

MAREK KĘSKRAWIEC

Najnowsze sondaże oraz rajd Karola Nawrockiego po świecie sprawiły tak wielką przyjemność politykom prawicy, że już nie pytają, czy, ale kiedy i w jakiej konfiguracji przejmą władzę z rąk Donalda Tuska. Premier jest w defensywie, stracił energię, mówi chaotycznie, ale trudno się dziwić. Poparcie i dla niego, i dla rządu wygląda wciąż tragicznie. Pocieszać go może jedynie to, że cała KO trzyma się naprawdę dobrze, ale cóż z tego, skoro partia Tuska staje się jak PiS przed laty – zjada własnych koalicjantów, przez co nad próg wystaje dziś już tylko Nowa Lewica. Polska 2050 oraz PSL wydają się wyborcom coraz mniej istotne i potrzebne, a to sprawia, że gdyby wybory odbyły się w niedalekiej przyszłości, KO zasiadłaby w ławach opozycji.

Nowa sytuacja sprawiła, że Jarosław Kaczyński przypuścił szturm, ale nie na premiera, bo tego punktuje dziś prezydent, lecz na Sławomira Mentzena. Może się to wydawać dziwne, bo mimo różnic programowych Konfederacja pozostaje najbliższym hipotetycznym koalicjantem dla PiS. Tyle że sam Kaczyński postanowił znowu zagrać o pełną pulę i odgrzewa na naszych oczach stary podział na Polskę solidarną i Polskę liberalną. W roli przywódcy tej ostatniej obsadził Mentzena, który zresztą nie odstawia nogi – niedawno nazwał Kaczyńskiego wprost „politycznym gangsterem".

Znaczące jest, że w sporze tym nie uczestniczy w ogóle Krzysztof Bosak, drugi z liderów Konfederacji. Ani nie broni Mentzena (w wywiadzie dla Kanału Zero Bosak przyznał, że panowie nie tylko się nie przyjaźnią, ale też prawie nie spotykają), ani nie atakuje Kaczyńskiego. Może się to wydawać dziwne, ale obrazuje istniejący od dawna problem: środowiska Nowej Nadziei i Ruchu Narodowego niewiele łączy. To raczej taktyczny sojusz, który na razie przynosi obu stronnictwom korzyści. Kaczyński to wie, więc będzie z uporem grał na rozbicie Konfederacji.

Czy to się uda? Wiele zależy od nowego, potężnego gracza na prawicy, czyli prezydenta Nawrockiego. Widać wyraźnie, że Pałac – mimo obecności w nim wiernych żołnierzy PiS jak Paweł Szefernaker – nie stanie się przystawką PiS. Będzie raczej silnym i dynamicznym centrum decyzyjnym, bliskim ideowo Konfederacji. Jeśli więc na jej przyszłość i spójność ktoś miałby wpłynąć, to chyba bardziej prezydent niż prezes.

Fascynującym widowiskiem będzie ten pojedynek. Nie tylko o partię Mentzena i Bosaka, ale też o sam PiS. ©℗



MARCIN PAWLUKIEWICZ / REPORTER

Jarosław Kaczyński podczas spotkania z mieszkańcami Białegostoku. 28 sierpnia 2025 r.



Zysk z Mercosur

MAREK RABIJ

Wojny handlowe to wojny klasowe – piszą Matthiew C. Klein i Michael Pettis w głośnej książce o tym samym tytule. Autorzy wzięli w niej pod lupę mechanizmy współczesnych wojen handlowych, odkrywając ich ukryty społeczny kontekst. Obrona interesów narodowych, zwykle podawana jako przyczyna tego typu napięć między państwami, stanowi ich zdaniem jedynie dogodne uzasadnienie dla działań w obronie interesów najbogatszych. Rachunek za wojny handlowe niemal zawsze płacą najubożsi – konkludują Klein i Pettis.

Warto przypomnieć sobie tę publikację w kontekście umowy o wolnym handlu ze związkiem sześciu państw Ameryki Południowej Mercosur, którą przyjęła właśnie Komisja Europejska. Bruksela postanowiła otworzyć szerzej drzwi produktom z drugiej półkuli w reakcji na cła nałożone przez USA na produkty z UE. Umowa z Mercosur przewiduje szereg bezpieczników w postaci chociażby limitów importu niektórych produktów (np. wołowina i cukier), a nawet dopuszcza wstrzymanie importu danego produktu, gdy doprowadzi on do zbyt dużego spadku cen na rynkach europejskich. Jedno nie ulega jednak wątpliwości.

Unia otworzy się w ten sposób na rynek, z którym jej rolnictwo nie będzie w stanie konkurować kosztowo. W krajach Mercosur PKB na głowę jest dziś średnio trzy razy niższe niż w Polsce.

Umowa dotknie więc zwłaszcza tych polskich rolników, którzy wciąż gospodarują na relatywnie niewielkich areałach. Dla krajowego przemysłu spożywczego jej skutki nie będą już tak jednoznacznie dotkliwe, zyska bowiem zarówno dostęp do tanich surowców spożywczych z Ameryki Południowej, jak i do blisko 300 mln tamtejszych konsumentów.

A co z europejskimi konsumentami, którzy na co dzień nie mają nic wspólnego z rolnictwem i przetwórstwem spożywczym? Odpowiedź na to pytanie idealnie komponuje się z tezami Kleina i Pettisa. Teoretycznie tańsze surowce i większy rynek zbytu powinny oznaczać tańszą żywność, ale na spadek cen nie mamy co liczyć. Nadwyżki skonsumują producenci. Wielkim koncernom przemysłowym wzrośnie rentowność. Na otwarciu rynku Argentyny, Brazylii, Paragwaju, Urugwaju i Boliwii skorzystają także europejscy eksporterzy spoza branży spożywczej (zwłaszcza niemieccy), którzy będą mogli przekierować na półkulę południową tę część produkcji, której nie są w stanie sprzedawać w USA po wprowadzeniu ceł. ©℗

NA PUNKTY

KRZYKI W TRYBUNALE
Sędzia Trybunału Stanu Piotr Andrzejewski z rozmachem opuścił posiedzenie, podczas którego dyskutowano nad uchyleniem immunitetu I prezes SN Małgorzaty Manowskiej. Wychodząc, krzyczał na zgromadzonych i popchnął krzesło, na którym siedział jeden z sędziów.

DOWCIPY NA KONFERENCJI
„Proszę być ostrożnym z chwaleniem się rozmiarami, bo z tego są później kompromitacje" – powiedział, uwaga, premier Donald Tusk w reakcji na pytanie pracownika Telewizji Republika, który określił swoją stację mianem „największej w Polsce".

ASYSTENCI U EUROPOSŁA
„Przepraszam. Wczorajszy wpis był nieudanym żartem jednego z moich asystentów, który usunąłem natychmiast po dowiedzeniu się o jego publikacji" – napisał Robert Biedroń na platformie X. Jego wcześniejszy komentarz do wspólnego zdjęcia Karola Nawrockiego i Donalda Trumpa sprawił, że Biedroń stał się – wedle ocen ośrodka Res Futura Data House – najbardziej krytykowanym politykiem w historii polskiego internetu. ©℗



Precyzyjny papież i politycy

EDWARD AUGUSTYN

Wizyty szefów państw w Watykanie to element bieżącej polityki tak Stolicy Apostolskiej, która widzi w nich skuteczne narzędzie realizacji interesów Kościoła, jak i odwiedzających ją przywódców, którzy spotkania z papieżem wykorzystują do realizacji własnych celów.



Ubiegłotygodniowa wizyta prezydenta Karola Nawrockiego, druga po Stanach Zjednoczonych zagraniczna podróż, była jasnym komunikatem dla wyborców, że relacje z Kościołem i troska o zachowanie katolickiej tożsamości Polaków są dla prezydenta równie ważne jak bezpieczeństwo państwa.

Z punktu widzenia Stolicy Apostolskiej dużo ważniejsza była jednak o dzień wcześniejsza wizyta prezydenta Izraela, Icchaka Herzoga. Strona izraelska poinformowała, że inicjatorem spotkania był Watykan. Po zakończeniu rozmów zakomunikowano, że ich tematem było uwolnienie zakładników przetrzymywanych przez Hamas, bezpieczeństwo chrześcijan w Ziemi Świętej oraz „walka z nienawiścią i przemocą". A także, że wizyta przebiegła w „ciepłej i serdecznej atmosferze".

W szybkim i stanowczym oświadczeniu Stolica Apostolska sprostowała, że to nie papież zaprasza przywódców państw, tylko przyjmuje ich prośby o audiencję. Poinformowała też, że podczas rozmów „szczególną uwagę poświęcono tragicznej sytuacji w Strefie Gazy", a Leon XIV apelował nie tylko o szybkie uwolnienie zakładników, ale też o zawieszenie broni, dopuszczenie pomocy humanitarnej i poszanowanie praw narodu palestyńskiego, podkreślając, że „rozwiązanie dwupaństwowe jest jedyną drogą wyjścia z toczącej się wojny". Trudno też, choćby oglądając relacje z audiencji, nie odnieść wrażenia, że papież bardzo uważał, by na jego twarzy nie pojawił się choćby cień uśmiechu (na zdjęciu). W przypadku Leona XIV widać te starania aż nadto.

Poprzedni papież nie dbał o to, jak są interpretowane i wykorzystywane jego słowa. Obecny nie tylko sam mówi precyzyjnym językiem, ale też pilnuje, by w taki sam sposób mówić o nim. ©

VATICAN MEDIA



Konkurs dla szpitali był ustawiony?

MAŁGORZATA SOLECKA

Czy Ministerstwo Zdrowia „mapowało" konkurs na opiekę geriatryczną? Taki zarzut stawia dyrektor szpitala w Aleksandrowie Kujawskim, który nie dostał dofinansowania w konkursie z Krajowego Planu Odbudowy i którego tok rozumowania podzielił w ubiegłym tygodniu Naczelny Sąd Administracyjny.

Chodzi o konkurs, w którym do wzięcia było niemal 1,5 mld zł. Szpitale mogły występować o grant sięgający nawet 20 mln. Wytyczne opracowano już w 2022 r. za rządów PiS. Pieniędzy z KPO jednak wtedy nie było. Konkurs ogłoszono więc – ale nie zmieniając regulaminu – w 2024 r., zaś rozstrzygnięcia zapadły w 2025 r.

„Mapowanie" można byłoby zastąpić słowem „ustawianie" – bo dokładnie to Mariusz Trojanowski ma na myśli. Reguły konkursu były na wejściu takie, że ostatecznie wśród beneficjentów roi się od szpitali ze wschodniej ściany Polski, a na ścianie zachodniej są województwa z zerowym „stanem posiadania". To, że takie reguły ustaliło MZ w czasie rządów PiS, dziwić nie powinno – wówczas władze centralne chętnie kierowały finansowanie publiczne tam, gdzie mogły być pewne wysokich słupków poparcia. Dlaczego jednak po zmianie władzy zabrakło krytycznego spojrzenia?

Ministerstwo Zdrowia nie może przy tym zanucić: „Jak do tego doszło, nie wiem...". Bo wie doskonale. Zresztą, taka jest linia obrony resortu: „zasady i kryteria oceny były jasno określone w Regulaminie i jego załącznikach, opublikowanych w dokumentacji konkursowej na stronie internetowej naboru (...). Ministerstwo przeprowadziło trzy webinary – w każdym z nich brało udział kilkuset uczestników..." – głosi komunikat resortu opublikowany po druzgocącym w wymowie wyroku sądu i jego ustnym uzasadnieniu, w którym opinia publiczna usłyszała o braku przejrzystości kryteriów przyznawania europejskich środków. MZ powołuje się przy tym na „Regulamin Wyboru Przedsięwzięć", tymczasem NSA punktuje w swoim wyroku, że Ministerstwo Zdrowia chciało stworzyć „super akt prawny", który nie podlegałby żadnej ocenie ani przed jego zastosowaniem, ani po. Tak państwo prawa nie działa. ©

W co wierzą bezwyznaniowcy

STATYSTYKI ▪ Jedna piąta osób nieidentyfikujących się z żadną religią wierzy w życie po śmierci, a w niektórych krajach odsetek ten sięga powyżej 50 proc. – wynika z badań opublikowanych przez amerykański ośrodek badawczy Pew Research Center.

W drugiej dekadzie XXI wieku gwałtownie wzrosła liczba tzw. nonów – osób, które na pytanie ankieterów: „jaka jest twoja religia?", odpowiadają: „none" (żadna). Co ciekawe, wzrasta także ich religijność. Potwierdzają to badania przeprowadzone przez PRC w 22 krajach – 9 europejskich (bez Polski), 8 w obu Amerykach oraz w Republice Południowej Afryki, Australii, Japonii, Korei Południowej i Singapurze. Dane zebrano w ramach kilku badań przeprowadzonych w latach 2023 i 2024, w których łącznie wzięło udział 34 tys. respondentów.

Stopień wiary w życie pozagrobowe różni się znacznie wśród bezwyznaniowców w zależności od kraju: tylko 19 proc. węgierskich nonów zgadza się ze stwierdzeniem, że życie pozagrobowe „prawdopodobnie lub zdecydowanie" istnieje, podczas gdy w Peru odsetek ten wynosi 65 proc. Wiarę w Boga zadeklarowało aż 96 proc. niezrzeszonych religijnie w Brazylii, 77 proc. w RPA, 10 proc. w Australii i tylko 9 proc. na Węgrzech. W Hiszpanii 19 proc. nonów uczęszcza na nabożeństwa rzadziej niż co miesiąc, w Peru aż 59 proc. W Kolumbii i RPA co piąty bezwyznaniowiec uczestniczy w nabożeństwach co miesiąc lub częściej. We Włoszech 13 proc. osób bezwyznaniowych deklaruje modlitwę (wśród Włochów, którzy potwierdzają przynależność religijną, odsetek modlących się wynosi 85 proc.). Bezwyznaniowcy i osoby religijne nie różnią się natomiast w korzystaniu z wróżb i horoskopów. Na przykład w Meksyku 12 proc. dorosłych w każdej grupie deklaruje, że korzysta z tych metod, aby próbować przewidzieć przyszłość. W większości zbadanych krajów osoby religijnie niezrzeszone częściej uważają, że religia zachęca do nietolerancji i ma negatywny wpływ na społeczeństwo.

Z wcześniejszych badań wynika, że na wzrost bezwyznaniowości wpływ ma prywatyzacja religii, upadek tradycyjnych autorytetów oraz uznanie prawa do wyboru własnej duchowości za wyraz autentyczności. „Noni uważają, że religia i polityczny konserwatyzm są zbyt blisko siebie, są rozczarowani hipokryzją liderów oraz brakiem wrażliwości społecznej na kwestie wykluczenia oraz ludzkiej seksualności. Uważają również, że instytucje religijne koncentrują się przede wszystkim na normach i utrzymaniu władzy, a nie na duchowości i jej rozwoju" – pisał na tych łamach ks. Jacek Prusak („TP" 12/2021).

©℗ ARTUR SPORNIAK



WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

O pochodzeniu Słowian

ARCHEOGENETYKA ▪ W VI w. w Europie środkowej i wschodniej zaczęła kształtować się nowa kultura – słowiańska. Nie było jasne, czy narodziła się ona lokalnie, została sprowadzona przez populację migrującą z innych terenów, czy też była efektem zmieszania się przybyszów z tubylczymi społecznościami. Odpowiedzi nie ułatwiał fakt, że pierwsi Słowianie wiedli proste życie (budowali skromne chaty, nie ozdabiali swojej ceramiki, nie zostały też po nich żadne pisma), a przede wszystkim rzadko zabierali swoje tajemnice do grobów, skąd współczesne metody badawcze mogłyby je im wydrzeć – praktykowali kremację zmarłych.

Dzięki współpracy kilku ośrodków naukowych (także z Polski), udało się przeprowadzić szeroko zakrojone analizy genetyczne – obejmujące blisko 600 osób żyjących w interesującym nas okresie – które pozwalają rzucić światło na początki Słowian.

Jak donoszą w „Nature" Joscha Gretzinger i współpracownicy, od VI do VIII w. na tereny ciągnące się od wschodnich Niemiec po zachodnią Ukrainę i północne Bałkany faktycznie przybywała ludność ze wschodu – prawdopodobnie z terenów między Dniestrem i Donem. W części regionu doszło wówczas do zastąpienia dotychczasowej populacji – zaobserwowano wymianę nawet 80 proc. puli genetycznej, głównie na terenach Polski (zamieszkiwanej wcześniej przez ludność wywodzącą się znad Bałtyku i Skandynawii) oraz wschodnich Niemiec. Na Bałkanach zaobserwowano więcej dowodów na zlewanie się przybyszów z dotychczasowymi mieszkańcami.

Nie była to zatem migracja jednorodna. „Mieliśmy do czynienia z ekspansją wielu grup, z których każda adaptowała się i integrowała z lokalnymi populacjami na własny sposób" – napisała w komunikacie prasowym jedna z liderek badań, Zuzana Hofmanová. Gdy badaczka przedstawiła wstępne wyniki tych analiz w maju podczas festiwalu Copernicus w Krakowie, wspomniała m.in. o Łużycach, gdzie Słowianie budowali społeczności oparte na wielopokoleniowych rodzinach. Do dzisiaj widzimy tego skutki – współcześni Łużyczanie nadal zachowali wysokie pokrewieństwo genetyczne z pierwszymi Słowianami.

Autorzy badań przekonują, że to ostatnie europejskie wielkoskalowe wydarzenie, które ukształtowało strukturę populacyjną kontynentu, miało przebieg pokojowy. Gdyby chodziło o podbój, geny słowiańskie przyniesliby na nowe tereny głównie mężczyźni-wojownicy, którzy płodziliby dzieci z lokalnymi kobietami. Słowianie migrowali jednak całymi rodzinami.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

Polska kultura na Wystawie Światowej Expo 2025 w Osace



MATERIAŁY PRASOWE PAIH / FOT. A.STYKOWSKI, F.TARASIUK

KORESPONDENCJA ▪ Za nami intensywny Tydzień Polskiej Kultury na Wystawie Światowej Expo 2025 w Osace. Międzynarodowej publiczności (nasz pawilon zwiedza średnio 5-6 tys. osób dziennie) pokazaliśmy młody polski jazz (w składzie: Aga Derlak Trio, Maciej Obara Quartet, Dominik Wania, Aga Kiepuszewska, Nikola Kołodziejczyk i in.), muzykę elektroniczną i eksperymentalną pod szyldem festiwalu Unsound (Antonina Nowacka, Hania Rani, 2K88, Raphael Rogiński), malarstwo i film oraz współczesną poezję.

W przestrzeni Pawilonu Polski (za jego projekt odpowiadają Alicja Kubicka i Borja Martínez z pracowni Interplay Architects) znalazły się przygotowane specjalnie z myślą o Expo wiersze ośmiu poetów i poetek, m.in. Jacka Dehnela, Jakuba Kornhausera, Jerzego Jarniewicza, Małgorzaty Lebdy i Barbary Klickiej. Kuratorką i opiekunką tej części wystawy jest doskonale znana czytelniczkom i czytelnikom „Tygodnika" botaniczka i poetka Urszula Zajączkowska, odpowiedzialna również za projekt jednej z instalacji Pawilonu (na zdjęciu).

Pomysł na „Przednówek" zrodził się z obserwacji zmienności przyrody i procesów, jakie zachodzą przez cały rok w jednym konkretnym ekosystemie. Instalacja składa się z ponad stu przezroczystych, lekko obracających się kul, w których, niczym w kapsułach czasu, umieszczone zostały rośliny zbierane przez kilkanaście miesięcy z przestrzeni kampusu SGGW w Wołominie pod Warszawą. Zajączkowska w swoim wyborze zrezygnowała ze skończonych form, pokazując przeistoczenie, moment przemiany i to, co dzieje się w naturze pomiędzy porami roku. Nie znajdziemy tu intensywnie kolorowych kwiatów ani soczystych, wiosennych liści. Nie ma w ogóle pełni lata – są momenty tuż przed albo tuż po nim, chwile dojrzewania, przekwitania, obumierania. „Przednówek" jest osobistą opowieścią o zmaganiu się z upływem czasu i koniecznością nieustannych pożegnań.

Zebrane przez botaniczkę rośliny zasuszone zostały w żelu krzemionkowym, zachowując kształt i kolor momentu, w którym zostały zebrane (za technologię instalacji odpowiada Megi Malinowska z grupy projektowej Tabanda), a następnie zatopione w żywicy. Zamontowana na jednej ze ścian Pawilonu Polski instalacja delikatnie się porusza, podkreślając aspekt transformacji, przewodni temat wystawy, która – warto podkreślić – zaprojektowana została z dużą wrażliwością i konsekwencją.

Po przestrzeni, co istotne, oprowadzają zwiedzających studenci japonistyki z pięciu polskich uczelni, odbywający w Osace uczelniane praktyki. To także dzięki ich energii Pawilon zdaje się być w ciągłym ruchu.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA
z Osaki (Japonia)

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA



SKĄD SIĘ BIORĄ DZIECI

Na rodzinę wydajemy miliardy, rodzicom oferujemy przywileje, a polityka dla dzietności to jeden z nielicznych przykładów zgody rządzących i zarazem skłóconych obozów. Skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle?

MAREK RABIJ, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Jest nas czterech, choć w oknie wideokonferencji widać tylko trzech. Jeden przycupnął do tej rozmowy w zaparkowanym przed domem samochodzie, aby o późnej porze nie zbudzić syna, który nowy rok szkolny zaczął od zapalenia ucha. Żadna to nowość dla reszty: łącznie dorobiliśmy się czternaściorga dzieci, w wieku od wczesnoszkolnego do studenckiego. Wiemy, o czym mówimy. W końcu umówiliśmy się na rozmowę o dzietności.

My, to znaczy wyżej podpisani oraz Bartosz Marczuk i Michał Kot, autorzy książki „Jak uniknąć demograficznej katastrofy", która na dniach ukaże się nakładem wydawnictwa Prześwity. Pierwszego z nich opinia publiczna zdążyła poznać jako jednego z architektów programu 500 plus i wiceministra w resorcie rodziny w latach 2015-2018. Socjolog Michał Kot od lat zajmuje się badaniem polityki demograficznej.

– Większość moich dzieci pojawiła się na świecie, zanim powstały w Polsce pierwsze narzędzia polityki rodzinnej. Na „becikowe" się nie łapaliśmy, z urlopu macierzyńskiego żona nie korzystała, a o 500 plus nikt nawet wtedy nie myślał. Po prostu oboje chcieliśmy mieć dużą rodzinę – wyznaje Kot, ojciec piątki dzieci.

– Mój pierwszy potomek urodził się w latach 90., gdy nie tylko nie istniała żadna polityka rodzinna, ale było też ciężko na rynku pracy. Moją motywacją była otwartość na życie, biorąca się z naszego światopoglądu i wiary – dodaje Marczuk, także ojciec pięciorga.

Obaj, podobnie zresztą jak wyżej podpisani, są z tego samego pokolenia: połowy i końca lat 70. Szczytowej fazy tzw. fali demograficznego boomu czasów powojennych. Podwórek pełnych dzieci. Świata, w którym o demograficznej katastrofie dyskutowało się wyłącznie w kontekście głośnego raportu „Granice wzrostu", prognozującego błędnie, że ludzkości grozi przeludnienie. Statystyczna Polka rodziła wtedy ponad 2,5 dziecka, znacznie powyżej tzw. wskaźnika zastępowalności pokoleń.

Dziś żyjemy w innej rzeczywistości.

Chcemy więcej

Opowieść o niej wypada zacząć od informacji, która jest i dramatyczna, i budująca. Dramatyczna w sferze diagnozy tu i teraz: przeciętna Polka w wieku rozrodczym poprzestaje dziś w zasadzie na jednym dziecku. Za budujący zaś można uznać fakt, że jeden z ulubionych clickbaitów polskich portali – „Polki nie chcą rodzić" – to demograficzny mit.

Tuż po II wojnie światowej w naszym kraju zaczął się demograficzny wyż – w jego apogeum, w latach 50., rodziło się prawie 800 tys. dzieci rocznie, czyli ponad trzykrotnie więcej niż dziś. Kolejna „górka" – ta z końca lat 70. i lat 80. – nie była efektem nadzwyczajnej skłonności Polek do rodzenia, tylko rezultatem faktu, że do wieku 25-30 lat doszła wyjątkowo liczna armia naszych urodzonych po wojnie rodaczek. Innymi słowy: miał kto te dzieci rodzić. Choć przeciętna kobieta znad Wisły miała wtedy niewiele więcej niż dwójkę dzieci (mniej niż np. w pierwszej połowie lat 60.), to w sumie tych dzieci rodziło się bardzo dużo.

Z tego samego powodu kolejna niewielka „górka", pomimo trwającego już wtedy kryzysu dzietności, miała miejsce w okolicach roku 2010 – wówczas po raz ostatni w Polsce przychodziło na świat wyraźnie ponad 400 tys. dzieci rocznie. Dziś „nowych Polaków" przybywa rokrocznie ledwie 250 tys. (dane za 2024 rok), a dzieje się tak z powodu kumulacji dwóch czynników: z wieku sprzyjającego rodzeniu wyszły już wyjątkowo liczne roczniki kobiet urodzonych na przełomie lat 70. i 80., a przedstawicielki tych mniej już licznych generacji, które są w wieku rozrodczym, potomstwa mieć nie chcą.

No właśnie: czy aby na pewno „nie chcą"? Gdyby analizować sam współczynnik dzietności – czyli statystykę mówiącą, ile dzieci przypada na jedną kobietę w wieku rozrodczym – zrobiłoby się upiornie. Linia pokazująca ten wskaźnik w ujęciu historycznym, od połowy lat 80. do dziś, wygląda jak trasa upadku z wysokiego szczytu. Zaczynamy w 1984 r. od 2,4 dziecka, w okolicach przełomu roku 1989 osiągamy symboliczny pułap 2,1 (potrzebny do tzw. zastępowalności pokoleń), by następnie, w ciągu ledwie 3,5 dekady, zjechać spektakularnie do niemal nienotowanego w Europie poziomu 1,1.

Te dane nie odzwierciedlają jednak bynajmniej „niechęci do rodzenia". Przeciwnie: o ile zjawisko rozdźwięku między realiami i aspiracjami jest na świecie powszechne, to właśnie Polska – jak piszą autorzy cytowanej przez Kota i Marczuka publikacji Institute for Family Studies – „należy do niechlubnej czołówki krajów z największą luką dzietności, obok Łotwy, Estonii i Grecji w Europie, Japonii i Korei Płd. w Azji i nawet niektórych krajów afrykańskich". W tych krajach – to już komentarz autorów polskiego opracowania – „luka jest wyższa niż 1, co oznacza, że Polki mają ponad średnio jedno dziecko mniej, niż chciałyby mieć".

Coś, co w oczach komentatorów zasługuje na przymiotnik „niechlubny", dla nas – pogrążonych w dzietnościowym kryzysie – brzmi więc jak symptom nadziei. Bo równocześnie oznacza, że niska dzietność nad Wisłą to nie nasza cecha, ale raczej efekt barier, których obalenie może odwrócić trendy.

Jedną z tych barier próbujemy kruszyć od dwóch dekad. W dodatku, co ciekawe, wspólnymi siłami skłóconych do imentu politycznych obozów.

800 plus do poprawy

Symbolem tej cichej zgody jest rzecz jasna wprowadzone w 2015 r. 500 plus. Program, który ograniczył skrajną biedę rodzin wielodzietnych, ale pod względem wpływu na dzietność można go – biorąc pod uwagę wielomiliardowe nakłady, a także szumne deklaracje polityków PiS sprzed dekady – uznać za klęskę partii Jarosława Kaczyńskiego.

Pytany dziś, czy jako urzędnik nie ma poczucia porażki, były wiceminister rodziny Bartosz Marczuk próbuje bronić demograficznych efektów 500 plus. – Tuż po wprowadzeniu programu wskaźnik dzietności istotnie wzrósł: z 1,28 do 1,45 – wylicza. – Po okresie tego trzyletniego wzrostu przyszła jednak pandemia i wojna za wschodnią granicą, podkopując fundamenty naszego poczucia bezpieczeństwa i obniżając wspomniany wskaźnik.

Co innego jednak niż spór o ocenę dokonań tamtego rządu wydaje się ciekawsze: domagając się narodowej zgody wokół spraw składających się na tzw. rację stanu, coś chyba przegapiliśmy. – Jeszcze w 2001 r., gdy pojawiły się problemy z budżetem, Leszek Miller w pierwszej kolejności „ciął" po długości urlopów macierzyńskich, co dziś byłoby nie do pomyślenia – podkreśla Michał Kot, przypominając zmianę podejścia do tematu demografii, zapoczątkowaną w 2005 r. ↦

SQOFIELD / SHUTTERSTOCK

↦ Rzeczywiście: pierwsze rządy PiS przynoszą „becikowe" oraz ulgę podatkową na dzieci, zaś kadencja rządów PO-PSL to chociażby wprowadzenie Karty Dużej Rodziny, tzw. kosiniakowego czy wydłużenie urlopów rodzicielskich. Lata kolejne (po 2015 r.) to ofensywa prorodzinna „drugiego PiS-u" na czele z 500 plus (podwyższonego na koniec do 800 plus), a następnie kolejne rządy obozu Tuska. Ten nie tylko nie wywraca zastanego systemu do góry nogami, ale go rozwija, rozszerzając choćby – już pod inną nazwą – Rodzinny Kapitał Opiekuńczy.

Wspólną polską *success story* dwóch ostatnich dekad jest również rozwijana przez oba obozy infrastruktura opiekuńcza. Na polskie żłobki i przedszkola możemy narzekać, ale fakty mówią za siebie: o ile jeszcze w 2004 roku „uprzedszkolnienie" dzieci w wieku 3-5 lat wynosiło niewiele ponad 40 proc., dziś wskaźnik ten przekracza 90 proc.

Skoro jest aż tak dobrze, i polska klasa polityczna – przynajmniej jak na swoje zaniżone niczym dzietność standardy – staje tu na wysokości zadania, to dlaczego jest aż tak źle? Skoro staliśmy się liderem państw OECD w kwotach przeznaczanych na transfery finansowe i podatkowe ulgi dla rodzin, to dlaczego w innym zestawieniu – współczynnika dzietności – ciągniemy się w ogonie stawki?

Część odpowiedzi wykracza poza sferę bytową, inna część da się streścić tezą autorów wspomnianej książki: pieniędzy na rodziny wydajemy już sporo, ale nie zawsze robimy to z głową.

– Polska klasa polityczna nie dorobiła się długoterminowej, badanej na bieżąco strategii demograficznej – mówi Bartosz Marczuk. – Przykładem jest „becikowe", czyli jednorazowa zapomoga dla rodziców, na którą wydajemy ok. 100 mln zł rocznie, a która już chyba nikogo do niczego w kwestii potomstwa nie jest w stanie nakłonić.

Dlatego Marczuk i Kot proponują: zacznijmy przegląd systemu wsparcia, w tym również 800 plus. Rozważmy powrót do zasady kryterium dochodowego w przypadku świadczenia na pierwsze dziecko, a także progresję w wysokości wypłat (np. 800 zł na drugiego potomka, 1200 na trzeciego, 1500 na czwartego). A za zaoszczędzone przez wprowadzenie kryterium dochodowego środki powołajmy do życia bon mieszkaniowy. „Byłyby to pieniądze (...), które można wykorzystać na wkład własny, zapłacić nimi za zakupiony lokal lub przeznaczyć na remont/dobudowę w obecnie zajmowanym lokalu. Bon wynosiłby ok. pięciu średnich krajowych (obecnie ok. 40 tys. zł) przy zawarciu związku małżeńskiego lub po urodzeniu pierwszego dziecka, osiem średnich pensji (ok. 64 tys. zł) przy urodzeniu drugiego dziecka i 12 średnich (ok. 100 tys. zł) przy urodzeniu trzeciego i kolejnych dzieci".

System działa tak, jak jego najsłabsze ogniwo. A tym jest obecnie rynek mieszkaniowy – podkreślają eksperci, w książce zaś przytaczają dane (np. te Ministerstwa Rodziny z 2021 r.) dowodzące, że kwestia mieszkań to główna dzietnościowa bariera nad Wisłą.

„Polki nie chcą rodzić"? To demograficzny mit.

Niska dzietność nad Wisłą to nie nasza cecha, ale raczej efekt barier, których obalenie może odwrócić trendy.

„Te dzieci trzeba kupić" – piszą ze świadomością brutalności tego twierdzenia Kot z Marczukiem, proponując (obok zmian w świadczeniach i mieszkalnictwie) dwa pozostałe boki swojego – jak go nazywają – demograficznego „kwadratu warunków materialnych rodzin". Chodzi o sytuację na rynku pracy, a także jakość usług, w tym edukacji. „Choć dla wielu osób istotne będą tutaj różne czynniki – dla jednych kwestie dostępności mieszkań, dla drugich żłobek, a dla trzecich wsparcie finansowe – to ważne jest, by grać tu znowu, co powtarzamy do znudzenia, na wielu fortepianach".

Wojna płci

Problem w tym, że wielu przedstawicieli pokolenia dzisiejszych dwudziesto- i trzydziestolatków może tej melodii w ogóle nie usłyszeć. O ile osoby już będące w stałych związkach mają przeciętnie nawet do dwójki dzieci (w przypadku długotrwałych związków pozamałżeńskich to 1,8, w odniesieniu do małżeństw nawet ponad 2), niemal co trzecia zbliżająca się do wieku średniego kobieta nie ma dzieci w ogóle. Jak obliczyli Kot z Marczukiem, aż 30 proc. Polek urodzonych w latach 1983-86 pozostaje bezdzietnych. I zapewne wiele z nich już swojego statusu nie zmieni.

Autorzy książki cytują opublikowany z początkiem tego roku artykuł „Financial Times" z diagnozą współczesnej bezdzietności: o ile jeszcze w drugiej połowie XX wieku za spadek urodzeń odpowiadała głównie coraz mniejsza liczba dzieci w związkach, o tyle w wieku XXI na główną przyczynę wyrasta... brak związków. Osłabienie więzi, plaga samotności, niszczący wpływ smartfonów – to elementy opowieści znane z grubsza każdemu społeczeństwu Zachodu.

Polska ma też swoją własną opowieść: o rozjeżdżaniu się świata młodych kobiet i mężczyzn. Opowieść o różnych życiowych aspiracjach, kompletnie odmiennych światopoglądach (np. Konfederacja potrafi uzyskiwać w sondażach trzykrotnie wyższe poparcie wśród młodych Polaków niż wśród młodych Polek). I o rozjeździe rozumianym jak najdosłowniej: powszechna migracja młodych ludzi z prowincji do aglomeracji to w dużo większym stopniu domena kobiet przed trzydziestką.

Efekt? „Na obszarach odpływu pewna część mężczyzn nie może znaleźć partnerki w odpowiednim wieku, zmuszona do bezżenności, poszukiwania kandydatek zdecydowanie bardziej różniących się od nich wiekiem lub w ostateczności do wyjazdu w poszukiwaniu szczęścia osobistego. Z kolei na obszarze napływu występuje nadreprezentacja młodych kobiet i deficyt mężczyzn w odpowiednim wieku" – pisał kilka lat temu w biuletynie „Demografia i gerontologia społeczna" demograf prof. Piotr Szukalski.

Z kolei Michał Kot zauważa, że aplikacje randkowe, które teoretycznie powinny tę odległość niwelować, jeszcze ją powiększają – i to nie tylko ze względu na algorytmy celowo utrudniające zawarcie długotrwałego związku.

– Młode kobiety wybierają tam starszych od siebie mężczyzn, którzy są przez nie postrzegani jako bardziej atrakcyjni niż rówieśnicy, przez co z kolei ci ostatni czują się odrzuceni – zauważa ekspert. – Z kolei młode kobiety po przekroczeniu trzydziestki zaczynają uchodzić za mniej atrakcyjne, a ich męscy rówie-



JAN MOREK / PAP

Miejski Szpital Położniczy im. ks. Anny Mazowieckiej. Warszawa, 16 lutego 1988 r.

śnicy stają się atrakcyjni dla młodszych kobiet. W ten sposób „rozjazd płci" się pogłębia.

„Istotnym powodem niskiej dzietności i bezdzietności jest rozpad więzi społecznych" – diagnozują Kot z Marczukiem. Ale gdy przechodzą do recept i rekomendacji, zaczynają przekonywać już przekonanych. Zresztą właśnie ten problem – problem języka – wyrasta na jedną z przewrotnych barier polskiej bezdzietności.

Trud rodzicielstwa...

Nie da się zaprzeczyć, że bohaterem zbiorowej wyobraźni, reżyserowanej przez wielki biznes i jego gigantyczne budżety marketingowe, nie są wspólnoty, także te najmniejsze, rodzinne. Przekaz, który całodobowo płynie dziś z sieci i mediów społecznościowych, a punktowo wzmacniają go wzorce z filmów i telewizji, ogniskuje się na jednostce i jej pragnieniach, czasem nawet konfrontacyjnie zderzonych z potrzebami wspólnoty. Odpowiedź na pytanie, czy to jedynie reakcja na rzeczywistość, w której trwa swoisty renesans egocentryzmu, czy próba jej kreacji, wykracza już poza ramy tego tekstu.

Jedno nie ulega wątpliwości. Popkultura nie od wczoraj lubuje się w pierwszej osobie liczby pojedynczej. Mija już 21 lat od zakończenia emisji pomnikowego dzieła tego jej nurtu, serialu „Seks w wielkim mieście", który na przełomie wieków stał się manifestem wyzwolenia kobiet z kieratu obowiązków rodzinnych, ubranym w lekką formę perypetii czterech nowojorskich singielek dzielących czas między zakupy, pracę i przelotne romanse. Po drodze była Bridget Jones i jej pogoń za wielką miłością, ale niekoniecznie rodziną. Oraz jej polska kuzynka Judyta z powieści Katarzyny Grocholi, którą czytelnik poznaje dopiero jako 37-latkę w trakcie rozwodu z niewiernym mężem. I wiele innych tekstów kultury, w których ze świecą szukać rodziny ukazanej inaczej niż źródło utrapień.

– Badania pokazują, że młodzi ludzie, którzy znają w swoim otoczeniu zwyczajne, szczęśliwe rodziny, częściej sami chcą mieć dzieci. Ci, którzy takich wzorów nie mają, mogą te rodziny zobaczyć w mediach. Państwo wydaje dziś 20 mld zł na kulturę. Czy część tych pieniędzy nie powinna być kierowana na pokazywanie prawdziwego obrazu rodziny? – pyta Michał Kot.

Nie trzeba zresztą – jak on i Marczuk – nazywać siebie obyczajowym konserwatystą, aby dostrzec, że rodzinę, zwłaszcza wielodzietną, w spektaklu codzienności zdegradowano w najlepszym razie do roli statysty. Kilka tygodni temu do „Tygodnika" przyszedł list, w którym nasza stała czytelniczka poprosiła redakcję o tekst, który dla odmiany pokaże także jasne strony rodzicielstwa. Pokłosiem tego „zlecenia" był wywiad z kulturoznawczynią, badaczką dzieciństwa i matką, Anną Krawczak, która – dostarczywszy pozytywnej opowieści o własnym macierzyństwie – narzekała na brak wzorców kulturowych, które posiadanie dzieci przedstawiałyby inaczej niż pasmo znojów i wyrzeczeń. Seriale „Domek na prerii" czy „Pełna chata" to, jej zdaniem, relikty dawno minionej epoki, w której obecność dzieci w tekstach kultury była naturalna.

– Bohaterami zbiorowej wyobraźni w polskich mediach są single z błyszczących wieżowców – dodaje Kot.

Problem w tym, że pomysłu na przekonującą narrację o rodzicielstwie nie ma także strona konserwatywna.

...i rodzina na linii frontu

W 2020 r. podporządkowana PiS-owi TVP zakończyła emisję serialu „Rodzinka.pl", obecnego na antenie od 2011 r. Oficjalnym powodem stały się niezadowalające wyniki oglądalności. Tajemnicą poliszynela były jednak zarzuty od dawna wysuwane pod adresem scenarzystów przez polityków PiS i duchownych, którzy serial nazywali wulgarnym, a nawet „patologicznym".

Na czym miała polegać owa wulgarność? Otóż twórcy „Rodzinki.pl" swoich bohaterów, przedstawicieli dobrze sytuowanej klasy średniej, naszkicowali w sposób dość naturalistyczny. Serial nie stroni od pokazywania kłótni małżonków czy awantur z dziećmi. Pan domu czasem zasypia na sofie z paczką czipsów, jego żonie zdarza się wypić z koleżankami o butelkę wina za dużo, a ich trzej synowie nie dość, że bywają dla siebie wredni i notorycznie nie sprzątają w swoich pokojach, to jeszcze, wraz z wiekiem, zaczynają się interesować płcią przeciwną. Rzeczywiście, patologia obca przeciętnej polskiej rodzinie.

Krytyczne oceny serialu z prawej strony sceny politycznej idealnie ilustrują nieznośną koturnowość, z jaką obóz konserwatywny zwykł opowiadać o rodzinie. W tej narracji właściwie nie ma miejsca na codzienność, problemy dzieci i troski rodziców. Co mamy w zamian? Najczęściej wizję oblężonej twierdzy.

Polskiej rodzinie coś tu nieustannie zagraża. Tolerancja dla postaw i idei niemieszczących się w kanonie konserwatywnym jest notorycznie utożsamiana z ich promowaniem. Dzieci są więc „nakłaniane" do zmiany płci i tożsamości seksualnej. Rodzicom rzekomo odbiera się prawo do wychowywania pociech w ich wierze i systemie wartości. To swoisty paradoks, bo konserwatywna opowieść o rodzinie oblężonej nie podkreśla bynajmniej jej siły. Przeciwnie, tworzy wrażenie, że to byt anachroniczny i skazany na atrofię.

W realiach współczesnej Polski, w której z różnych powodów rozpada się już blisko 40 proc. małżeństw, bez wątpienia anachroniczna jest natomiast definicja rodziny utożsamiająca ją z zalegalizowanym ↦

↦ związkiem kobiety i mężczyzny. Nie mieszczą się w niej nie tylko dwie kobiety wychowujące wspólnie dziecko, ale nawet samotna matka. Dla niektórych przedstawicieli prawicy „odejściem od normy" jest rodzina patchworkowa czy konkubinat.

W tę narrację wpisują się świetnie autorzy „Jak uniknąć demograficznej katastrofy", strasząc z jednej strony „promowaniem kultury LGBT" i „ideologią gender", z drugiej zaś układając zestawy rad i recept dla... już przekonanych. Domagają się np. promocji małżeństw kosztem innych związków, postulując choćby utrzymanie wspólnego opodatkowania małżonków i niedopuszczanie do tego przywileju związków partnerskich.

I trudno się dziwić, zważywszy na wyłożone już na początku książki aksjologiczne *credo*. Ale z takiej opowieści dzieci się raczej nie narodzą. Wzmocni ona tylko przekonanie, że w Polsce dzieci się albo pomija, albo mówi o nich językiem niestrawnym dla dużej części społeczeństwa.

Kogo witać na granicy

O niedopasowaniu formy i treści przekazu do adresatów nie ma też mowy w przypadku opowieści polskiej prawicy o migracji, która mogłaby przecież być ostatnią nadzieją na zasypanie demograficznego dołka: konserwatyści zaprzepaścili tu być może najlepszą w dziejach Polski szansę. Polityka toczy się dziś pod dyktando antymigracyjnych haseł Konfederacji, od której bardziej konfederackie próbuje być PiS. A obóz rządzący, bezradny wobec zwrotu społeczeństwa na prawo, chwyta się tej narracyjnej brzytwy niczym tonący. Niemal 60 proc. Polaków popiera zawetowanie przez prezydenta Nawrockiego nowelizacji ustawy o pomocy obywatelom Ukrainy. Trzy lata po frontalnym ataku Rosji na naszego sąsiada jesteśmy więc w zupełnie innym miejscu, jeśli chodzi o społeczne emocje. Bardzo przydałby się teraz konstruktywny przekaz promigracyjny.

> Festiwal ksenofobii, który trwa nad Wisłą, może zniechęcić wielu imigrantów. Wtedy marzenie o czterdziestomilionowym narodzie dołączy do innych polskich pobożnych życzeń.

– Pod tym względem jesteśmy chyba bliżej lewicy niż prawicy, bo uważamy, że to, co robią teraz politycy, jest wbrew interesom Polski – podkreśla Bartosz Marczuk. – W sytuacji, w której mamy problem z dzietnością, opowiadanie, że demograficznie „sami sobie poradzimy", jest nieodpowiedzialne.

A do tego spóźnione. Zwolennicy „Polski dla Polaków" leją dziś krokodyle łzy za krajem i społeczeństwem, które już nie istnieje, bo nad Wisłą mieszka i pracuje ponad 2,5 mln cudzoziemców. Choć nadal nie plasujemy się w czołówce najbardziej atrakcyjnych kierunków migracyjnych, to dla obywateli Indii, Bangladeszu, Nepalu, Filipin czy Kolumbii stanowimy cel już na tyle pożądany, by swoją liczebnością nad Wisłą zaczynali tworzyć zalążki lokalnej diaspory.

Niestety, polska debata o migracji toczy się w pełnym oderwaniu od tych realiów. Nie szuka odpowiedzi na pytanie, jakiej migracji nam trzeba. Jej sens sprowadza się do licytacji, kto głośnej wykrzyczy „nie". *Votum separatum* zgłasza jedynie polski biznes, który nie ukrywa, że chętnie ściągnąłby do nas nawet cztery miliony gastarbeiterów.

Marzenia Gomułki

Antymigracyjne wzmożenie w Polsce to typowa reakcja obronna społeczeństwa, które od stuleci było dawcą migracji, po czym w ciągu ledwie kilku lat stało się jej biorcą. Szkoda tylko, że w jego epicentrum znaleźli się Ukraińcy, których kulturowo, religijnie, a nawet językowo niewiele dzieli od Polaków.

– Ta imigracja naprawdę nam się udała i powinniśmy zrobić wszystko, by tych ludzi zatrzymać, nie tylko dlatego, że mają ekstremalnie wysokie wskaźniki zatrudnienia. Nie mamy z nimi problemów, także jeśli idzie o getta czy kryminalne zachowania – zauważa Kot.

Możliwe, że w kwestii ukraińskiej nie wszystko jeszcze stracone. Wątpliwe, by w kompasie nastrojów społecznych igła znów wychyliła się tak mocno w stronę proukraińskich sympatii, jak wiosną 2022 r., ale nie musi też zatrzymać się w miejscu, które wskazuje obecnie. Być może młodzi Ukraińcy, którzy dziś chodzą do polskich szkół, za kilka lat poczują silniejszą więź z naszym krajem niż z ojczyzną rodziców.

Niestety, nie da się równocześnie wykluczyć, że festiwal ksenofobii, który trwa nad Wisłą, zniechęci do pobytu w naszym kraju wielu imigrantów. Wtedy marzenie o czterdziestomilionowym narodzie, które pałęta się po zakamarkach rodzimej myśli politycznej mniej więcej od czasów Gomułki, będzie musiało dołączyć do innych polskich pobożnych życzeń.

W realiach przeświadczenia o „końcu historii", gdzie wszystkie napięcia miał znosić wolny rynek pospołu z liberalną demokracją, dane ludnościowe mogły być jeszcze jedną kategorią statystyczną. W świecie, który zaczyna negować nie tylko wolny handel, ale nawet zasady pokojowego współistnienia, pytanie, czy za dwie dekady będzie nas 33 czy 43 miliony, zaczyna brzmieć już jak pytanie egzystencjalne.

©℗ MAREK RABIJ, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny (pełniący obowiązki): MICHAŁ KUŹMIŃSKI
Zastępczyni red. naczelnego: EWELINA BURDA
Redakcja: www.tygodnikpowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.
Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów: www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny





ALEKSANDER MAŁACHOWSKI / PAH x2

Zdjęcia z Kotliny Kłodzkiej, 2024 r.

Ślad po wodzie

Wrzesień 2024 roku przyniósł największą powódź w historii Kotliny Kłodzkiej. Rzeki wystąpiły z brzegów, zostawiając po sobie przerażające obrazy: zalane domy, zerwane mosty, podwórka pełne gruzu i błota.

Woda zabrała wiele, ale pokazała też siłę wspólnoty i przywiązania do miejsca. Ślad po tym wydarzeniu pozostanie – nie tylko w krajobrazie, ale, przede wszystkim, w pamięci osób, które zdecydowały się tam zostać.

KAPITAN NA STATKU

– Tu się urodziłem i tu umrę. Jak kapitan na statku – mówi Jan Bajcar, rolnik ze Ścinawki Dolnej. Jego dom stoi zaledwie 10 metrów od rzeki. To nie była pierwsza powódź w jego życiu – przeżył ich już cztery. W 2024 roku znów obserwował przez okno, jak woda podchodzi pod fundamenty. – Piwnicę zalało po sufit. Ale to wszystko do naprawienia. Ja jak widzę to, co się dzieje w Ukrainie, to bardziej współczuję tamtym ludziom. Płaczę, jak na to patrzę – dodaje.

Zwierzęta udało się uratować – nawet pies sam otworzył sobie ogrodzenie. Najpierw przyjechała rodzina, potem strażacy. – Gdy przychodzi pomoc, to rodzi się takie uczucie, jakby coś z ciebie zeszło – przyznaje. Zapytany, czemu nie chce się wyprowadzić, odpowiada bez wahania: – Nie zostawiłbym tego wszystkiego. Gdy widzę spiętrzającą się wodę, nie uciekam.

SOŁTYSKA W ŚRODKU KATAKLIZMU

W Radochowie nowa sołtyska Agnieszka Rygielska musiała w kilka godzin stać się liderką działań kryzysowych. Organizowała punkty pomocy, wysyłała wolontariuszy, odbierała telefony o trzeciej nad ranem. – Powódź nauczyła mnie, że dam radę – mówi. Choć jej własny dom stał w wodzie, najpierw zajmowała się innymi. – Spisywaliśmy ze strażakami, komu czego brakuje: tutaj wolontariuszy do zbicia tynku, tam środków do dezynfekcji, gdzie indziej dresów. Wspólnota była niesamowita – wspomina.

Dziś, choć pola wciąż zarastają chwastami, a lęk powraca z każdym większym deszczem, mieszkańcy nie wyobrażają sobie życia gdzie indziej. – Nie wiem, co trzyma tu ludzi. Może widok na góry, zachody słońca...? To, że każdy kogoś zaczepi i zagada? – zastanawia się sołtyska.

TRZECIA POWÓDŹ W ŻYCIU

W Trzebieszowicach Paulina Bagińska ratowała dom i Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Lądeckiej, które prowadzi. – U nas woda sięgnęła pół metra, ale u rodziców metr sześćdziesiąt. Prawie wszystko musieli wyrzucić – opowiada. To jej trzecia wielka powódź, dobrze pamięta rok 1997 i 2010.

Tym razem fala przyszła nagle, po pęknięciu wału. – Czułam się jak na Titanicu: tam, gdzie byłam, grała muzyka, a kawałek dalej ludzie byli ewakuowani – wspomina. Dwa dni nie miała kontaktu z rodziną. Choć tamten czas kosztował ją wiele, nie myśli o wyprowadzce. – To są piękne tereny, nasza polska Toskania. Czuję tutaj *genius loci*. Jesteśmy związani nie tylko z własną rodziną, ale też z tymi, którzy byli przed nami – dodaje.

Paulina jest animatorką kultury, reżyserką, aktorką lalkową. W budynku obok domu powstaje sala ze sceną, gdzie Towarzystwo będzie prowadzić działalność teatralną. – Cała nadzieja dla ludzkości jest w tym, żebyśmy wrócili do lokalnych społeczności, do małych wspólnot – podkreśla.

ŚLAD PO WODZIE. ROK PO POWODZI W POLSCE

Takich historii na Dolnym Śląsku są dziesiątki. Zostały spisane przez pracowników Polskiej Akcji Humanitarnej, którzy dotarli z pomocą do blisko 30 tys. poszkodowanych w 101 miejscowościach. Zapewnili nie tylko pomoc rzeczową, ale i psychologiczną. Organizacja w rok po katastrofie nadal udziela długofalowego wsparcia osobom prywatnym i instytucjom.

Pamiątką tych wydarzeń jest wystawa

Ślad po wodzie. Rok po powodzi w Polsce,

którą do 4 października 2025 r. można oglądać na placu Centralnym (obok Pałacu Kultury i Nauki) w Warszawie. Zdjęcia wykonał Aleksander Małachowski (@hashtagalek).

ZAPRASZAMY!

pah

Polska Akcja Humanitarna

MATERIAŁ PROMOCYJNY

KRAJ

PUSTE KRZESŁO

Polacy długo marzyli o awansie w międzynarodowej hierarchii.
Ale wtedy nie było ku temu zasobów i zewnętrznych warunków.
Dziś pojawiło się i jedno, i drugie,
ale nie ma już woli, by marzenia realizować.

PAWEŁ MUSIAŁEK



Niestety, takie wnioski są przedwczesne. Relacje bilateralne Warszawy z Waszyngtonem są bardzo ważne ze względu na kluczową rolę USA dla bezpieczeństwa Polski i Europy, ale to nie znaczy, że uczynią nas rozgrywającymi choćby w naszym regionie. Przy stole, gdzie zapadają kluczowe decyzje, Polska siedzieć nie będzie.

Wizyta Nawrockiego w Waszyngtonie, podczas której Trump potwierdził obecność wojsk USA na naszej ziemi, medialnie przykryła inną wizytę w Białym Domu. Miało do niej dojść ledwie dwa tygodnie wcześniej, ale na miejsce nie dotarł ani Karol Nawrocki, ani Donald Tusk. Kancelarie prezydenta oraz premiera przerzucały się później odpowiedzialnością za tę absencję, a wielu komentatorów dało się wciągnąć w dyskusję, po aptekarsku rozliczając winę obu stron. Niezależnie od finalnego werdyktu, częstą konkluzją było podkreślenie fatalnych konsekwencji rosnącej polaryzacji na linii rząd–prezydent, która wykluczyła Polskę z ważnej debaty liderów Zachodu w Waszyngtonie.

Inni komentatorzy uznali, że nieobecność naszego reprezentanta dowodzi czegoś jeszcze gorszego: wypadnięcia Polski z dyskusji o wojnie na Ukrainie i międzynarodowym porządku po jej zakończeniu. Przestaliśmy być na tyle istotni, aby warto było z nami uzgadniać kluczowe kwestie.

Zmęczeni Ukrainą

Brutalna prawda jest jeszcze gorsza. Polska sama przekonuje światowych liderów, że nie jest przesadnie ważna. W Waszyngtonie obok Zełenskiego nie było Tuska czy Nawrockiego nie dlatego, że nikt nas nie zaprosił, ale dlatego, że sami nie chcieliśmy tam jechać. W sytuacji, w której wielu przywódców państw europejskich dałoby wiele, by znaleźć się tego dnia w Białym Domu, nasi liderzy uznali, że takie spotkanie nie jest warte, by się o nie starać. A przecież gdyby jeszcze niedawno ktoś zapytał, czy powinniśmy skorzystać z okazji do dyskusji w wąskim gronie kluczowych polityków świata, to pewnie każdy z nas by odpowiedział, że taka wizyta jest nie tylko prestiżowa, ale wręcz konieczna w czasach, w których ważą się losy konfliktu zmieniającego międzynarodowy ład i wpływającego na nasze bezpieczeństwo.

Wszystko to pokazuje, jak wiele się w Polsce ostatnio zmieniło – w konsekwencji trzech powiązanych ze sobą procesów, które łącznie można opisać jako „zmęczenie Ukrainą". Po pierwsze, odnosi się ono do ukraińskich uchodźców. Wielu Polkom i Polakom fakt przyjęcia tak licznej rzeszy osób z zagranicy zaczyna doskwierać. Czasami są to realne doświadczenia, kiedy indziej zasłyszane, a najczęściej jest to lęk nie tyle o teraźniejszość, co o przyszłość – widać w nim obawę, że Polska może stać się państwem migracyjnym na wzór krajów Europy Zachodniej.

Po drugie, widzimy ponadpartyjne rozczarowanie administracją Zełenskiego. Zaczynając od eksplozji ukraińskiej rakiety w Przewodowie, przez spór o rolnictwo i transport, a skończywszy na polityce historycznej i ekshumacjach na Wołyniu – tematy te mocno rozczarowały Polaków oczekujących wdzięczności ze strony Kijowa.

Po trzecie wreszcie, zmieniają się nasze postawy wobec samej wojny. O ile na początku byliśmy w awangardzie obozu „sprawiedliwych", domagających się bezkompromisowego wsparcia dla Ukrainy i takiej samej presji na Rosję, o tyle teraz Polacy dołączyli do obozu „spokoju", który na tyle zmęczył się wojną, że chciałby ją zakończyć – nawet jeśli warunki nie będą satysfakcjonujące dla Kijowa.

Te trzy procesy spowodowały w ostatnim czasie wzrost nastrojów jeśli nie antyukraińskich, to przynajmniej ukrainosceptycznych. To właśnie one sprawiły, że w kampanii prezydenckiej kolejni kandydaci prowadzili zawody, kto bardziej zdystansuje się od Ukrainy. Jak silny był to proces, świadczy pomysł Rafała Trzaskowskiego (europejskiej i progresywnej twarzy liberałów), aby ograniczyć ukraińskim uchodźcom świadczenie 800 plus.

Kunktatorski dystans

Mając na uwadze społeczne emocje, rząd Tuska tuż po rozpoczęciu europejskiej dyskusji o gwarancjach bezpieczeństwa dla Kijowa jednoznacznie przekreślił obecność polskich żołnierzy na Ukrainie. Co ważne, deklaracja ta była zdecydowana, bez żadnego „ale", aby nie dać przestrzeni do nadinterpretacji w trwającej wówczas kampanii. W efekcie inni kandydaci na prezydenta, z Nawrockim na czele, zaczęli ulegać presji i dołączać do tego stanowiska. Podobnie zrobiły stojące za nimi partie polityczne. W efekcie Polska, będąca wcześniej w awangardzie wsparcia dla Ukrainy, zaczęła być w awangardzie dystansu i kunktatorstwa.

Pojawił się klimat, w który świetnie wpasowałaby się Ewa Kopacz ze swoją odpowiedzią na pytanie o reakcję Polski na rosyjską napaść na Ukrainę w 2014 r. Powiedziała wtedy, że Polska powinna zachować się „jak rozsądna polska kobieta. Nasz kraj, nasz dom, nasze dzieci są najważniejsze". Ponad dekadę temu infantylna wypowiedź byłej premier była wyszydzana. Dziś wpisałaby się w klimat epoki, w której wielu Polaków uwierzyło, iż najlepszym sposobem na trudy życia jest ucieczka od rzeczywistości. Niczym małe dzieci, które chowają się pod kołdrę wierząc, że jeśli niebezpieczeństwa nie zobaczą, to ono po prostu zniknie.

Co istotne, w toczącej się dyskusji o gwarancjach dla Ukrainy zdecydowana większość państw nie stawia kropki nad „i". Wielu liderów podkreśla, że wszystko zależy od finalnych ustaleń z Rosją, których nie ma. Nie chcą zobowiązywać się do działań, które okażą się niemożliwe z uwagi na presję społeczną. Wielu też zdaje sobie sprawę, iż choćby z przyczyn czysto taktycznych nie ma sensu deklarować twarde „nie". Niewiele to przyniesie korzyści, a gwarantuje natychmiastowe odejście od stolika.

Niestety, Polska postanowiła już na wstępie wypisać się z rozmów o gwarancjach dla Ukrainy, choć nikt nie oczekiwał, byśmy deklarowali konkretną liczbę żołnierzy. Ba, nikt nie wymuszał nawet deklaracji, że polscy żołnierze tam w ogóle pojadą. Polska mogła zrobić to, co zrobiła większość państw – nie wysyłać żadnego komunikatu i czekać na rozwój sytuacji. W obliczu zbliżania się Europy do konkretnych rozwiązań moglibyśmy znaleźć rozsądne, alternatywne wyjście, np. wysłać polskich żołnierzy do państw bałtyckich, aby zastąpić stacjonujące tam oddziały z państw zachodnich – one zaś pojechałyby na Ukrainę.

To tylko przykład konstruktywnego podejścia, w którym można było zaproponować inną formę wkładu w proces budowy nowego ładu w Europie. Jednak ani polski rząd, ani opozycja, ani prezydent takiej oferty nie przedstawili, bo nie chcieli. Z obawy, że każda forma deklaracji ↦

Karol Nawrocki i Donald Trump podczas wizyty prezydenta Polski w Stanach Zjednoczonych. Waszyngton, 3 września 2025 r.

CNP / INSTAR / EAST NEWS

↦ zostałaby odebrana w Polsce jako „proukraińska" i naraziłaby polityków na negatywne konsekwencje, także podczas wyborów.

W takich okolicznościach trudno się dziwić, dlaczego nikogo z Polski nie było obok Zełenskiego w Białym Domu. Ani Nawrocki, ani Tusk nie chcieli uczestniczyć w spotkaniu, na którym mogło paść niekomfortowe pytanie ze strony Trumpa, co każdy z obecnych „kładzie na stół". Niezręczna cisza, jaka musiałaby zapaść w takiej sytuacji, spowodowała, że polscy liderzy polityczni postanowili zostać w domu.

Gdy ambicje rodziły decyzje

Niedoszłe spotkanie nie było fundamentalne dla losów wojny. Nie zapadły na nim kluczowe decyzje. Zresztą, takich spotkań będzie więcej, bo negocjacje Ukrainy z Rosją to proces długi, skomplikowany i obfitujący w spotkania w różnych formatach. Na zjazd w Waszyngtonie należy jednak spojrzeć jak na soczewkę, w której skupia się problem dotyczący nie tylko polskiej dyplomacji, ale przede wszystkim – polskich ambicji.

Wielu w tym zjawisku widzi winę klasy politycznej. Gdyby była bardziej dojrzała i dalekowzroczna, byłaby w stanie podjąć dojrzalszą decyzję. Choćby taką, jak w 2001 roku, gdy postanowiono wysłać polskich żołnierzy do Afganistanu, czy w roku 2003, kiedy posłano ich do Iraku. Obie te operacje były niepopularne, a jednak w polskich elitach – zarówno postsolidarnościowych, jak i postkomunistycznych – dominowało przekonanie, że trzeba podjąć „męską" decyzję. Po latach wiemy, że operacje te były poważnymi błędami Stanów Zjednoczonych, ale nie Polski. Dzięki wysłaniu żołnierzy nasza pozycja na arenie międzynarodowej wzrosła, tak samo jak znaczenie dla USA – nie mówiąc o cennym doświadczeniu polskiego wojska. Z pewnością dużo trudniej byłoby starać się o amerykańskich żołnierzy w naszym kraju, gdyby Polska odmówiła wsparcia wtedy, kiedy Amerykanie go potrzebowali.

Te czasy minęły. I pewnie w dużej mierze są za to odpowiedzialni politycy. Utknięcie w polaryzacji i sondażach pozbawiło ich wszelkich zdolności do gry „pod wiatr". Niemniej koncentracja na politykach jest zbyt łatwą wymówką i ucieczką od prawdziwego źródła problemu. Politycy w państwach demokratycznych jedynie odpowiadają na popyt, który zgłaszają wyborcy. Ci w Polsce zaś nie sygnalizują zapotrzebowania na „ofensywną" politykę zagraniczną. Wręcz przeciwnie, żyjemy w czasach mocno „defensywnych".

Mało kto łączy znaczenie z pozycją płatnika netto. A to właśnie fakt dawania czegoś od siebie jest podstawowym mechanizmem budowy własnej pozycji.

Polska nie będzie się liczyć, jeśli tego nie zrozumie.

Awans rozmieniony na drobne

Polacy od lat marzyli o awansie w międzynarodowej hierarchii. Po sukcesie gospodarczym i społecznym wydawało się, że przyszedł czas na awans międzynarodowy, o który dotychczas było trudno. Polska przez lata była przecież petentem proszącym Zachód o różne usługi i zasoby; najpierw prosiliśmy o umorzenie pożyczek zagranicznych, potem o wpuszczenie do UE i NATO, następnie o żołnierzy amerykańskich i NATO-wską infrastrukturę, w końcu o unijne pieniądze. Prosiliśmy, niewiele mając w ofercie. Dlatego nasze relacje z kluczowymi państwami były mocno asymetryczne. Do tego Polska widziała od zawsze zagrożenia tam, gdzie wpływowi gracze nie chcieli ich dostrzec. W efekcie trudno było wpływać na politykę międzynarodową z pozycji outsidera, który odgrywa rolę kamienia w bucie zachodniego mainstreamu.

Po 24 lutego 2022 r. sądziliśmy, że wiele się zmieniło. Jakkolwiek obrazoburczo by to nie zabrzmiało, wojna na Ukrainie podniosła automatycznie znaczenie Polski. Fakt bycia potężnym hubem pomocowym, przyjęcie ponad miliona uchodźców, aktywna polityka, a przede wszystkim przesuwanie się stanowisk europejskiego mainstreamu na pozycje Polski – spowodowały, że zaczęliśmy dyskutować o awansie. Fakt, że definitywnie zamknęliśmy rozdział fukuyamowskiej wizji „końca historii", gdzie liczy się przede wszystkim gospodarka, a weszliśmy z futryną w świat starcia cywilizacji Huntingtona, gdzie liczy się głównie bezpieczeństwo – sprawił, że Polska automatycznie dostała w nowym rozdaniu bardzo dobre karty. Ponadpartyjny konsensus wokół wysokich wydatków na wojsko spowodował z kolei, że pozycja Polski w NATO stała się nieporównywalna z pozycją Polski w UE. Kluczowe dla naszej roli było to, że przesłaliśmy Ukrainie znaczącą pomoc, robiąc to zdecydowanie i szybko. Po raz pierwszy w najnowszej historii przestaliśmy być biorcą zasobów, a staliśmy się ich dawcą, dostrzegając zarazem korzystne efekty.

Polska okazała się fundamentalnym państwem na początku wojny, ale późniejsze okoliczności spowodowały, że sukces ten nie był trwały. Rozmieniliśmy go na drobne.

Paradoks polega na tym, że Polacy długo marzyli o awansie w międzynarodowej hierarchii. Na konferencjach różnych think tanków kwestia naszego zagrania w wyższej lidze była centralnym zagadnieniem od wielu lat. Wszyscy od prawa do lewa mieli poczucie, że stać nas na więcej. Ale wtedy, gdy mieliśmy marzenia, nie było ku temu zasobów i sprzyjających zewnętrznych warunków. Dziś pojawiło się i jedno, i drugie, ale nie ma już woli, by marzenia realizować.

Liga mistrzów musi zaczekać

Dlaczego tak się stało? Wydaje się, że nie jesteśmy mentalnie gotowi na awans. Gdy w końcu zobaczyliśmy, czym on pachnie, przestał być dla nas atrakcyjny, albo oszukujemy się, że możliwy jest awans „na skróty". Chcielibyśmy korzyści wynikających z silnej pozycji, ale nie chcemy ponosić kosztów, jakie się z tym wiążą. Tymczasem przywództwo, także polityczne, nie polega tylko na korzyściach. Świetnym dowodem są Stany Zjednoczone. Bez wątpienia przez lata były beneficjentem systemu światowego, który stworzyły, ale jednocześnie ponosiły duże koszty jego utrzymania, choćby poprzez zapewnienie bezpieczeństwa. Innym przykładem są Niemcy, które czerpią ogromne korzyści z integracji europejskiej, ale wiedzą doskonale, że inne państwa muszą coś dostać w zamian. Tym czymś są unijne środki, pochodzące w znacznej skali z niemieckich kieszeni.

To właśnie unijne środki będą już niedługo kolejnym testem naszej dojrzało-

ści. Polska rozwija się szybko, i wraz z tym procesem będzie coraz więcej dopłacała, a coraz mniej dostawała z UE, za jakiś czas stając się dawcą netto do unijnego budżetu. Dla wielu z nas będzie to szok, bo Polska nie od dekad, ale od wieków jest na mentalnych pozycjach biorcy, a nie dawcy. Nie widzimy w tym problemu: wszak naród tak pokiereszowany przez historię zasługuje, by otrzymać słuszną rekompensatę za krzywdy.

Zmiana naszej pozycji będzie testem nie tylko przywiązania Polaków do UE, ale też sprawdzianem, czy rozumiemy mechanizmy rządzące polityką. Mało kto w Polsce łączy władzę i znaczenie z pozycją płatnika netto. A to właśnie fakt dawania czegoś od siebie jest podstawowym mechanizmem budowy własnej pozycji. Tylko wtedy, gdy wrzuca się coś istotnego do koszyka, można mieć głos oraz oczekiwania.

Polska nie będzie się liczyć na świecie, jeśli tego nie zrozumie. Za zasługi dostaje się medale i nieco prestiżu, ale nie realny wpływ na decyzje. Przejęcie przez Europę (z rąk USA) odpowiedzialności za swe bezpieczeństwo jest nieuchronne. W tym procesie Polska powinna pełnić kluczową rolę. Mamy zasoby, by wzmocnić nie tylko polskie bezpieczeństwo, ale też wpłynąć na cały region. Mimo sprzyjających okoliczności tej gry nie podejmujemy.

Dużo było rozmów o tym, jak to CPK dowodzi naszych aspiracji, i jak nasze młode pokolenie nie zadowala się zastanym *status quo*. Tymczasem okazuje się, że w fundamentalnej kwestii definiującej nie tylko przyszłość Ukrainy, ale i całego naszego regionu, chowamy głowę w piasek. Proces politycznej „mikromanii" szczególnie dziwi w odniesieniu do prawicy, która latami wypominała liberałom kunktatorstwo. Tymczasem dziś prawica bez specjalnej presji „odklepuje matę". Z kolei liberałowie, choć przez lata zapatrzeni w Zachód, teraz akurat postanowili skopiować swoich rywali z prawicy. I choć liga mistrzów wciąż kusi, to na jej zapleczu jest ciepło i stabilnie. Wcześniej byliśmy tam, bo musieliśmy. Teraz jesteśmy tam, bo po prostu chcemy.

© PAWEŁ MUSIAŁEK

Autor jest prezesem Klubu Jagiellońskiego.

Będę twoimi rękami

EWELINA BURDA

SPOŁECZEŃSTWO | Jak wygląda praca asystenta osoby z niepełnosprawnością? Co powinna w niej systemowo zmienić ustawa, która wciąż czeka na przegłosowanie? Oddajemy głos asystentom, którzy opowiadają, kiedy jest im ciężko i dlaczego to, co robią, ma sens.

Dla Anny asystencja to główne zajęcie zawodowe. Poznaję ją dziewięć lat temu, gdy jej mąż dostaje udaru mózgu i staje się osobą z niepełnosprawnością (OzN). Anna przechodzi wtedy przyspieszony kurs spraw najpilniejszych, później robi szkołę z terapii zajęciowej i masażu oraz kurs asystenta turystycznego osób z niepełnosprawnością. Dziś jest asystentką czterech osób, mieszka w dużej aglomeracji.

Eliza jest z małego miasta w środkowej Polsce. Pracę jako asystentka osobista zaczyna dwa lata temu. Jest w trudnej sytuacji życiowej: odchodzi z rocznym synkiem od przemocowego męża, trafia pod opiekę Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej. Tam dostaje propozycję pracy: – Dopóki jej nie zaczęłam, nie wiedziałam, z czym się wiąże. Nie wiedziałam też, że tyle osób w moim małym mieście potrzebuje takiego wsparcia. Szkolenia? Zostałam rzucona na głęboką wodę, wielu rzeczy uczyłam się albo od rodzin, albo z filmów w sieci, jak wtedy, kiedy pierwszy raz zmieniałam dorosłemu mężczyźnie pieluchę – opowiada. Dziś asystencja to jej jedyna praca i źródło dochodu, pracuje w różnym rytmie z kilkoma osobami.

Patrycja jest przed czterdziestką, żyje w mieście na północy Polski. Z asystencją styka się po raz pierwszy jako nastolatka na obozie dla OzN. Zaczyna działać w wolontariacie, przez lata formy wsparcia i jej zaangażowanie się zmieniają. Dziś pracuje w szkole specjalnej jako nauczyciel-terapeuta, asystentura jest zajęciem dodatkowym. – Od dziesięciu lat jestem asystentką Jana: trochę jego rękami, jego tłumaczem, a trochę towarzyszem wspólnych wypraw – mówi.

Wszyscy jesteśmy ludźmi

Opowiada Anna: – Mam małą specjalizację pracy z osobami, które są niewidome. Teraz są to dwie panie, obie to już starsze kobiety, ale na tym podobieństwa się kończą. Dla jednej jestem głównie towarzyszką w codziennych czynnościach, zakupach. Druga rozumie moją rolę trochę inaczej, planujemy wycieczki, idziemy razem do restauracji. Od niedawna jest jeszcze niewidoma młoda dziewczyna, która ma też niepełnosprawność intelektualną. Tego lata byłyśmy razem nad wodą, po powrocie do domu mama zapytała ją, co robiłyśmy. Powiedziała, że nie pamięta. Ktoś mógłby po takiej odpowiedzi uznać, że po co podejmować cały ten trud zorganizowania wyjazdu. Ale ja przypominam sobie wtedy te chwile, kiedy się kąpiemy, świeci słońce, a ona głośno się śmieje.

Czwartą osobą, której Anna asystuje, jest dziewczyna z niepełnosprawnością intelektualną; ma niewiele ponad dwadzieścia lat. – Jej poprzednia asystentka odeszła, słyszałam o problemach, które tam były. A my się dogadujemy doskonale, dużo było zdziwienia otoczenia, że tak szybko się zgrałyśmy, że tyle robimy wspólnie. To, że z poprzednią asystentką tak nie było, nie musiało być niczyją winą: wszyscy jesteśmy ludźmi, nie każdy nam przypasuje, nie z każdym się w życiu dogadamy – podkreśla asystentka.

Czas na prawdziwe wczasy

Jan, którego asystentką jest Patrycja, jest po trzydziestce, od kilku lat żyje w mieszkalnictwie wspomaganym (tam z osobami OzN pracują stale asystenci). Ma wieloraką sprzężoną niepełnosprawność: fizyczną i intelektualną. ↦



KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

↦ Potrzebuje wsparcia w podstawowych sprawach, ubraniu się, higienie, nie je stałych pokarmów. Komunikuje się alternatywnie: skinieniami głowy, ruchami oczu, gestami rąk.

– Poznaliśmy się wiele lat temu, wyjeżdżaliśmy razem na obozy rehabilitacyjne – opowiada Patrycja. – Po pandemii uznaliśmy, że czas na prawdziwe, dorosłe wczasy. Dziś wyjeżdżamy ze znajomymi Jana, którzy też korzystają z pracy asystentów osobistych. Spędzamy wakacje w sześcioosobowej ekipie, w każdym roku w innym miejscu, od Mazur po Kaszuby. Wczasy wyglądają dokładnie tak jak nasze, osób bez niepełnosprawności: Jan i jego przyjaciele śpią tyle, ile chcą. Jedzą to, na co mają ochotę. Zwiedzają to, co chcą zwiedzać. A ja jestem po to, żeby to było dla Jana możliwe.

W takich sytuacjach pojawiają się też trudności prawno-logistyczne. Jan przyjmuje stale leki, których sam nie da rady wziąć do ust, potrzebuje pomocy. Naturalne wydaje się, że mogłaby to zrobić Patrycja, jednak asystenci nie mają uprawnień do podawania leków (to mogą robić osoby z przeszkoleniem medycznym). – Ale jak jedziemy na wakacje, to co mamy zrobić, zabrać ze sobą także pielęgniarkę? – pyta retorycznie Patrycja.

W ramach opieki wytchnieniowej, dzięki której rodzice dzieci z niepełnosprawnością mogą w przyznanej liczbie godzin liczyć na asystenta (a sami odpocząć), Patrycja pracuje z 11-letnią Laurą. – Jej rodzice wiedzą, że jestem asystentką Jana, widzą, jak wygląda jego dorosłe życie. A że ten zakres wsparcia u Jana i u Laury jest podobny, to patrzą w przyszłość z optymizmem: że być może kiedyś ich córka też wyjedzie na dorosłe wakacje ze znajomymi.

Grafik pracy

Eliza jest dziś asystentką dla kilku osób dorosłych i dwójki dzieci w opiece wytchnieniowej: – Pracuję z panią, która ma SMA, porusza się na wózku, ma dużo ograniczeń ruchowych. Gdy jej mąż jest w pracy, jest zależna ode mnie. Jest też samotna mama trójki dzieci, która na dodatek choruje na nowotwór Hodgkina. Przez niego stała się osobą z niepełnosprawnością, teraz ma nawrót choroby.

Dzień pracy Elizy ma stałe punkty: są osoby, do których musi jechać z samego rana: pomóc w toalecie lub zmienić pampersa, zrobić śniadanie lub nakarmić. Punktami orientacyjnymi są wizyty lekarskie. – Ale dużo dzieje się nagle. Ostatnio przygotowałam pacjentce śniadanie, wyszłam. Po chwili dostałam telefon, że kot zrzucił je ze stolika. Wróciłam do niej, a cała reszta osób przesunęła się w czasie. Czy to dla nich komfortowe? Nie. Ale jak zarządzać tym inaczej? – pyta.

– To nie jest praca w której jesteś „od do", są sytuacje awaryjne, jak wtedy, gdy w nocy dzwoni do mnie pani, która ma schizofrenię i mówi: „Bardzo się boję". I byłoby nieludzkie, gdybym z nią nie porozmawiała. W naszym społeczeństwie – mam wrażenie – mało kto zdaje sobie sprawę, kim naprawdę jest asystent. Ja czuję się często jak terapeuta i opiekunka, salowa i kucharka, sprzątaczka i kierowca w jednym – wylicza Eliza.

Zasady i zarobki

Jedną z najczęściej podnoszonych spraw od strony formalnej jest forma zatrudniania asystentów, która wynika z projektowego sposobu finansowania pracy. Dziś usługi asystenckie realizowane są przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej w ramach czasowych programów dla samorządów i organizacji pozarządowych (zaangażowany jest m.in. Fundusz Solidarnościowy czy Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych). Ustawa, która wciąż czeka na wdrożenie, zakłada, że cały ten system zostałby uporządkowany, a asystencja osobista OzN byłaby finansowana z budżetu państwa.

– Pracuję na umowach zleceniach. W moim przypadku wszystko prze-



chodzi przez Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej – opowiada Eliza. – Najtrudniejsze dla mnie jest to, że w finansowaniu projektów są przerwy. Dotykają mnie one, bo nie mam stałych umów i nie mogę mieć np. ciągłości składek na ubezpieczenie chorobowe. Dotykają też osób, które asystencji potrzebują; wielu przecież nie stać na opłacenie mnie w czasie przerw z własnej kieszeni. Urlop? Nie idę wtedy, kiedy chcę, tylko szukam terminów, kiedy jestem najmniej potrzebna. Zastępstwa są trudne, nie tylko żeby kogoś znaleźć, ale też z perspektywy osób, z którymi pracuję: wiele naszych wspólnych czynności to sprawy intymne, adaptacja i zmiany są trudne – podkreśla.

– Kiedy zaczynałam jako asystentka jednej osoby z niepełnosprawnością wzroku, zostałam zatrudniona przez Polski Związek Niewidomych, program finansował PFRON. Dziś mam swoją działalność, ale tam, gdzie jestem zatrudniona przez MOPS, faktury wystawić nie mogą. Czy to dla mnie logiczne i zrozumiałe? Nie. Czy korzystne finansowo? Chciałabym pracować normalnie, mieć jedną umowę o pracę. Dziś muszę dorabiać w innym zawodzie – dodaje Anna.

Ile zarabia asystent osobisty? Stawka godzinowa wynosi 50 zł brutto.

Eliza: – Z pieniędzmi jest naprawdę różnie. Ostatnie moje wynagrodzenie na rękę to było 4200 zł, w tym zwrot za paliwo. Stawki z MOPS-u nie są duże, mam też trochę zleceń prywatnych. Tam finansowo jest różnie, to zależy od obowiązków: czy to odgrzanie obiadu, wspólny czas, czy cała toaleta. Wiem, że mogę otworzyć własną działalność czy pracować w nowoczesnym prywatnym domu opieki, robię teraz dodatkowe kursy. Z pocałowaniem ręki dostanę taką pracę. Ale jeśli każdy tak pomyśli, to co będzie z tymi, których na to nie stać?

W pracy Eliza korzysta ze swojego samochodu. – Nie jest przystosowany pod osoby z niepełnosprawnościami ruchowymi, a jeździmy razem do szpitala albo coś załatwić. I kombinujemy: trzeba jakoś zmieścić wózek; gdy ktoś nie może zginać kończyn, to nieźle się musimy nagimnastykować. Amortyzacja samochodu nie wchodzi w grę, a paliwo mamy rozliczane na podstawie zrobionych kilometrów w danym miesiącu. Ale tu też widzę dużo niejasności, bo zwrot pieniędzy dostaję w ramach mojego wynagrodzenia, podatkowo mogłoby to być znacznie lepiej rozwiązane.

Patrycja stałe zatrudnienie ma w szkole, więc na kwestię umów asystenckich patrzy inaczej. – Dla mnie to wybór, jeden z elementów mojej większej zawodowej całości. Siedzę też w systemie głębiej niż wielu asystentów, więc wiele rzeczy, także tych biurokratycznych, łatwiej mi zrozumieć – opowiada. – Ważne jest również to, że u Jana poza mną i asystentami „w mieszkalnictwie", są jeszcze dwie asystentki, z których wsparcia korzysta. Pula godzin nie zawsze nam wystarczała, na początku dochodziły godziny prywatne, bo projektów było za mało, żeby np. starczyło nam godzin na wakacyjny wyjazd. Dziś jest ich więcej.

To nie jest pomaganie

– Kiedy zaczynam pracę u dorosłych OzN, które mieszkają z rodzicami, staram się dowiedzieć, co chcą robić, co dla nich jest ważne. Nie dla rodziców. Co nie znaczy, że nie słucham sugestii, jednak muszę wiedzieć, czyją asystentką jestem. Pamiętam chłopaka, który był czterokończynowo sparaliżowany, zamknięty w sobie, dużo było tam trudnych emocji. W domu był zaopiekowany fizycznie przez mamę, ale odosobniony. Udało mi się dowiedzieć, że wcześniej interesował się sportem. I naszym wspólnym sukcesem były wyjścia na imprezy sportowe – opowiada Anna.

Najtrudniejsze są ludzkie charaktery. – I mówię o nas wszystkich, także ↦

↦ asystentach – kontynuuje Anna. – Czasem jest ciężko, są spory. Ale jak w każdej pracy: następnego dnia znowu się spotykamy, robimy swoje. Ja jestem optymistyczna, wolę coś obrócić w żart, niż się obrażać, ale dużo frustracji na mnie się wylewa. Częste jest też podejście u OzN, że jak tak mnie los „pokarał", to na innych polach należy mi się dokładnie to, co chcę. Jedna pani wymagała, żebym myła okna, choć w jej domu mieszkało wiele osób. Odmówiłam. Tę roszczeniowość jeszcze potęguje izolacja. Wtedy tylko realne wsparcie w wychodzeniu z niej może tę bombę rozbroić – dodaje asystentka.

Eliza: – Osoby, z którymi pracujemy, mają swoje ambicje, walczą o samodzielność, także zawodową. Kluczem jest zrozumienie, że jesteśmy sobie nawzajem potrzebni. Stajemy się osobami pierwszego kontaktu, ale nie jesteśmy rodziną, więc łatwiej dać upust przy nas. Emocji jest ogrom, ale postawienie sobie granic w tej pracy jest ciężkie, bo w teorii wiemy, że to zwykle nie jest wymierzone w nas jako ludzi. Kiedyś usłyszałam, że „jestem od pomagania jak dupa od srania". To skrajny przykład, ale bardzo mierzi mnie słowo „pomaganie". Bo my mamy razem pracować. A do słowa „pomaganie" można podpiąć wiele. Powinien stać za nami pracodawca, do którego moglibyśmy przyjść z problemem – dodaje asystentka.

Co dźwiga asystent

– Długo było w moim życiu tak, że byli inni, nie było mnie – wspomina Anna. – Dziś myślę, że umiem odróżnić prawdziwą potrzebę i prośbę „Przyjdź dziś koniecznie o dwunastej, potrzebuję cię" od kaprysu. Dużo negocjuję. Mam też dzieci, swoje życie. Na jednej z grup przeczytałam kiedyś, że asystenci mają dość swoich podopiecznych, a podopieczni asystentów. Przy takiej intensywności kontaktów, intymności, to czasem jest normalne. Obie te grupy potrzebują zaopiekowania psychologicznego, powinno gwarantować je ustawowo państwo. Dziś go nie dostajemy.

Opowiada Patrycja: – Byłam kiedyś asystentką dwóch chłopców, braci. Tam naruszano wiele moich granic. Trwało to trzy lata, a półtora roku zastanawiałam się, jak z tego wyjść. W pracy asystenta jest wiele do dźwigania. Także z tych spraw największego kalibru. W ciągu

ELIZA, ASYSTENTKA :

W naszym społeczeństwie mało kto zdaje sobie sprawę, kim naprawdę jest asystent. Ja czuję się często jak terapeuta i opiekunka, salowa i kucharka, sprzątaczka i kierowca w jednym.

kilku lat zmarły dwie osoby, którym asystowałam. To zostaje w głowie. Analizujesz, jak spędzaliście czas: może mogłam coś robić inaczej? Czy na pewno nie zignorowałam ważnych sygnałów? Nabawiłam się zaburzeń lękowych, które objawiły się somatycznie.

Gdy pracuje się z kimś blisko przez wiele lat, ważne jest utrzymanie profesjonalnej granicy. – Do kiedy jest to osoba, której asystuję, a kiedy już przyjaciel, brat? – pyta Patrycja. – Chodziłam na terapię, która pomagała mi to poukładać, finansowałam ją z własnych środków. Czy mam pełen porządek w głowie? Chyba nie. Na dziś pewne jest dla mnie, że tak długo, jak Jan będzie chciał i będzie mnie potrzebował, to będziemy razem pracować.

– Miałam ciężki moment w życiu, moje problemy skumulowały się z tymi trudnymi historiami w pracy. Nie umiałam tego rozdzielić. Tu przydałaby się systemowa pomoc, może jakieś cykliczne szkolenia, warsztaty? – wylicza Eliza. – Ciężko nie mieć pracy w tyle głowy, zwłaszcza jeśli jest się asystentką osób, które nie mają innego wsparcia, rodziny. Ja również nie mam wsparcia u innych asystentek, nie znamy się dobrze, wiem tylko, że są zwykle starsze ode mnie.

Eliza podkreśla, że dźwiga się w tej pracy wiele, także dosłownie. Jest drobną kobietą, ma nieco ponad metr pięćdziesiąt. – Kręgosłup boli mnie często. Wiele osób, u których pracowałam, miało zwykłe łóżka, kanapy. Żeby kogoś podnieść, musiałam to robić siłą własnych mięśni. Mało kto miał taki sprzęt jak podnośnik. Może rozwiązaniem byłby jakiś system wypożyczania sprzętu w razie potrzeby? Nie mówię już o czymś takim jak np. myjka do mycia włosów na leżąco. Brzmi jak fanaberia, a to realny komfort tej osoby. I mój też, bo od tego ciągłego pochylania się w końcu na moje miejsce będzie potrzebna nowa osoba.

Masz wybór

– To jest praca z drugim człowiekiem i praca ze swoją własną empatią – kontynuuje Eliza. – Ale głęboko czuję, że warto ją wykonywać, że te moje codzienne zadania mają prawdziwy sens. Gdy pani z SMA nie wstrzymuje siku do powrotu męża z pracy; gdy z chłopakiem ze schizofrenią idziemy już na drugi spacer w tym tygodniu. A tę mamę trójki dzieci, która czeka w szpitalu na dalszą diagnozę nowotworu, po prostu trzymam za rękę.

– Lubię mówić, że nie ma niepełnosprawnych i zdrowych, są tylko ludzie. Jeśli sytuacja pozwala, to nie chcę być asystentką od siedzenia w domu. I większość osób też tego siedzenia nie chce, choć często tę wolę wyjścia do świata trzeba pomóc im wydobyć spod całego ciężaru niepełnosprawności, stereotypów, złych doświadczeń. Największą moc terapeutyczną ma integracja społeczna – opowiada Anna. – I staram się działać w myśl tego, co powtarza środowisko OzN: „Chcemy żyć, a nie tylko przeżyć".

Patrycja długo może wymieniać ich wspólne aktywności z Janem, uśmiecha się przy tym szeroko. – Odwiedzamy rodziców, przyjaciół. Jan lubi jeździć samochodem, to atrakcja sama w sobie; czasem chce posiedzieć za kierownicą. Gdy idziemy do restauracji, to wybieramy taką, gdzie menu ma opcje obrazkowe, żeby mógł wskazać, na co ma ochotę. Lody latem wybieramy po kolorach, Jan podjeżdża do lady do tego smaku, który chce. Czasem jest mniej spektakularnie, na przykład oglądamy telewizję. Ja przełączam kanały, Jan zatwierdza, na swój sposób, który mu odpowiada. A ja? Ja jestem jego ręką do przełączania.

©℗ EWELINA BURDA

Imiona bohaterek zostały zmienione.

OD AUTORKI: Podczas poszukiwania bohaterów do reportażu, mimo długich starań, nie udało mi się znaleźć chętnych do rozmów asystentów-mężczyzn. Nie istnieją żadne statystyki dotyczące zawodu asystenta, tym bardziej te dotyczące jego płciowego zróżnicowania. Patrząc jednak na to, jak silnie zdominowane przez kobiety są w Polsce wszystkie zawody opiekuńcze, można z dużą pewnością wnioskować, że tak samo jest w przypadku asystentury osobistej.



MICHAŁ DUBIEL / REPORTER

Jordan Loyd (w środku) podczas meczu Polska – Francja. Katowice, 2 września 2025 r.

Polski Jordan

PIOTR WESOŁOWICZ

SPORT | Gdyby nie Jordan Loyd, nie byłoby ostatnich sukcesów polskich koszykarzy. Amerykanin paszport otrzymał kilka tygodni przed mistrzostwami Europy, wcześniej nie mając z Polską nic wspólnego. Przeciwnicy „farbowanych lisów" ucichli.

Do końcowej syreny zostało 20 sekund. W katowickim Spodku, gdzie trwa koszykarskie Euro, kipiało od emocji. Na tablicy wyników był remis, 64:64. Ale piłkę mieli Polacy.

Janusz Lojdowski

A konkretnie Jordan Loyd – 32-letni Amerykanin, który polski paszport otrzymał ledwie co, na początku sierpnia. Izraelczycy mocno go naciskali, ale udało mu się rzucić w kierunku kosza. Spudłował, ale natychmiast wyrwał pod obręcz i mimo podkoszowego tłumu trafił dobitkę. „Do takich momentów, takich akcji, przygotowywałem się od dziecka" – powiedział potem przed kamerami TVP Sport.

Rywale mogli jeszcze wygrać, w ostatniej sekundzie za trzy rzucał występujący na co dzień w NBA Dani Avdija. Minimalnie chybił, a w Spodku zaczęło się szaleństwo. Ponad 10 tys. polskich fanów rzuciło się sobie w ramiona.

Loyd zdobył łącznie 27 punktów, w tym siedem ostatnich. Zasłużenie odebrał statuetkę dla najlepszego gracza meczu. Słowem: o zwycięstwie nie byłoby mowy, gdyby nie on. Tak samo jak nie byłoby wygranej ze Słowenią i Islandią, która dała nam wejście do fazy finałowej turnieju.

Zapewne dlatego polscy fani z miejsca go pokochali. Na kolejny mecz, z Islandią, przyszli z transparentem: „Janusz Lojdowski", w internecie dodają go do panteonu wielkich Polaków. Uczucia są wzajemne: po meczu z Izraelem Loyd napisał w serwisie X „Dumna Polska!".

Pożytki z paszportu

Czytelnik, który koszykówką się na co dzień nie interesuje, może być w konfuzji. Dlaczego w naszych barwach występuje Amerykanin, który do tej pory nie miał żadnego związku z Polską? Nie miał tu przodków, nie pochodzi stąd jego partnerka, nawet nie dotknął tutejszych parkietów?

Ujmując najprościej: bo pod koniec lipca prezydent Andrzej Duda nadał Loydowi polskie obywatelstwo. Przy okazji wręczył też papiery Jerrickowi Hardingowi, innemu amerykańskiemu zawodnikowi, który w reprezentacji będzie występował na przemian z Loydem. Urodzony w stanie Georgia Harding także nie miał wcześniej z Polską nic wspólnego.

Na występy graczy naturalizowanych pozwalają przepisy FIBA, czyli światowej federacji koszykówki. Z tej furtki korzystają niemal wszystkie reprezentacje. Tylko w Europie dla nowych ojczyzn zagrało już blisko dwustu koszykarzy, w głównej mierze – Amerykanów.

Na tym bowiem polega ten kontrowersyjny biznes: Amerykanom europejski paszport ułatwia grę w tutejszych klubach, sprawiając, że nie obowiązują ich istniejące w wielu ligach limity dla graczy spoza kontynentu. W zamian kadry ze Starego Kontynentu otrzymują graczy o wysokich umiejętnościach.

Nie ma się co dziwić, że kibice drużyn narodowych mają co do naturalizacji mieszane uczucia. Przypomina to ↦

↦ bowiem dobrze prosperujący biznes. Dyskusja na nowo rozgorzała tuż przed mistrzostwami Europy, gdy rzutem na taśmę zyskaliśmy nową gwiazdę.

Poczet Amerykanów polskich

Do tej pory nasze doświadczenia z naturalizowanymi Amerykanami były słodko-gorzkie. Joe McNaull, Eric Elliott, Jeff Nordgaard, David Logan, Thomas Kelati oraz A.J. Slaughter – to amerykańscy koszykarze, którzy występowali w polskiej kadrze przed Loydem.

Najtrudniejsze wspomnienia dotyczą 42-letniego dziś Logana. Dostał polski paszport tuż przed mistrzostwami Europy w 2009 r., których także byliśmy gospodarzem. Co prawda występował w polskiej lidze, ale nic więcej go z krajem nie łączyło. Jednak by odnieść sukces przed własną publicznością, potrzebowaliśmy gwiazdora, który poprowadzi nas do zwycięstw.

W turnieju nic wielkiego nie osiągnęliśmy, a Logan opuścił nas tuż po nim i nigdy później w drużynie narodowej nie zagrał. Zdarzyło mu się nawet powiedzieć, że nie ma dla niego różnicy, dla kogo gra, i równie dobrze może reprezentować Afganistan.

Na drugim biegunie jest historia Thomasa Kelatiego. To Amerykanin o erytrejskich korzeniach, który grał w Zgorzelcu: poznał tu żonę, założył rodzinę, zbudował dom. Wystąpił o paszport, zagrał w kadrze na dwóch turniejach mistrzowskich. Czuć było, że na Polsce mu zależy.

Jednak największą lekcją była dla nas naturalizacja A.J. Slaughtera w 2015 r. Nasz ówczesny selekcjoner Mike Taylor wiedział, że brakuje nam w zespole prawdziwego talentu i trzeba sięgnąć po Amerykanina. Upatrzył sobie Slaughtera, urodzonego w Kentucky rozgrywającego, który nie miał w życiorysie – w porównaniu do poprzednich sześciu Amerykanów w kadrze – nawet ćwierci polskiego śladu.

O wręczonym w trybie nadzwyczajnym paszporcie dyskutował nie tylko światek sportowy. Utopiści chcieli, aby kadra radziła sobie bez „farbowanych lisów". Jeden z kadrowiczów, oczywiście anonimowo, pytał retorycznie: – Można świetnemu koszykarzowi A.J. Slaughterowi dać polski paszport i zrobić z niego Andrzeja Rzeźnickiego. Ale jak się z taką reprezentacją utożsamiać?

Loyd jest w Katowicach z żoną i dzieckiem. Stephanie była mocno zaangażowana w kwestię naturalizacji.

Nawet egzaminowała go ze znajomości gry naszej drużyny.

Zawrzało w momencie, gdy w mediach ukazały się informacje, iż Slaughter podpisał z kadrą pewnego rodzaju kontrakt – w zamian za europejski paszport zobowiązał się grać w reprezentacji Polski przez trzy lata. Tak jakby podpisywał umowę z klubowym zespołem.

Rzecz w tym, że Slaughter został w kadrze na dekadę. I stał się jej legendą – gdyby nie on, nie osiągnęlibyśmy największych sukcesów w historii – ósmego miejsca na mistrzostwach świata w Chinach w 2019 r. czy czwartego miejsca w Europie w 2022 r.

Mój jest ten kawałek podłogi

Slaughter kadrze nie odmówił nigdy, choć w koszykówce bywa to nagminne – największym gwiazdom z NBA czy Euroligi rozgrywki reprezentacyjne często kolidują z ligowymi. I nierzadko wybierają miejsce, w którym mogą dużo lepiej zarobić.

Ostatnie wspomnienie związane z 38-letnim dziś koszykarzem to historyczny dla Polski EuroBasket 2022. W trakcie tego turnieju – będąc korespondentem Sport.pl – zobaczyłem wyjątkową scenę z udziałem A.J.-a, tuż po zwycięstwie z Ukrainą. Najlepsze, czyli kosmiczna wygrana ze Słowenią, miało dopiero nadejść, ale już wygrana w 1/8 finału sprawiała, że mistrzostwa można było nazwać sukcesem.

Mercedes-Benz Arena w Berlinie pomału pustoszała, ale biało-czerwoni wciąż świętowali na parkiecie. A wśród nich bohater meczu, czyli A.J. Slaughter. „Antek" rzucił przeciw Ukrainie aż 24 punkty, a w zaciętej końcówce nie zadrżały mu ręce przy najważniejszych rzutach wolnych w karierze.

Po ostatniej syrenie dał się w końcu ponieść emocjom. Kiedy z głośników poleciał utwór „Mój jest ten kawałek podłogi" Mr. Zooba, Slaughter tańczył i krzyczał razem ze wszystkimi. A po meczu, zwykle zamknięty i introwertyczny, powiedział słowa, które utkwiły w sercach fanów: „Zrobiliśmy coś wielkiego dla naszego kraju, dla kibiców, dla federacji". Słowa o „naszym kraju" zostały zapamiętane.

Następcą Slaughtera w kadrze jest dziś Jordan Loyd. I jego naturalizacja wzbudziła kontrowersje. Część kibiców wprost apelowała, aby reprezentacja składała się z ludzi związanych z Polską – nawet kosztem wyników. Fakty są jednak takie, że z tej ścieżki korzystają już niemal wszystkie nacje świata. Wstrzymują się jeszcze tylko zwariowane na punkcie koszykówki, dumne Litwa i Serbia.

Egzamin z polskości

Nie chcieliśmy iść pod prąd. Ale choć naturalizacja Loyda przypomina inwestycję biznesową, to wydaje się, że trafiliśmy jeszcze lepiej niż ze Slaughterem. I nie chodzi tylko o to, że mowa o graczu z jeszcze wyższej półki.

Przygotowania do nadania mu obywatelstwa trwały dobrze ponad rok. Pierwsza rozmowa skończyła się jednak nagle. Jordan dostał informację, że w tarapaty na mieście wpadł jego kolega z zespołu. I od razu stwierdził, że musi mu pomóc.

– Dla nas to był pierwszy znak, że charakterologicznie będzie pasował do naszej kadry, która trzyma się razem, jest zżyta i idzie za sobą w ogień – powiedział mi o tej sytuacji Łukasz Koszarek, dyrektor reprezentacji Polski.

Loyd jest w Katowicach z żoną i dzieckiem. Stephanie była ponoć mocno zaangażowana w kwestię naturalizacji. Pomagała z formalnościami, a jak zdradził selekcjoner Igor Miličić – nawet egzaminowała go ze znajomości gry naszej drużyny narodowej.

Żona Loyda pojawia się też na trybunach Spodka, oczywiście w biało-czerwonych barwach. Podczas meczu z Islandią siedziała kilka rzędów pod fanami, którzy wywiesili transparent „Janusz Loydowski". Jordan Loyd zżył się z Polską szybciej, niż można było sądzić. Podobnie jak my z nim. © PIOTR WESOŁOWICZ

Autor jest dziennikarzem Sport.pl, komentatorem koszykówki, autorem poświęconego jej podkastu „Plac gry".

OLGA

Drenda:
Kto kogo



To zasada-samograj znana wszystkim, którzy śledzą kulturę popularną: widz kocha przyglądanie się cudzemu nieszczęściu. Już za czasów, gdy główną rozrywkę stanowiło słuchanie pieśni dziadowskich czy sensacyjne powieści broszurowe, to te najbardziej obfitujące w zbrodnię i niedolę cieszyły się największym wzięciem u publiczności.

Przyczyny są rozmaite – czasem to zwyczajna empatia i proste poruszenie serca, czasem ten rodzaj ciekawości, który każe ludziom kierować wzrok w stronę wypadku drogowego, a czasem nieco wstydliwa ulga („jak dobrze, że to nie ja"). Trudno jest również zarysować jasną granicę etyczną w przypadku publikowania takich historii. Pod koniec XIX w. fotografie Jacoba Riisa z cyklu „Jak żyje ta druga połowa", przedstawiające koszmarne warunki życia najbiedniejszych nowojorczyków, wpłynęły na zmiany w prawie dotyczącym mieszkalnictwa i bezpieczeństwa. Legendarny film Toda Browninga „Freaks", choć podejmował temat z zasady sensacyjny, bo dotyczył ludzi z rozmaitymi deformacjami ciała pracujących w roli atrakcji cyrkowych, zdejmował z nich łatkę pariasów, potworów. W Ameryce lat 30., zakochanej w eugenicznych pomysłach, film jasno podkreślał, że nie tylko atletyczny, równoczęby blondyn może mieć dostęp do pełni praw i pełni życia.

Ale bywa i inaczej. Outsiderzy, ludzie żyjący w izolacji, z problemami, trafiają czasem w światła reflektorów za sprawą „menedżerów biedy", spryciarzy, którzy zapewniają swoim podopiecznym pieniądze, ale dbają przy okazji, by ich zdrowie czy stan psychiczny się realnie nie poprawiały – w końcu żyją z pokazywania jak najbardziej niepięknych stron życia.



Trzeba jeszcze być wolnym od „życzliwych"!

OLGA DRENDA

W ostatnich miesiącach w Polsce co jakiś czas można było przeczytać o śmierci kolejnego człowieka, któremu ogólnopolska sława skróciła życie, bo najlepiej sprzedawały się sceny pod wpływem. Powstał nawet termin „pornografia biedy", dotyczy on materiałów, których twórcy lubują się w przesadzie i maksymalizacji nieszczęścia na ekranie. Ktoś pewnie powie: „ale takie jest prawdziwe życie, bez filtra!" – przy tej okazji warto zadać sobie pytanie, czy on własne życie, zapewne zamożniejsze i spokojniejsze, uważa za lukrowany matriks.

Oprócz zerkania na „ulice nędzy", publiczność kocha też happy endy. Dlatego czasem ogląda dokumenty o ludziach, którzy stracili wszystko czy sami wpędzili się w nieszczęście, mając nadzieję, że szczęśliwe oko kamery uratuje ich, da im piękny dom, miłość, spokój, a może nawet prawdziwą karierę w show-biznesie.

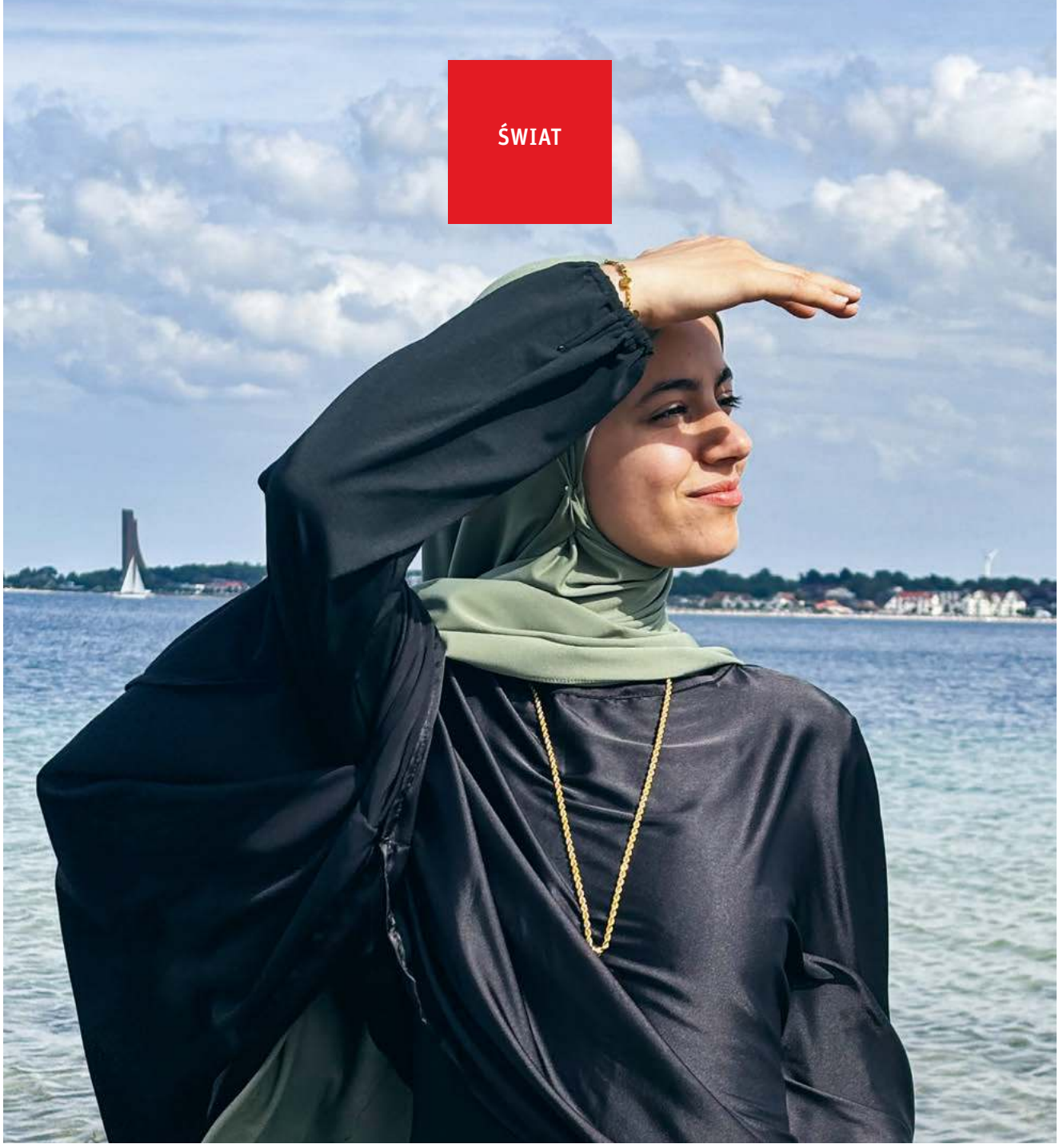
Oto amerykański twórca dokumentów Mark Laita natrafił na rodzinę jak ze scenariusza filmowego – licznych potomków pary bliskich kuzynów, co oczywiście wygląda na gotowy materiał na sensacyjny temat tabu („bliżej spokrewnione pary znajdziesz tylko w rodzinach królewskich", skomentował ktoś celnie). Część rodzeństwa nie ma szans na samodzielne życie ze względu na wrodzone niepełnosprawności, a cała rodzina padła ofiarą zmór współczesnej Ameryki, czyli wszystkiego w zasięgu ręki, co uzależnia.

Czy Laita to dobroczyńca, czy naiwny facet z pieniędzmi, czy już kurator patostreamingu – zdania są podzielone. Z pewnością, sam zarabiając, pomagał rodzinie finansowo, a jego filmy zdjęły z bohaterów piętno wyrzutków, bo publiczność poczuła do nich faktyczną sympatię. Ale też ściągnął ich na drogę pokusy, która wraz z pieniędzmi się pojawia, pogarszając uzależnienia. Nie udało się ich przeanielić i w pewnym momencie wycięli swemu patronowi numer rodem ze starej farsy (czy z makabrycznego żartu: „wystaw dziadka w oknie, listonosz z rentą idzie"). Oto rodzina poprosiła o zbiórkę na pogrzeb seniora rodu, podczas gdy ów żył i miał się doskonale.

Ten (trzeba przyznać, że zabawny) akt wyłudzenia przypomina, że choć kusi, by ludzi poszkodowanych przez los postrzegać jako uwięzione, bezradne aniołki w opałach, to są to zwyczajni dorośli z całym bagażem ludzkich cech. Nie chcą odgrywać roli wychowanków, są w końcu dorośli i sami decydują o sobie, co oznacza, że mają prawo również do decyzji dla siebie szkodliwych. Albo i przewrotnych.

Na pewno historia ta każe się zastanowić nad youtubowym mecenatem, który publiczności zapewnia porcję wzruszeń, a twórcom sławę i pieniądze. W przeciwieństwie do żmudnych obowiązków pracownika socjalnego. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".



ARCHIWUM PRYWATNE

22-letnia dzisiaj Bajan w Hamburgu, sierpień 2025 r.

JEDNA Z MILIONA

Późnym latem 2015 r., gdy w Europie zaczął się kryzys migracyjny, Angela Merkel powiedziała słynne słowa: „Damy radę". Odwiedziliśmy jedną rodzinę, która w tamtych latach przybyła do Niemiec. Oto jej historia.

AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA Z MAGDEBURGA

Bajan ma dziś 22 lata i studiuje architekturę na uniwersytecie w niemieckim Brunszwiku. Tak, jak marzyła w dzieciństwie. Właśnie zaczęła trzeci rok, do końca licencjatu zostały jej dwa semestry.

Przeszła długą drogę, odkąd przybyła do Niemiec w 2020 r., w wieku 17 lat. Na fali tego, co dziś złowrogo nazywa się w Europie wielkim kryzysem migracyjnym. – Wtedy myślałam, że trafiliśmy do raju – mówi mi Bajan. – Ale to, co zastaliśmy, nie miało z rajem nic wspólnego.

Gdy zaczynała studia, marzyła, by zostać drugą Zahą Hadid. To najsłynniejsza architektka w świecie arabskim, która zyskała sławę w męskim świecie, zdobywczyni światowych nagród i autorka ikonicznych budowli. Idolka dla młodej, ambitnej Palestynki.

Układ z przeszłości

Bajan wcześnie zapoznała się z architekturą, szczególną. Gdy miała osiem lat, wraz z rodzicami – palestyńskimi bezpaństwowcami z Syrii – uciekła do sąsiedniego Libanu, szukając schronienia przed wojną. Jak wielu Palestyńczyków, osiedlili się w Szatili – jednym z tuzina oficjalnych obozów, które funkcjonują w Libanie od 1948 r., gdy izraelskie wojska wypędziły setki tysięcy Palestyńczyków z ich domów.

Palestyńscy uchodźcy, którzy osiedlali się w Libanie, Syrii i Jordanii, próbowali odtwarzać architektoniczny układ ulic swoich miasteczek. Sąsiedzi często zamieszkiwali koło siebie, by stworzyć wrażenie ciągłości, zachować pamięć i nie stracić resztek nadziei na powrót. Wiele rodzin do dziś przechowuje klucze do swoich domów, których już nie ma.

W ciągu kolejnych dekad te prowizoryczne obozy przeistoczyły się w stałe struktury. Dziś są jednymi z najgęściej zaludnionych miejsc na świecie.

W takich warunkach Bajan, jej matka Najwa, jej siostry Amneh i Rawan, a także rodziny wujostwa przeżyli wiele lat. W ścisku, biedzie i lepkiej wilgoci południowego Bejrutu. To tam Bajan zamarzyła, by studiować architekturę.

Marzyła o majestatycznych budowlach, jak te Zahy Hadid. O przestrzeni, której w jej życiu było mało. O pięknie, którego w Szatili jak na lekarstwo. O godnej przyszłości. Choć Palestyńczycy są w Libanie od dekad, nie mają prawa do obywatelstwa ani do wykonywania większości lepiej płatnych zawodów. Nawet jeśli kończą dobre studia, zwykle są skazani na życie w obozie.

Droga do Niemiec

Ojciec Bajan, Sulejman, wyjechał jako pierwszy. W 2015 r. za sumę 5 tys. dolarów (całe oszczędności rodziny) opłacił podróż do raju. Do lepszego życia dla swojej rodziny.

Jednak jego droga do raju nie miała w sobie nic niebiańskiego. W grupie uchodźców przebył mało popularną trasę: przez Egipt i libijską pustynię, a potem łódką przez Morze Śródziemne do Włoch. Stąd przez Austrię i Niemcy miał dotrzeć do Holandii, do dalszej rodziny.

Po miesiącu i pięciu dniach tułaczki zatrzymał się jednak w niemieckim Stuttgarcie. Tam złożył wniosek o azyl. Został skierowany do ośrodka w Magdeburgu, w byłej NRD.

Lato 2015 r. uznawane jest za początek wielkiego kryzysu migracyjnego: do Europy trafiła wtedy rekordowa liczba uchodźców i migrantów. Głównie z Syrii, ale też z Iraku, Afganistanu, Erytrei. Według UNHCR, organizacji ONZ ds. uchodźców, w 2015 r. do Europy przybyło ponad milion osób. Największa wędrówka ludzi od II wojny światowej.

Prawie 480 tys. z nich poprosiło o azyl w Niemczech (o 135 proc. więcej niż w 2014 r.; w kolejnych latach przybyły następne setki tysięcy). Ponad jedną trzecią wniosków z 2015 r. złożyli przybysze z Syrii. Wtedy to, późnym latem 2015 r., 10 lat temu, Angela Merkel wypowiedziała słynne słowa: „Damy radę".

Czekając na połączenie

Sulejman nie jest pewien, czy dał radę. Gdy pytam go o to w sierpniu tego roku – w mieszkaniu, które jego rodzina wynajmuje na obrzeżach Magdeburga – zaciąga się papierosem i nie daje jasnej odpowiedzi.

Da mi ją potem jego najmłodsza córka. – Ojciec nigdy nie czuł się tu dobrze. Nie nauczył się języka, od początku ciężko pracował jako magazynier. Tęskni za domem – mówi mi Rawan. Choć dziś nie wiadomo już, gdzie jest dom.

Gdy Sulejman otrzymał azyl, po ośmiu miesiącach oczekiwania, jego żona Najwa i ich córki zaczęły odliczać dni do przeprowadzki do Niemiec.

Proces łączenia rodzin zawsze się dłuży. Przed nimi było jeszcze parę lat w Szatili.

Pamiętam, jak poznałam je tam w 2018 r. Matka, Najwa, pracowała w organizacji pozarządowej wspierającej palestyńską społeczność i dorabiała jako pielęgniarka. Radziła sobie. W Szatili miała rodzinę i przyjaciół. Ciągle ktoś zapraszał ją na herbatę czy kawę, na urodziny czy ślub.

W niektóre dni ramadanu Szatila jadła wspólnie. Palestyńscy biznesmeni, którzy przebili się w dyskryminacyjnym systemie Libanu, fundowali *iftar*: posiłek, który podczas tego miesiąca postu muzułmanie spożywają wieczorem, w gronie społeczności. Na główny plac Szatili, przy którym Najwa mieszkała z córkami, wystawiano długie stoły i dzielono się jedzeniem.

Nie brakowało jednak konfliktów. Brat Najwy, który pracował w ochronie obozu, został zastrzelony przez miejscowych dilerów. W obozach nigdy nie było bezpiecznie, zawsze była broń, zwalczające się palestyńskie frakcje, narkotyki, beznadzieja i przemoc. Ale była też wspólnota, miłość i rodzina. I marzenie o powrocie do Palestyny, które jednoczyło.

Po dachach Szatili

Po raz pierwszy zobaczyłam Bajan, gdy tańczyła *dabke*, tradycyjny lewantyński taniec. Na prowizorycznej scenie na placu w Szatili, w *keffiyeh* – czarno-białej chuście, symbolu walczącej Palestyny. Potem deklamowała wiersz, który sama napisała.

Było w niej coś magnetycznego. Miała 15 lat, była śliczna, pełna energii, utalentowana. Wyróżniała się na tle nastolatków: ambicją, wiarą w siebie. Miała w sobie dojrzałość. Poza tańcem i teatrem, jej pasją była piłka nożna, w którą grała z miejscowymi chłopakami. Od wielu była lepsza. W szkole prymuska, mózg matematyczny. Świetnie mówiła po angielsku.

Marzyła, by studiować architekturę. Był rok 2018 – i Bajan była bohaterką jednego z moich reportaży dla „Tygodnika". O młodych, ambitnych Palestyńczykach, którym Liban nie ma nic do zaoferowania. Już wtedy mówiła, że niedługo wyjedzie do Niemiec.

Gdy widziałyśmy się tam po raz ostatni, chodziłyśmy po dachach Szatili i puszczałyśmy w niebo gołębie. Ich właściciel, ↦


AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

15-letnia Bajan (pierwsza z lewej) tańczy dabke – tradycyjny lewantyński taniec – na prowizorycznej scenie na placu w Szatili, w obozie dla palestyńskich uchodźców. Liban, 2018 r.

↦ którego imienia nie pamiętam, miał ich całą masę. Jeden miał być nawet z Niemiec.

Gołębie leciały wysoko, szybowały po niebie, ale zawsze wracały do swojego pana. I do swoich klatek. Szatila to było wszystko, co znały. Nie miały zamiaru poznawać reszty świata. Bajan nie chciała takiego życia.

Telefon od ojca

Miesiące mijały, a Bajan rozwijała skrzydła. Podczas jednego ze spektakli teatralnych, w którym grała główną rolę, zauważył ją reżyser filmowy i postanowił zaangażować do swojej kinowej produkcji. Miała grać młodą Palestynkę. Film miał przedstawić libańskim widzom sytuację palestyńskiej młodzieży. Na końcu filmu dziewczyna wylatywała do Europy.

– To był film z dużym elementem komediowym. Byłam dziewczyną z obozu, której historia miała zobrazować realia życia Palestyńczyków. To był bardzo prawdziwy film. Tak naprawdę grałam siebie. To była historia o mnie – mówi mi Bajan.

Gdy nagrywano zdjęcia, w Bejrucie trwała już rewolucja – ta, która wybuchła jesienią 2019 r. przeciw skorumpowanemu systemowi. W protesty włączyły się niemal wszystkie grupy wyznaniowe i etniczne Libanu, w tym Palestyńczycy. Przez chwilę była nadzieja, że w systemie, który wykluczał pokaźne grupy, w tym Palestyńczyków, coś się zmieni.

Bajan też miała nadzieję, a jej kariera nabierała kolorów. Dopiero co film z jej udziałem trafił na ekrany, a już dostała propozycję objazdu pięciu libańskich miast z nowym spektaklem, w którym miała grać główną rolę. – To był wyjątkowy moment, bo po raz pierwszy miałam otrzymać gażę za występy teatralne – wspomina.

Ale wtedy zadzwonił telefon. To był ojciec. Powiedział, że dziewczyny wreszcie mogą dołączyć do niego w Niemczech. Bajan: – Byłam w szoku. Tak strasznie chciałam wystąpić w tym spektaklu, tak ciężko na to pracowałam. Miałam też zacząć dwunastą, ostatnią, klasę. Byłam zrozpaczona.

„Będziesz czyścić kible"

Wiedziała jednak, że musi jechać. Nie tylko dlatego, że tęskniła za ojcem, który przecież także dla niej przebył drogę do Niemiec i teraz tam harował.

Wiedziała, że mimo świetnych ocen, talentu i już aktorskiego doświadczenia, w Libanie nigdy nie będzie grać głównej roli: – Zawsze będę tam Palestynką. Nigdy nie dostanę takiej pracy, jaką chcę, nigdy nie będę panią swojego losu. Nawet jak skończę architekturę, nie będę mogła otworzyć swojego biznesu. Może mogłabym być aktorką, ale nie taką, jaką bym chciała być. W Libanie nie ma palestyńskich gwiazd.

Bajan wraz z matką i siostrami dotarły do Niemiec w czasie pandemii. Nie mogła wychodzić do ludzi, poznawać miasta ani chodzić do szkoły. Magdeburg wydał się jej obcy i ponury. Zdiagnozowano u niej depresję.

Gdy pandemiczne obostrzenia zelżały, Bajan dostała wiadomość z urzędu: od początku roku szkolnego miała dołączyć do szkoły zawodowej.

Wspomina: – Bardzo mnie to zabolało. Miałam w końcu świetne oceny, w Libanie został mi rok do pójścia na studia, co było dla mnie ważne. A w Niemczech nie pozwolono mi się dalej uczyć. Wysłano mnie do szkoły, gdzie uczono mnie pracy z drewnem i metalem. Nikt mnie nie zapytał o zdanie.

Ten rok w Niemczech wspomina jako najgorszy w swoim życiu. Nie znała niemieckiego, jej koledzy z klasy to byli ludzie po dwudziestce, którzy chcieli zdobyć jakiekolwiek wykształcenie. Nauczyciele nie wspierali jej ambicji.

Bajan: – Na początku roku szkolnego powiedziałam mojemu wychowawcy, że chcę się przenieść do normalnej szkoły, a potem iść na architekturę. Odparł, że nie jestem dość mądra. Oraz że i tak będę kiedyś czyścić kible. To bolało. To samo powiedział mojej jedynej szkolnej przyjaciółce, która przyjechała z Syrii.

Obelgi na ulicy

Dyskryminacja nie ograniczała się do szkoły. W Magdeburgu, w byłej NRD, rasizm był na porządku dziennym.

Bajan: – Na ulicach stale doświadczałam dyskryminacji. Raz jeździł za mną samochód z logo Alternatywy dla Nie-

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**



AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

Bajan puszcza gołębie na dachu w Szatili. Liban, 2018 r.

miec, a ludzie siedzący w nim krzyczeli na mnie obelgi. Nic nie zrobiłam, po prostu wyglądam inaczej.

Dodaje, że jej doświadczenie i tak jest niczym w porównaniu z tym, co przeżyły matka i siostry, które noszą hidżab (ona wtedy nie nosiła). Wobec nich leciało najwięcej obelg.

Po roku w szkole zawodowej trafiła w końcu do liceum, znowu do jedenastej klasy. Była o dwa-trzy lata starsza od kolegów i koleżanek. Ale najważniejsze było dla niej, że po ukończeniu tej szkoły będzie mogła iść na studia.

Jej niemiecki był już świetny. Z matematyki była najlepsza w klasie. Jej życie trochę się poprawiło, zaczęła mieć znajomych. Ale nikt nie dał jej zapomnieć, że jest Palestynką.

Bajan: – Miałam nauczyciela, który powtarzał, że to Żydzi, a nie Palestyńczycy mają prawo do Palestyny, bo Izrael to ich ziemia obiecana. Mówił też o Holokauście. Stale się z nim kłóciłam, bo przecież każdy może powiedzieć, że jakaś ziemia jest mu obiecana. I co ja mam wspólnego z Holokaustem? Przecież to nie Palestyńczycy są za niego odpowiedzialni.

Wspomina: – Znam mój naród i próbowałam mu tłumaczyć, że nie mamy nic przeciw Żydom, mieszkaliśmy w końcu obok siebie setki lat. Mam za to problem z ruchem syjonistycznym, który pozbawił nas domu. Ale zazwyczaj starałam się go ignorować.

Egzaminy na studia zdała celująco. Dostała się na wszystkie trzy wydziały architektury, na które aplikowała. Wybrała Brunszwik, bo to najbliżej domu i może odwiedzać rodzinę w weekendy.

Brunszwik, zachodnie Niemcy, różni się od Magdeburga diametralnie: – Ludzie tu nie patrzą na ciebie z nienawiścią, nawet jak nie mówisz po niemiecku. Tu czuję się bardziej akceptowana. To tylko 80 km od Magdeburga, ale tu nikt nikogo nie wyzywa.

Bajan zakłada hidżab

Na studiach poznała nowych ludzi. Są mili, ale Bajan nie czuje się akceptowana. – To dobrzy ludzie, szanują cię, ale nie akceptują do końca. Ja nie piję, nie imprezuję i nie pasuję do ich towarzystwa. Mamy oddzielne życia – mówi.

Studia dały jej śmiałość, aby bardziej wyrażać siebie. Chodzi na propalestyńskie demonstracje, które zwykle są brutalnie tłumione przez niemiecką policję.

W czasie ramadanu, w marcu tego roku, zdecydowała się założyć hidżab. Mówi, że zawsze chciała to zrobić, ale w Magdeburgu się bała. W Brunszwiku nabrała pewności siebie.

Niemcy nie są jednak rajem: – Nie wierzę już w wolność słowa w Niemczech. Nie mogę publicznie wywieszać mojej flagi. Wszystkie inne narody mogą, a Palestyńczycy nie.

– *Keffiyeh* to kiedyś była dla mnie po prostu chusta, coś, co nosili wszyscy Palestyńczycy. Dziś nie mogę jej już nosić – mówi. – Ale w Niemczech jest bezpiecznie. Nie spadają bomby. A to najważniejsze. Może przyjmę niemieckie obywatelstwo, żeby więcej się nie bać, że w razie zagrożenia za granicą nikt się za mną nie wstawi.

Obywatelka drugiej kategorii

Gdy pytam Bajan, gdzie jest jej dom, nie wie, co odpowiedzieć. Domem nie jest Syria, gdzie się urodziła (prawie jej nie pamięta). Nie jest nim Liban, skąd zawsze chciała uciec. Ale nie są nim też Niemcy, gdzie, jak mówi, zawsze będzie się czuć obywatelką drugiej kategorii.

– W Libanie nie miałam przyszłości, ale miałam życie. W Niemczech jest przyszłość, ale nie ma życia – ocenia.

Dlaczego? – Bo tu jesteś maszyną, od której wymaga się, by spędzała cały swój czas w pracy. Jak nie pracujesz, nie jesteś nikomu potrzebny. Pragnęłabym zamieszkać w Palestynie, to tam jest dom. Ale to na razie nie jest możliwe.

W przyszłości nie wie, czy zostanie w Niemczech. Może uda jej się wyjechać do Kuwejtu czy Kataru? Czyli do bezpiecznego kraju arabskiego, gdzie będzie czuć się bardziej u siebie niż w Niemczech. Może tam będą potrzebować palestyńskiej architektki z niemieckim dyplomem?

Tyle że Bajan nie chce być już jak Zaha Hadid. Jej rozczarowanie architekturą przyszło stopniowo, tak jak rozczarowanie Niemcami.

Dziś uważa, że projekty Hadid – wyróżniające się rozmachem i futurystyczną formą – służą głównie zaspokajaniu ego zamawiających (czy byli nimi autokraci z Kaukazu i Bliskiego Wschodu, czy ludzie z Zachodu).

Tymczasem Bajan uważa, że architektura to zadanie odpowiedzialne społecznie. – Gdy budujesz np. reprezentacyjny pawilon, zwykle ktoś na tym traci, bo kogoś trzeba wysiedlić. Reprezentacyjne budowle kosztują masę pieniędzy, a służą głównie inwestorom. Nie spełniają wielu funkcji społecznych – przekonuje Bajan.

– Wolałabym zajmować się zrównoważoną architekturą – dodaje. – Taką, która służy ludziom.

© AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

Wszystkie deale Trumpa

MARTA ZDZIEBORSKA

USA | Dzięki powrotowi do władzy prezydent nie tylko uciekł od problemów prawnych, ale także dobrze na niej zarabia. Znów z korzyścią dla całej swojej rodziny.

Mar-a-Lago, ekskluzywna rezydencja nad Oceanem Atlantyckim, to jedna z najlepszych inwestycji Trumpa. Nie dość, że jej wartość w ostatnich latach mocno wzrosła, to jest maszynką do zarabiania na miliarderach. Do klubu w Palm Beach należy pięciuset członków, którzy płacą wysokie roczne opłaty i zostawiają krocie w barze, restauracji i sali do gry w karty. Trump zarabia tu także na organizacji przyjęć.

Gdy w 2017 r. po raz pierwszy znalazł się w Białym Domu, uznał, że z Mar-a-Lago może wycisnąć jeszcze więcej. Tylko dlatego, że został prezydentem, podniósł wpisowe do 200 tys. dolarów. Dziś opłata wynosi pięć razy więcej i nie sposób tego wytłumaczyć inflacją. Ostatnią podwyżkę – z 700 tys. do miliona dolarów – wprowadzono w październiku 2024 r., niedługo przed wyborami prezydenckimi.

PŁYNĄ MILIONY | Gdy wkrótce potem Trump je wygrał, Mar-a-Lago znów stało się mekką dla szefów korporacji, lobbystów i gigantów technologicznych próbujących wkupić się w jego łaski. Na tych pielgrzymkach skorzystała Melania Trump. To po wizycie w Mar-a-Lago założyciel Amazona, Jeff Bezos, zgodził się zainwestować w produkcję filmu dokumentalnego na jej temat. Według nieoficjalnych doniesień Melania zarobi na tym 28 mln dolarów.

Ci, którzy chcą zyskać przychylność Trumpa, szturmują też inne jego ośrodki, coraz droższe dla klientów. Np. wpisowe w klubie golfowym w Bedminster w stanie New Jersey urosło z 75 tys. do 125 tys. dolarów. Ale opłaty to nie wszystko. Chcąc przypodobać się Trumpowi, niektórzy zasilają powiązany z nim komitet MAGA Inc. – w pierwszym półroczu 2025 r. zebrał on 177 mln dolarów.

To zawrotna suma jak na grupę wspierającą polityka bez szans na reelekcję (w Stanach, tak jak w Polsce, można być prezydentem dwie kadencje). Mimo to protrumpowski komitet za udział w kolacji z prezydentem inkasuje ponoć od darczyńców milion dolarów. Według doniesień medialnych spotkanie sam na sam z Trumpem może kosztować 5 mln dolarów.

LATAJĄCY PREZENT | Także rodzina Trumpa chce zarabiać na jego obecności w Białym Domu. Najstarszy syn, Donald Trump Jr., zainwestował w klub w Waszyngtonie, gdzie wstęp możliwy jest po otrzymaniu zaproszenia i wpłaceniu pół miliona dolarów wpisowego. Zgodnie z nazwą klubu – Executive Branch, Organ Wykonawczy – lobbyści i przedsiębiorcy mają spotykać się tam z doradcami prezydenta i członkami jego gabinetu. Taki pomysł budzi wątpliwości etyczne, jednak za drugiej kadencji Trumpa już nic nie wydaje się szokować.

Może poza przyjęciem przez prezydenta luksusowego samolotu od władz Kataru, o czym w maju mówił cały świat. Odrzutowiec, zwany „latającym pałacem", po kosztownych przeróbkach – związanych z wymogami bezpieczeństwa – ma służyć jako samolot prezydencki. Trump zadeklarował, że po zakończeniu rządów przekaże go bibliotece jego imienia (ta jeszcze nie powstała).

BIZNESY PO ŚWIECIE | Katarczycy podarowali prezydentowi odrzutowiec niedługo po tym, jak jego średni syn, Eric Trump, podpisał w Katarze umowę na budowę pola golfowego i osiedla nadmorskich willi. Jako wiceprezes Trump Organization, firmy współzarządzanej przez niego na czas prezydentury ojca, przypieczętował też intratne projekty w Dubaju i Arabii Saudyjskiej.

W celach biznesowych do Europy poleciał z kolei Donald Junior: pod koniec kwietnia spotkał się m.in. z Aleksandarem Vučiciem, prezydentem Serbii – kraju, który zgodził się wcześniej na zbudowanie w Belgradzie hotelu sygnowanego nazwiskiem Trumpa. Projekt budzi kontrowersje: ma powstać w miejscu dawnego ministerstwa obrony Jugosławii, zbombardowanego w 1999 r. przez siły NATO.

Wpływy rodziny prezydenta USA sięgają też Wietnamu. W maju Eric uczestniczył w ceremonii rozpoczęcia budowy luksusowego osiedla i pól golfowych na przedmieściach Hanoi, stolicy kraju. Trump Organization i jej lokalny partner dostali zgodę na tę budowę od wietnamskiego rządu w czasie, gdy ten negocjował obniżenie ogłoszonych przez Biały Dom 46-procentowych ceł na towary eksportowane z Wietnamu do USA.

W ŚWIECIE KRYPTO | Nową miłością rodziny prezydenta, która już za pierwszej jego kadencji robiła interesy za granicą, są kryptowaluty. Na ostatniej prostej kampanii prezydenckiej Trump wraz z synami i innymi inwestorami uruchomili nową firmę: World Liberty Financial oferuje kryptowalutowe tokeny $WLFI.

Z zeznania finansowego Trumpa za rok 2024 wynika, że dzięki udziałom w tej firmie zarobił na czysto ok. 57 mln dolarów. Na początku września wypuszczono tokeny na giełdy kryptowalut, co ma jeszcze bardziej podnieść zyski. Po debiucie $WLFI Trumpowie wzbogacili się o 5 mld dolarów – przynajmniej na papierze.

Prezydent zarabia też na własnej kryptowalucie, którą wprowadził na rynek w styczniu, przed objęciem urzędu. Według „Financial Timesa" w pierwszych tygodniach sprzedaż memecoina o nazwie $TRUMP przyniosła co najmniej 350 mln dolarów zysku. Gdy potem jego cena spadła poniżej 10 dolarów za sztukę, ogłoszono, że Trump zaprosi największych 220 inwestorów na kolację w swoim klubie golfowym w Wirginii.

Grupie 25 wybrańców, którzy wpompowali najwięcej w memecoiny, zaproponowano dodatkowe spotkanie z prezydentem i oprowadzanie po Białym



SCOTT OLSON / GETTY IMAGES

Prezydent elekt Donald Trump opuszcza swój klub Mar-a-Lago na Florydzie, 8 stycznia 2025 r.

Domu. Chwyt marketingowy zadziałał: cena memecoina z dnia na dzień podskoczyła o ponad 60 procent.

Jednocześnie Trump liberalizuje przepisy dotyczące kryptowalut i obsadza stanowiska ludźmi przychylnymi temu rynkowi. W lutym administracja wycofała się z pozwu przeciw Coinbase, giełdzie kryptowalut. Przekazała ona milion dolarów na inaugurację Trumpa. Taką darowiznę wpłaciły też inne firmy pragnące uzyskać korzystne dla siebie regulacje.

ZAPACH SUKCESU | Jak przystało na biznesmena, Trump nie zapomniał o czerpaniu zysków w skali mikro, czyli wysysaniu pieniędzy od fanów z ruchu MAGA. W sklepie internetowym prowadzonym przez Trump Organization można kupić czapki z hasłem „Make America Great Again", bluzy, koszulki, a nawet stroje do pilatesu i golfa, fartuchy oraz bombki.

Nowym sposobem na zarabianie są perfumy o nazwie „Victory 45-47", które – jak reklamował Trump na platformie Truth Social – gwarantują „zwycięstwo, siłę i sukces". Wszystko za jedyne 249 dolarów. Jeszcze przed objęciem urzędu Trump zarabiał na limitowanej edycji perfum „Fight, fight, fight" – nawiązanie do słów, które wykrzyczał po próbie zamachu na jego życie w lipcu 2024 roku.

Jak można dorobić się na gadżetach, pokazuje zeznanie finansowe Trumpa za ubiegły rok. Ze sprzedaży sygnowanych swoim nazwiskiem gitar, zegarków, butów, perfum i Biblii zgarnął prawie 8 mln dolarów.

Mówimy zresztą o człowieku, który w trakcie kampanii zarabiał na swoich problemach prawnych. Po tym, jak w sierpniu 2023 r. stawił się w areszcie w Georgii, gdzie był oskarżony o próbę odkręcenia wyników wyborów w 2020 r., sprzedawał t-shirty i inne gadżety ze swoim zdjęciem z akt policyjnych (postępowanie w Georgii utknęło w martwym punkcie). Ponieważ nie ściga się urzędujących prezydentów, w listopadzie 2024 r. umorzono z kolei dwie federalne sprawy karne Trumpa.

UCHYLONA KARA | Powrót do Białego Domu nie ochronił go jednak przed problemami finansowymi. Gdy zaczynał ponownie prezydenturę, nadal miał do zapłacenia ponad pół miliarda dolarów kary w dwóch sprawach cywilnych. W jednej skazano go za oszustwa finansowe w Trump Organization, w drugiej za zniesławienie pisarki E. Jean Carroll.

Choć ostatecznie sąd apelacyjny uchylił astronomiczną karę w sprawie oszustw, Trump zapewne pamięta, jak gorączkowo szukał firmy ubezpieczeniowej chętnej do udzielenia mu poręczenia. Sam, jak twierdził, nie miał dość gotówki, by zabezpieczyć kaucję i powstrzymać nowojorską prokuraturę przed zajęciem jego majątku.

Być może dlatego prezydent tak mocno inwestuje dziś w kryptowaluty, bo chce zgromadzić jak najwięcej płynnych aktywów finansowych, co może go zabezpieczyć w przyszłości w podobnych sytuacjach.

NOWY POZIOM | Działania Trumpa wyróżniają go na tle innych prezydentów USA. Wprawdzie oni też bogacili się na fakcie zasiadania w Białym Domu, ale zwykle po odejściu z urzędu.

Tradycyjnie eksprezydenci zarabiają na wydawaniu bestsellerowych autobiografii i wykładach. Niecałe sto dni po zakończeniu drugiej kadencji Barack Obama za jedno przemówienie zainkasował 400 tys. dolarów, czyli równowartość rocznej pensji prezydentów USA. Obama wziął pieniądze od jednego z banków, choć w czasie urzędowania krytykował finansistów z Wall Street.

Cięgi za przemówienia opłacane przez banki zbierała też Hillary Clinton, była rywalka Trumpa w wyborach w 2016 r. Innym razem skandal wybuchł, gdy za rządów jej męża Billa wyszło na jaw, że jako niedoświadczona inwestorka zarobiła prawie 100 tys. dolarów na kontraktach terminowych. Biały Dom musiał się z tego tłumaczyć, choć sprawa dotyczyła końcówki lat 70. XX w., na długo zanim Hillary została pierwszą damą.

Konflikty interesów to bolączka polityki w USA. Weźmy przykład Huntera Bidena, który za prezydentury ojca sprzedawał za dzikie pieniądze swoje amatorskie obrazy, co rodziło pytanie, czy kupujący chcą coś ugrać w Białym Domu. Inna historia dotyczy byłej szefowej Izby Reprezentantów Nancy Pelosi: jej mąż inwestuje na giełdzie, choć jako kongresmenka ma ona informacje potencjalnie kluczowe dla tych transakcji. Pelosi wielokrotnie zaprzeczała, jakoby doradzała w inwestycjach mężowi.

Dziś te historie mogą wydać się błahostką. Trump wyniósł bogacenie się na władzy na poziom wcześniej nieznany. ©

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".

Zakochani w Orkadach



PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

TURYSTYKA | Ten archipelag na północy Szkocji od lat jest w czołówce najlepszych do życia miejsc w Wielkiej Brytanii. Nic dziwnego, że przyciąga turystów. Jednak coraz więcej ich mieszkańców obawia się, że presja turystyczna staje się zbyt wielka.

Pierwszy tydzień września nie wydawał się aż taki zły dla mieszkańców Kirkwall – stolicy i zarazem największego miasta Orkadów. Największego nie znaczy jednak, że wielkiego: populacja miasteczka liczy raptem 9 tys. osób.

W poniedziałek, 1 września, do portu zawinął wycieczkowiec „Regal Princess" z ponad 4 tys. pasażerów na pokładzie. W kolejne dni statki przywoziły nie więcej niż po kilkuset turystów. Potem jednak, w czwartek, z wycieczkowca „AIDAluna" na ląd zeszły ich ponad dwa tysiące.

O tym, jaki wycieczkowiec i kiedy zawinie do portu w Kirkwall, przypominają mieszkańcom władze samorządowe na swoim profilu na Facebooku. Mogą się więc na to wcześniej przygotować.

Listę wizyt wszystkich wycieczkowców, rozplanowanych na cały rok, udostępnia też kapitanat portu. To z niej wiadomo, że pierwszy w tym roku z grona olbrzymich statków turystycznych zacumował tam 1 kwietnia („Viking Vela", 998 pasażerów), a ostatni zawinie do Kirkwall 10 listopada („Ambience", planowo 2043 pasażerów).

Wtedy sezon turystyczny – warunkowany jesiennymi i zimowymi sztormami – się zakończy, a ulice miasteczka i turystyczne atrakcje opustoszeją. Aż do następnej wiosny.

Realia codzienności

Cztery tysiące turystów: taka liczba zapewne nie zrobiłaby wrażenia na mieszkańcach Wenecji, która zmaga się z masową turystyką, i którą w sezonie jednego dnia może odwiedzić nie kilka, lecz kilkadziesiąt tysięcy osób.

Jednak Kirkwall to miasto naprawdę niewielkie, zajmuje obszar czterech kilometrów kwadratowych. Ponadto większość turystów, którzy przybywają na Orkady, zmierza do tych samych miejsc – jak słynny neolityczny krąg kamienny Ring of Brodgar. Wszystko zaś, co chcieliby tutaj obejrzeć – to także np. urokliwa starówka z XVI-wiecznymi kamieniczkami – muszą zobaczyć w ciągu jednego dnia.

Bo wielkie statki wycieczkowe, te pływające miasta, zwykle cumują w porcie rano, a już wieczorem odpływają do kolejnego celu morskiej podróży – kolejnego pięknego miejsca „do odhaczenia" na liście marzeń.

Ma to konsekwencje – i rzecz nie tylko w zakorkowanych autobusami drogach czy tłoku w odwiedzanych miejscach. Wpływa to na innych turystów – tych, którzy przyjechali tutaj indywidualnie, a nie mają nawet szans, żeby kupić bilety wstępu (o ile przezornie nie zabukowali ich dużo wcześniej).

Są i mniej oczywiste problemy – np. gdy pasażerowie wycieczkowca zechcą wykupić swoje recepty w orkadyjskich aptekach, może zabraknąć leków dla mieszkańców. Tymczasem na ich dostawę trzeba czasem czekać długo. Bo tutaj zwykle czeka się na dostawę czegokolwiek. Realia codziennego życia na niewielkich wyspach są zupełnie inne niż na stałym lądzie.

Blaski i cienie wycieczkowców

W 2024 r. Orkady – archipelag siedemdziesięciu wysp, z których zamieszkanych jest dwadzieścia, a żyje na nich 22 tys. ludzi – odwiedziło ponad 386 tys. przybyszów. Ogromna większość z tej liczby to turyści. Jedynie niespełna 30 tys. przypłynęło tutaj, by odwiedzić rodzinę, a kolejne 30 tys. w sprawach biznesowych.

Z tych 320 tys. turystów niemal 214 tys. przybyło na wycieczkowcach. Popularność tych wielkich statków ostatnio rośnie – wcześniej, w 2019 r., jeszcze przed epidemią covidu, na Orkady przybyło w ten sposób jedynie 132 tys. turystów, a zatem niemal o połowę mniej niż obecnie.

Przyznajmy: wycieczkowce przynoszą Orkadom nie tylko kłopoty, ale też pieniądze. W 2023 r. oceniano, że jest to rocznie 12-15 mln funtów (opłaty portowe itp.). Z kolei wydatki wszystkich turystów oraz firm turystycznych to jeszcze więcej – w 2022 r. wygenerowały one łącznie w lokalnej gospodarce 87 mln funtów.

Te liczby mogą jeszcze wzrosnąć – rozważane jest wprowadzenie dodatkowej opłaty turystycznej, tak jak w Wenecji i jak planuje zrobić Edynburg, stolica Szkocji.

Przedsiębiorcy i mieszkańcy (nie tylko ci oferujący kwatery) nie chcieliby jednak, aby była to – jak to jest proponowane – opłata wnoszona przez tych, którzy na wyspach nocują, i aby była ona zależna od kosztów noclegu. Wskazują, że byłoby lepiej, gdyby była to opłata ujednolicona i obowiązująca wszystkich przybywających na Orkady, a nie tylko tych zatrzymujących się na dłużej. Wtedy objęłaby



IAIN MASTERTON / ALAMY

Statki wycieczkowe przywożą do 9-tysięcznego Kirkwall na Orkadach tysiące turystów. Szkocja, 31 sierpnia 2023 r.

bowiem także jednodniowych gości z wycieczkowców.

Jesteśmy kruchą społecznością

– Budżet się kurczy, ale władze samorządowe robią co mogą i wkładają mnóstwo środków, pieniędzy i zasobów ludzkich w usługi wspierające biznes turystyczny, pośrednio i bezpośrednio – mówi „Tygodnikowi" Christie Hartley, która mieszka na Orkadach od 20 lat i zajmuje się kwestiami zrównoważonej turystyki.

– Jeśli zaś chodzi o wycieczkowce – dodaje Hartley – to ta część rynku turystycznego powinna być skoordynowana z resztą. Te statki nie mają żadnej relacji z ich celami na trasie, przynajmniej nie tutaj. Może nawet nie wiedzą, jakie tu są problemy.

Christie Hartley podkreśla: – To trzeba głośno powiedzieć: jesteśmy kruchą społecznością z ograniczonymi zasobami. Ludzie muszą zrozumieć, że są tu bardzo mile widziani, ale że to jest także nasz dom. I trzeba po prostu odbyć tę rozmowę między mieszkańcami a operatorami statków.

Do rozmowy zachęcają też mieszkańców lokalne władze: w sierpniu uruchomiły platformę „Our Orkney, Our Story" (nasze Orkady, nasza opowieść), gdzie każdy może podzielić się swoimi doświadczeniami związanymi z branżą turystyczną. Wyniki tej quasi-ankiety pozwolą stworzyć listę najbardziej palących zagadnień. Te zaś mogą być różne w różnych miejscach – inne w Kirkwall, a inne na małych wyspach.

Wycieczki na miarę

– Rzadko mam do czynienia z pasażerami statków, organizuję spersonalizowane wycieczki dla indywidualnych klientów. Ale czasem w pewnych miejscach może być tłok – przyznaje w rozmowie z „Tygodnikiem" Kinlay Francis, rudawy brodacz, który prowadzi rodzinną firmę Orkney Uncovered.

U Kinlaya można zamówić wycieczkę „skrojoną na miarę": dostosowaną do czasu, jaki klient planuje spędzić na archipelagu, oraz do zainteresowań. Jednych fascynują neolityczne kamienne monumenty, innych historie z II wojny światowej, gdy Orkady odgrywały istotną rolę w dramatycznej bitwie o Atlantyk.

Z kolei ktoś inny może zapragnąć, aby odwiedzić kilka mniejszych wysp. To zupełnie inne doświadczenie niż podróż wycieczkowcem. Cieszy się powodzeniem – Kinlay ma kalendarz gęsto zabukowany niemal do ostatnich dni października.

Potem będzie kilka spokojniejszych zimowych miesięcy. Ponownie rezerwacje pojawiają się w marcu.

Większość klientów Kinlaya pochodzi ze Stanów Zjednoczonych. – To lubię w mojej pracy: że mogę pokazywać surowe piękno Orkadów ludziom z całego świata – mówi przewodnik.

Ruch turystyczny na Orkadach jest bardzo sezonowy – zarówno ten indywidualny, jak i ten generowany przez wielkie statki. Zimą na wyspach może być pusto. Tymczasem, dowodzi Kinlay, to wtedy można zobaczyć zorzę polarną nad Ring of Brodgar – i to bez tłumu wokół.

– Innym moim ulubionym miejscem jest plaża Rackwick na wyspie Hoy. Jest wspaniała cały rok, ale uwielbiam przychodzić tam jesienią i zimą, kiedy nie ma wielu ludzi. Prąd Zatokowy sprawia, że rzadko jest tu śnieg lub mróz – mówi mi Kinlay. – Bardzo lubię też Yesnaby, gdzie są dramatycznie wyglądające klify.

Co łączy Tatry i Orkady?

Z sondażu prowadzonego w 2024 r. przez Radę Orkadów (Orkney Islands Council) i portal VisitScotland wynika, że najbardziej popularnym celem przybywających tu turystów jest wspomniany Ring of Brodgar. Ten kamienny krąg zobaczyło aż 82 proc. turystów. Na kolejnym miejscu jest neolityczna osada Skara Brae (75 proc.), a potem katedra św. Magnusa w Kirkwall (69 proc.), której gmach łączy w sobie style normański (także Wikingowie postawili tu swoją stopę), romański i gotycki.

Wszystkie te miejsca znajdują się na głównej wyspie archipelagu. Mniejsze wyspy, jak Papa Westray, Stronsay czy Sanday, odwiedzało tylko kilka procent gości. To kolejna – obok sezonowości – cecha ruchu turystycznego na Orkadach: koncentruje się on w kilku miejscach.

Odbija się to na zabytkach i powoduje kolejne problemy. Kamienny Ring of Brodgar zagrożony jest erozją wywołaną przez setki tysięcy ludzi, którzy drepczą wokół niego (krąg wewnętrzny nie zawsze jest już dostępny). Niesie to dodatkowe koszty związane z zabezpieczeniem terenu i utrzymaniem ścieżek. ↦

↦ Od kilku lat głośno jest też o problemie, który w tym roku publicznie postawił Tatrzański Park Narodowy: fekalizacji. Turyści załatwiają potrzeby fizjologiczne gdzie popadnie, także koło kamieni, które znajdują się na liście światowego dziedzictwa UNESCO.

W sytuacji, gdy krąg odwiedzają takie tłumy, toalety, choćby przenośne, wydają się oczywistą koniecznością. Ponieważ jednak jest to miejsce objęte nadzorem UNESCO, a do tego jest to obszar ochrony przyrody (wydry w pobliskim Loch of Stenness i różne gatunki ptaków) o szczególnym znaczeniu naukowym, postawienie tu czegokolwiek jest wyzwaniem prawnym, technicznym i logistycznym.

Gospodarze też są ważni

W celach strategii turystycznej Orkadów zapisano, że do roku 2030 powinny one stać się „zrównoważonym celem podróży, wzbogacającym życie mieszkańców i turystów".

Tylko jak to osiągnąć? – Ważna jest tzw. turystyka regeneracyjna – uważa Christie Hartley. Za pojęciem tym kryje się taki model turystyki, który uwzględnia poprawę kondycji odwiedzanych miejsc czy wzmocnienie więzi społecznych.

– Zwykle w turystyce priorytetem jest aspekt ekonomiczny. Patrzy się na nią wręcz jak na transakcję między odwiedzającym a odwiedzanym miejscem. Uważam, że trzeba zmienić to nastawienie – przekonuje Hartley.

W 2024 roku Orkady, na których żyje 22 tysiące ludzi, odwiedziło ponad

330 tysięcy turystów.

– Trzeba przestać myśleć o tym, jak poprawić tzw. *visitor experience*, doświadczenie i komfort gościa, a skupić się na ludziach i miejscach, gdzie żyją. Jeśli nasza społeczność będzie się prężnie rozwijać, będzie przyciągać turystów. Wspaniałe miejsca to wspaniałe turystyczne cele! Zyski gospodarcze powinny być nie jedyną, lecz jedną z wielu korzyści – dowodzi Christie Hartley.

Mieszkańcy wysp są ważni nie tylko jako pracownicy sektora turystycznego, ale także jako gospodarze archipelagu.

We wspomnianym badaniu prowadzonym przez samorząd i portal VisitScotland niemal wszyscy ankietowani turyści (96 proc.) zadeklarowali, że czuli się mile widziani na Orkadach. W tym 14 proc. z nich wskazało na miejscową społeczność jako na jeden z najlepszych punktów podróży.

Ciekawe, że 23 proc. uznało jako minus... innych turystów. Szczególnie tych ze zorganizowanych grup – ze statków i autokarów.

Tutaj chcę żyć

– Ludzie są duszą i sercem, bijącym sercem turystyki na Orkadach – mówi mi Christie Hartley.

Christie nie pochodzi z Orkadów. Przyjechała tutaj z Kanady 20 lat temu na wakacje. Wspomina: – Już pierwszego dnia zakochałam się w Orkadach. Drugiego dnia zakochałam się w moim przewodniku i byliśmy szczęśliwym małżeństwem przez 13 lat.

Dodaje: – Przyjeżdża się tu dla miejsca, ale zakochuje w ludziach.

– Pochodzę z Orkadów i mieszkam tu przez większość swojego życia. To wspaniałe miejsce, tutaj chcę żyć i wychowywać mojego syna – mówi mi z kolei Kinlay Francis.

Orkady od lat pojawiają się w czołówce najszczęśliwszych, najlepszych do życia miejsc w całej Wielkiej Brytanii. Może dlatego spora część turystów, również tych przybyłych na podkładach wycieczkowców, po jakimś czasie tutaj powraca. Po to, aby podczas kolejnej podróży poznać archipelag lepiej – i zostać tutaj dłużej niż tylko jeden dzień.

© PATRYCJA BUKALSKA

Amerykańscy turyści z wycieczkowców cumujących w Kirkwall podczas zwiedzania neolitycznego kręgu kamienego na Orkadach. Szkocja, 1 września 2023 r.



IAIN MASTERTON / ALAMY / BE&W



FRANCESCO MILITELLO MIRTO / AFP / EAST NEWS

Protest hiszpańskich strażaków domagających się lepszych płac i warunków pracy przed Ministerstwem Finansów w Madrycie. 3 września 2025 r.

Próba ognia

MARTYNA LESZCZYŃSKA Z LIZBONY

POŻARY | Kolejny rok z rzędu dotykają Portugalię i Hiszpanię. Naukowcy mówią już nie o antropocenie, lecz „pirocenie": epoce ognia, w której megapożary stają się metafizycznym tłem naszej codzienności.

Gdy Ferdynand Magellan i jego załoga dopływali w XVI w. na kraniec Ameryki Południowej, nad lądem unosił się dym, a brzeg spowijała nocą poświata pochodząca z ognisk rozpalanych przez tubylców. Stąd wzięła się nazwa lądu nadana przez Europejczyków – Ziemia Ognista. Niegdyś był to geograficzny „kraniec świata".

Tymczasem dzisiaj tym samym terminem amerykańscy żeglarze mogliby określić ojczyznę Magellana – Portugalię. A także Hiszpanię i inne państwa rejonu Morza Śródziemnego, które od lat regularnie zmagają się z bezlitosnym żywiołem. Podsycanym z roku na rok przez coraz bardziej dotkliwe fale bezprecedensowych letnich upałów.

CORAZ CIEPLEJ | Najnowsze pomiary ze stacji meteorologicznych, rozsianych po całej Europie, nie pozostawiają złudzeń: pod koniec czerwca w portugalskiej Morze odnotowano rekordową dla kraju temperaturę 46,6 stopni. Z kolei średnia temperatura w kontynentalnej Hiszpanii w lipcu wyniosła 23,8 stopni i jest to wartość o 0,7 stopnia wyższa od średniej z poprzednich lat.

Virginia Barcones, szefowa hiszpańskiego urzędu ds. ochrony ludności i sytuacji kryzysowych, podała, że najgorsze i najtragiczniejsze pożary lasów w najnowszej historii kraju są chwilowo zażegnane.

Monitorowanie zagrożeń i prognozowanie zmian klimatu umożliwia realizowany przez Komisję Europejską program Copernicus, którego satelity i naziemne czujniki informują o aktualnym stanie atmosfery i oceanów, umożliwiając szybszą interwencję, a co za tym idzie – efektywne zapobieganie dotkliwym stratom materialnym i wypadkom śmiertelnym.

NA POMOC HISZPANII | Mimo tych zaawansowanych technologicznie narzędzi ogień potrafi być destrukcyjny, o czym Hiszpanie przekonali się już nie jeden raz. Niszczy on wszystko, co napotka na swojej drodze, a tegoroczne płomienie zdecydowanie nie dają taryfy ulgowej.

W przeciągu ostatniego miesiąca odnotowano 93 pożary, z których 23 były aktywne jednocześnie w pięciu różnych wspólnotach autonomicznych (odpowiednik województw). Straty szacuje się na ponad 300 tys. hektarów ziemi. To tak, jakby z mapy wymazać niemal całą Majorkę. Jak dotąd zginęły cztery osoby.

Unijny Mechanizm Ochrony Ludności (UCPM) – jego początki sięgają 2001 r. – zapewnia najbardziej dotkniętym przez klęski klimatyczne państwom strategiczne rezerwy ratunkowe (rescEU). Hiszpania otrzymała w tym roku pomoc od kilku krajów, w tym Francji, Włoch, Niemiec, Słowacji, Niderlandów, Czech i Finlandii.

Międzynarodowe ekipy rescEU walczą z żywiołem ramię w ramię nie tylko z hiszpańskimi jednostkami – w całej Europie mechanizm pomocowy został już aktywowany 16 razy (tyle wynosiła liczba zgłoszeń za cały ubiegły rok).

EPOKA OGNIA | Jak wiemy z historii i kultury, ogień od zawsze niósł sprzeczne znaczenia. Z jednej strony jest symbolem wiedzy: w mitologii greckiej Prometeusz wykrada ogień z Olimpu, za co zostaje ukarany przez wściekłego Zeusa. Ogień jako źródło światła i ciepła daje ludzkości nadzieję na przetrwanie, złudne poczucie kontroli nad własnym losem. Jest jednak także symbolem piekła i boskiej kary.

W piątek 29 sierpnia przed lokalnym parlamentem Kastylii i Leónu zgromadziło się ok. 500 protestujących – okazywali niezadowolenie ze sposobu, w jaki lokalny rząd odpowiedział na prędko rozprzestrzeniający się ogień. Podpalili belę słomy i skandowali nazwiska przewodniczącego rządu wspólnoty autonomicznej i ministra środowiska, żądając ich dymisji. Wizerunki polityków trafiły na stos, gdzie spłonęły w geście ludowego potępienia.

Ta ambiwalentna symbolika zaskakująco trafnie oddaje naturę świata, w którym żyjemy. Coraz więcej badaczy mówi już nie o antropocenie, lecz o „pirocenie": epoce ognia, w której megapożary stają się nie tylko fizycznym zagrożeniem, ale też metafizycznym tłem naszej codzienności.

Co prawda pożar w zabytkowym meczecie w Kordobie (dziś pełni rolę katedry) wybuchł zapewne na skutek zwarcia elektrycznego, ale ogień w tak symbolicznym miejscu przypomina o delikatnej równowadze między kulturami i religiami.

Obrazy klęski żywiołowej stają się symbolem świata, który traci kontrolę. Jednak mogą być też impulsem do refleksji. Czy ludzkość zda próbę ognia? ©



CHRISTOF HERDT / MATERIAŁ PRASOWY PARTNERA

Kościół zamkowy w Wittenberdze

Droga Reformatora

Turystyczna pielgrzymka przez Lutherland

Odwiedzając miejsca związane z Marcinem Lutrem – od Eisleben po Wartburg – nie sposób nie poczuć, że turystyka może stać się formą duchowego doświadczenia. Wędrówka po Kraju Lutra to nie tylko lekcja historii Reformacji, ale też spotkanie z krajobrazem, który przez wieki formował religijną i kulturową tożsamość Europy.

Wittenberga – tu wszystko się zaczęło

Niewielka Wittenberga, malowniczo położona nad Łabą, to dziś spokojne, pełne zieleni miasteczko. Jednak w dziejach chrześcijaństwa jej rola była epokowa. To tutaj właśnie Marcin Luter 31 października 1517 roku przybił do drzwi kościoła zamkowego 95 tez. To był manifest, który rozpoczął wielką drogę Reformacji w Kościele trwającą do dziś.

Obecnie Wittenberga przyciąga turystów i pielgrzymów z całego świata. Średniowieczne uliczki, domy z epoki, liczne muzea i instytucje pamięci tworzą wrażenie „protestanckiej Jerozolimy". Można tu zwiedzić kościół zamkowy z symbolicznymi „drzwiami tez", dom Lutra – dawny klasztor augustianów, w którym Luter mieszkał i nauczał, oraz historyczny uniwersytet. Każde z tych miejsc to okazja nie tylko do refleksji, ale i do spotkania z autentyczną przestrzenią, w której historia Reformacji nabiera cielesności.

Zwiedzanie miasta to jak powolna lektura: czasem trzeba się zatrzymać, spojrzeć w górę, zapytać przewodnika, a czasem po prostu usiąść w kawiarni z widokiem na kościół i pozwolić, by ta historia się przetoczyła. Nie przypadkiem miejsca związane z Lutrem w Wittenberdze (dom Lutra, dom Melanchtona, kościół zamkowy i kościół miejski) zostały wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO. To miejsce, w którym przeszłość nie jest atrapą, ale żywym kontekstem.

Eisenach i Wartburg – schronienie i przekład

Położony na wzgórzu nad Eisenach zamek Wartburg to jedno z najważniejszych miejsc w duchowej geografii Niemiec. To tutaj, po potępieniu go jako heretyka przez sejm w Wormacji, Marcin Luter ukrywał się w latach 1521-1522. To również tutaj, jako „Junker Jörg", w zaledwie 11 tygodni przetłumaczył Nowy Testament z greki na język niemiecki

MATERIAŁ PROMOCYJNY

– dzieło nie tylko teologiczne, ale i literackie, które ukształtowało język naszych czasów.

Dla turysty wizyta na Wartburgu to przeżycie wielowarstwowe. Z jednej strony – zapierające dech widoki na dolinę Turyngii, z drugiej – majestatyczna architektura zamku, jego kaplica, dziedziniec, komnaty ozdobione malowidłami i arrasami. Przewodnicy potrafią barwnie opowiadać zarówno o pobycie Lutra, jak i o dużo wcześniejszym pobycie Elżbiety Węgierskiej, która na Wartburgu mieszkała i prowadziła działalność charytatywną w XIII wieku.

Zachowana „izba Lutra" to skromne, surowe wnętrze – a w nim biurko, krzesło, kamienne ściany. Choć wyposażenie jest częściowo rekonstruowane, duch miejsca wydaje się niepodrabialny. W tej samotności, między górami i lasem, rozgrywało się coś więcej niż translacja tekstu: to tu dokonywała się reformacja języka, myślenia, religijności.

Erfurt – miasto przed Reformacją

Choć Wittenberga i Wartburg przyciągają najwięcej uwagi, to właśnie Erfurt – stolica Turyngii – był jednym z kluczowych etapów w duchowym dojrzewaniu Lutra. Tu studiował filozofię i teologię, tu wstąpił do zakonu augustianów, tu spędził lata na modlitwie, lekturze i walce z wątpliwościami.

Dziś Erfurt jest miastem tętniącym życiem, z pięknie zachowanym średniowiecznym centrum. Nad starówką góruje monumentalna katedra Mariacka i kościół św. Sewera – jeden z najbardziej malowniczych widoków architektonicznych w Niemczech. Warto przejść się przez most Kramarzy (Krämerbrücke), zabytkowy most zabudowany domami, unikatowy w skali Europy.

Klasztor augustianów, w którym Luter spędził blisko dekadę, można dziś zwiedzać – to przestrzeń modlitwy i muzeum w jednym. Pielgrzymi i turyści zatrzymują się tam na chwilę ciszy, skupienia, często biorąc udział w ekumenicznych nabożeństwach. Dla niektórych to właśnie tutaj, a nie w Wittenberdze, zaczyna się prawdziwe zrozumienie tego, czym była Reformacja: jako wewnętrzne, osobiste zmaganie.

Eisleben – narodziny i śmierć

Miasto, w którym Luter się urodził i umarł – to zestawienie samo w sobie brzmi symbolicznie. Eisleben odwiedzane jest rzadziej niż Wittenberga, ale nie mniej warte uwagi. Oba domy – narodzin i śmierci – zostały przekształcone w muzea, starannie zaaranżowane, by nie tylko informować, ale i opowiadać.

Kościół świętych Piotra i Pawła, gdzie Luter został ochrzczony, jest miejscem szczególnym. Sakrament udzielony w kamiennej chrzcielnicy – dziś eksponowanej z pietyzmem – staje się nie tylko faktem biograficznym, ale punktem wyjścia do rozważań o tożsamości, przynależności, nowym początku.

W domu śmierci Lutra zachowały się dokumenty i relacje świadków jego ostatnich dni. Poczucie końca, przemijania, ale też nadziei – wszystko to rezonuje w spokojnych salach ekspozycyjnych. Spacerując po Eisleben, można zauważyć, że to miasto zaskakująco skromne, niemal prowincjonalne. Ale w tej skromności tkwi pewna siła: oto koniec wielkiego życia rozgrywa się bez fanfar, w małym pokoju, w otoczeniu bliskich.

Halle, Naumburg i inne perły

Szlak Lutra to nie tylko wielkie ośrodki. To także mniejsze, mniej znane, ale nie mniej znaczące miejscowości. W Halle można zobaczyć maskę pośmiertną Lutra, a także jego odcisk dłoni – ekspozycja w kościele Mariackim robi szczególne wrażenie.

W Naumburgu, w przepięknej katedrze z romańsko-gotyckimi wnętrzami, znajduje się figura Lutra, upamiętniająca objęcie urzędu przez pierwszego biskupa ewangelickiego Nikolausa von Amsdorfa. W Mansfeld, gdzie Luter spędził dzieciństwo, można odwiedzić jego dawny dom rodzinny oraz muzeum poświęcone realiom życia górniczego w XVI wieku.

Te mniejsze punkty na mapie tworzą sieć, która – jak dawne szlaki pielgrzymkowe – zmusza do zwolnienia, zatrzymania się, przeżycia chwili. Dla turysty, który szuka nie tylko zdjęć, ale i zrozumienia, to bezcenna wartość.

Turystyka jako duchowe doświadczenie

Podróżowanie śladami Marcina Lutra to doświadczenie jedyne w swoim rodzaju. Łączy elementy turystyki kulturowej, historycznej i religijnej. Nie wymaga deklaracji wiary, ale otwartości. Zainteresowania nie tylko Reformacją jako ruchem kościelnym, ale też ludzkim dramatem – samotnością, walką z autorytetem, poszukiwaniem prawdy.

Regiony Saksonii-Anhalt i Turyngii są przygotowane na przyjęcie pielgrzymów i turystów. Szlaki Lutra są dobrze oznakowane, dostępne zarówno dla podróżujących samochodem, jak i dla rowerzystów czy pieszych. Powstają nowe aplikacje mobilne, przewodniki i centra informacji turystycznej. Wielojęzyczne ekspozycje, nowoczesne muzealnictwo, liczne rekonstrukcje multimedialne – wszystko to tworzy wrażenie przestrzeni, w której przeszłość naprawdę żyje.

Ale to, co najważniejsze, rozgrywa się poza ekranami. Między ciszą kościoła, zapachem pergaminu w archiwum, rozmową z lokalnym przewodnikiem, który opowiada o Lutrze, jakby był sąsiadem sprzed tygodnia.

Powrót przez pytania

Turysta wracający z Lutherlandu niekoniecznie przywozi odpowiedzi. Częściej – pytania. O to, co znaczy „reformować" dziś. O sens indywidualnego sumienia. O to, czy duchowość może przetrwać bez instytucji, albo odwrotnie – czy instytucja może przetrwać bez ducha.

I może właśnie w tym tkwi siła tej podróży. W możliwości spotkania z historią, która nie jest martwa. I z człowiekiem, który mimo całej swojej surowości pozostał bliski – bo szukał, wątpił i wierzył.

©℗ JACEK TARAN

Lutherland
Więcej informacji o atrakcjach turystycznych na **Szlaku Lutra**: www.luther-land.com

WIARA

KOŚCIÓŁ SPOKOJNEJ STAROŚCI

Przez lata urządzali polski Kościół, decydując o karierach, doglądając interesów, kryjąc przestępców. Ich historie obrazują systemowy problem z rozliczaniem skandali w Kościele.

IGNACY DUDKIEWICZ



MACIEJ KONIECZNY / REPORTER

Dwudziestego sierpnia zmarł abp Józef Kowalczyk. Doczekał się peanów na swój temat na stronach kościelnych instytucji i mediów. W pogrzebie uczestniczyło 30 hierarchów, w tym nuncjusz i przewodniczący Episkopatu (a także m.in. wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz), homilię wygłosił prymas Polski. Były nuncjusz został z pełnymi honorami pochowany obok kard. Edmunda Dalbora, pierwszego prymasa Polski po zaborach.

Ale nie tylko Kowalczyk nie poniósł żadnych lub niemal żadnych konsekwencji swoich działań. Dwóch najbardziej emblematycznych pod tym względem biskupów to – obok Kowalczyka – kard. Stanisław Dziwisz i abp Sławoj Leszek Głódź. Historie wszystkich trzech pokazują strukturalne ograniczenia w dążeniu do sprawiedliwości w Kościele. Byli na tyle potężni, że choć mają na sumieniach poważniejsze przewiny niż niektórzy ukarani hierarchowie, to tylko jeden z nich – najsłabszy i najbardziej niemożliwy do obrony Głódź – spotkał się z karą, w dodatku zupełnie nieproporcjonalną do win.

I choć Dziwisz, Kowalczyk i Głódź na próżno wyglądali sympatii ze strony następców Jana Pawła II – Benedykta XVI i Franciszka – a ich pozycja słabła, to nigdy nie osłabła na tyle, by zaburzyć spokój ich starości.

Litania winy

Abp Józef Kowalczyk był współodpowiedzialny za dwa najgłośniejsze skandale wśród polskich biskupów po 1989 r., a więc za sprawy abp. Juliusza Paetza (seksualnego drapieżcy przez dekady molestującego podległych sobie kleryków) oraz abp. Stanisława Wielgusa (świadomego współpracownika Służby Bezpieczeństwa w czasach PRL). Obaj hierarchowie, mimo kompromitujących ich faktów, byli awansowani za czasów, gdy Kowalczyk był w Polsce nuncjuszem.

Podobnych awansów widzieliśmy zresztą więcej – do przykładów należy także Głódź, który piął się w górę mimo znanych problemów z agresją czy alkoholem, do tego blokował lustrację, kontrolując poczynania komisji historycznej.

Zarówno Głódź, jak i Kowalczyk byli osobiście zainteresowani sprawą: obaj zostali zarejestrowani w aktach SB w czasach, gdy pracowali w Rzymie – pierwszy jako współpracownik wywiadu PRL (nie wiadomo, czy świadomy, ale krąg ludzi, z którymi się zadawał, świadczy przynajmniej o kompletnej bezmyślności), drugi jako kontakt informacyjny (odmówił współpracy, ale dokumenty potwierdzające to zostały ujawnione przez dziennikarzy znacznie później, można więc założyć, że chronił siebie i kolegów przed brudem, jaki mógł wypłynąć przy okazji lustracji).

Karierą Głódzia kierowali trzej skompromitowani biskupi: obok Paetza i Kowalczyka także kard. Henryk Gulbinowicz, przez lata jego główny promotor. Później Głódź stał się na tyle silny, że sam uczestniczył w tworzeniu polityki – także kadrowej – polskiego Episkopatu.



Abp Józef Kowalczyk (pierwszy z lewej), kard. Stanisław Dziwisz (trzeci z prawej) i abp Sławoj Leszek Głódź (pierwszy z prawej) na uroczystościach 600-lecia katedry we Włocławku, czerwiec 2011 r.

W kolejnych jednostkach kościelnych, którymi kierował, mobbował księży, kleryków oraz siostry zakonne, wyzywał dziennikarzy, obrażał wspólnoty parafialne i świeckich. Stosował przemoc psychiczną, werbalną i ekonomiczną – zwłaszcza po alkoholu. Uczestniczył (wraz z dawnym współpracownikiem, abp. Andrzejem Dzięgą) w tuszowaniu sprawy ks. Andrzeja Dymera, zacierał też inne przestępstwa seksualne. Sprzedawał kościelne funkcje, zaszczyty i probostwa.

Kard. Dziwisz, jeszcze jako ksiądz i biskup (został nim zaskakująco późno jak na papieskiego sekretarza), latami zarządzał ruchem w papieskich apartamentach. Kierował także przepływem informacji, z których części nie przekazywał Janowi Pawłowi II. Uczestniczył w promowaniu i ochronie seksualnych przestępców, na czele z Marcialem Macielem Degollado (z jego otoczenia przyjmował hojne darowizny na rozmaite cele), kard. Theodore'em McCarrickiem (jak wyżej) czy kard. Hansem Hermanem Groërem. W ostatnich latach pontyfikatu polskiego papieża niekiedy go zastępował. Dorobił się nawet przydomku *Il Papa vuole* („Papież chce"), gdyż w tej formule komunikował prawdziwą lub rzekomą wolę Jana Pawła II. Wraz z kilkoma osobami stworzył maszynkę do mianowania biskupów, głównie w Polsce. Osobiście chronił Paetza przed rozliczeniami.

Łączy ich Paetz

Osoba Juliusza Paetza łączy zresztą wszystkich trzech wspominanych biskupów. Kowalczyk długo był jego bliskim współpracownikiem. Razem wprowadzali Dziwisza w rzeczywistość Watykanu. I Dziwisz, i Kowalczyk przemilczają we wspomnieniach, że w słynnych „ucieczkach" papieża w góry uczestniczył także późniejszy metropolita ↦

↦ poznański. Do grona księży, którzy w podobnym czasie pracowali w Rzymie, a potem zostali biskupami – określanego mianem „klubu rzymskiego" – należał także Głódź. Członkowie „klubu" razem imprezowali i wspólnie oddziaływali na polskich księży studentów, którzy przybywali do Rzymu – m.in. późniejszych szefów polskiego Episkopatu: abp. Stanisława Gądeckiego i abp. Marka Jędraszewskiego.

Kowalczyk, Głódź i Dziwisz do końca próbowali Paetza bronić, a po jego publicznym upadku wielokrotnie go wspierali. W 2010 r. na mszę z okazji rocznicy porozumień sierpniowych Kowalczyk przyjechał z Paetzem jednym samochodem, a Głódź odprawiał ją razem z nimi. Dwa lata później Dziwisz witał personalnie Paetza na procesji ku czci św. Stanisława na Skałkę w Krakowie.

Siła tego układu nie mogła jednak przetrwać śmierci Jana Pawła II. Jasne było, że jego następca – zwłaszcza że został nim kard. Joseph Ratzinger, latami skonfliktowany z „polskim lobby" – będzie chciał się pozbyć z Rzymu jego członków, zwłaszcza Dziwisza. Proces ten był potem nazywany a to „czyszczeniem kurii rzymskiej z Polaków", a to „desantem kurii rzymskiej na Polskę". Jednocześnie Benedykt XVI miał wystarczająco wiele pilniejszych spraw do załatwienia, by uznać, że otwarte starcie z Dziwiszem jest mu niepotrzebne.

Nie zdecydował się na nie także Franciszek, testujący w Polsce przepisy dotyczące tuszowania przestępstw seksualnych, ale mało zainteresowany sytuacją Kościoła w naszym kraju. Ze zdaniem Dziwisza się nie liczył – czego dowodem była nominacja kolejnego krakowskiego metropolity, wybitnie nie po myśli dawnego „wicepapieża" – ale nie rozpoczął wobec niego żadnych procedur kanonicznych związanych z tuszowaniem seksualnych zbrodni.

Na bogato

Warunków emerytury można więc pozazdrościć wszystkim trzem.

Owszem, Głódzia dosięgły watykańskie sankcje. Zakazano mu uczestnictwa w publicznych celebracjach oraz mieszkania na terenie archidiecezji gdańskiej, nakazano wpłatę z osobistych funduszy „odpowiedniej sumy" na rzecz Fundacji Świętego Józefa. Były członek rady Fundacji, Robert Fidura, mówił mi w książce „Pastwisko": „Te kary są z przymrużeniem oka. Może niosą nieco infamii, może zmniejszy się liczba zaproszeń, ale Głódź żyje jak pączek w maśle. To grożenie palcem: »Nu, nu, nu, niegrzeczny chłopczyk«. Biskupi powinni odpowiadać realnymi konsekwencjami, do wyrzucenia ze stanu duchownego włącznie". Głódź więc nie celebruje na terenie archidiecezji, ale może „uświetniać" i „bywać" wszędzie indziej. Nie mieszka w przygotowanych dla siebie apartamentach w Gdańsku, ale w rodzinnej Bobrówce – i to w pałacu (część nieruchomości wykorzystywana jest na działalność Caritas, ale emerytowany biskup nie narzeka na niewygody). Wpłata nieokreślonej kwoty na Fundację to też żadna uciążliwość dla tak majętnego człowieka.

> Gdyby powiedzieli prawdę, byliby w stanie zaszkodzić wielu znaczącym osobom w Kościele.
> **Lojalnie jednak milczą, i to ich chroni.**

Głódź nie tylko wzbogacił się przez dekady „posługi" w Kościele. Otrzymuje też wysoką emeryturę (wyższą niż papieska) jako były generał. Jej wysokość wynosi prawie 20 tys. zł miesięcznie, a odchodząc ze służby, otrzymał dodatkowo 250 tys. zł odprawy. Ponadto Głódź, tak jak inni emerytowani biskupi, pobiera emeryturę kościelną (ok. 5 tys. zł), nie ponosząc w zasadzie kosztów życia: Kościół opłaca ich wyżywienie, mieszkanie, wynagrodzenie osoby pracującej w ich domu, opiekę zdrowotną, a nawet – gdy ktoś mieszka, jak Głódź, w rezydencji – ogrodnika.

Kowalczyk i Dziwisz wybrali życie mniej luksusowe (Dziwisz latami gromadził raczej wpływy niż pieniądze), ale i tak jego poziom jest wciąż wysoki. Nie mierząc się z żadnymi trudnościami materialnymi, wszyscy trzej martwili się bardziej traconą powoli władzą oraz doniesieniami mediów, które traktowali jak atak.

Wszyscy trzej co najwyżej średnio dogadywali się ze swoimi następcami (niekiedy także z poprzednikami). Dziwiszowi jest mocno nie po drodze z Jędraszewskim. Nieprzesadnie go wspiera, ten zaś zmarginalizował kardynała i nie bronił go publicznie w obliczu oskarżeń (do tego nie zgodził się na wyświęcenie na krakowskiego diakona wieloletniego osobistego sekretarza i przyjaciela Dziwisza, Andrei Nardotta, który święcenia musiał przyjąć w Warszawie). Głódź z kolei marginalizował swojego poprzednika – abp. Tadeusza Gocłowskiego, który mocno przeżywał to, że jego następcą został człowiek z zupełnie innej frakcji w episkopacie. Kolejny biskup gdański nie musi już sobie radzić z Głódziem emerytem. – Niemal na pewno był to warunek, jaki postawił Wojda, gdy godził się na objęcie Gdańska – mówi mi ksiądz z kręgów episkopatu i nuncjatury, wspominając czas, gdy długo nie udawało się znaleźć nowego metropolity gdańskiego. Dodajmy też, że i Kowalczyk średnio dogadywał się zarówno z poprzednikiem, Henrykiem Muszyńskim, jak i następcą – Wojciechem Polakiem.

„Wyjdź z więzienia"

Publicznie Głódź pojawia się rzadko. Także Kowalczyk na długo przed śmiercią zaszył się częściowo w Gnieźnie, częściowo w rodzinnych Jadownikach Mokrych, skupiając się na organizowaniu przyjęć oraz pielęgnowaniu opowieści o swoich dokonaniach. – To była świadoma strategia – mówi mi były pracownik nuncjatury. – Wiedząc więcej niż ktokolwiek, może poza Dziwiszem, wolał nie przypominać o sobie światu, zwłaszcza mediom. Liczył, że dzięki temu, zanim ktoś go całkiem zdemaskuje, doczeka pogrzebu z honorami w prymasowskiej krypcie, którą sam wyremontował. I to się udało, bo też zdemaskować go było niezwykle trudno.

Otoczenia wszystkich trzech hierarchów są bowiem szczelne. Wszyscy trzej zdecydowali też już dawno, by nie rozmawiać z mediami, poza – niekiedy – odpowiadaniem, najchętniej na piśmie, na zestaw wybranych pytań ze strony mediów kościelnych. Kowalczyk wydał kilka lat temu „Wspomnienia", ale skrupulatnie przemilcza w nich swój udział we wszystkich kłopotliwych sprawach. Głódź dziennikarzy odprawia z kwitkiem. Dziwisz zaś od czasu słynnego wywiadu z 2020 r. z Piotrem Kraśką, gdy twierdził, że absolutnie nic nie wie i niczego

nie pamięta, skupia się na uświetnianiu (bierzmowania, odpusty...), korzystaniu z kardynalskich przywilejów (spotkał się choćby z papieżem Leonem XIV krótko po wyborze), pielęgnowaniu określonej wersji pamięci o Janie Pawle II (oraz swojej roli w jego pontyfikacie), a także rozdzielaniu pozostałych po nim relikwii *ex sanguinis* (ostatnio przekazał je choćby we włoskiej Cremie).

– Dla niego Jan Paweł II jest jak karta „wyjdź z więzienia" w Monopoly – komentuje znający kardynała duchowny. – Nie wiem nawet, czy to cyniczne. Chyba naprawdę sądzi, że skoro tyle lat służył „naszemu papieżowi", to jakiekolwiek zarzuty są wrogim czepialstwem, a gdyby do czegokolwiek się przyznał, to zaszkodziłby pamięci o Janie Pawle II.

Kowalczyk również przekonywał, że wszelkie stawiane mu zarzuty są niesprawiedliwe, a w sprawach choćby Wielgusa i Paetza pełnił funkcje co najwyżej administracyjno-pocztowe, przekazując dokumenty w jedną i drugą stronę (co stoi w sprzeczności z jego własnymi opowieściami o wadze jego pracy czy bliskości z Janem Pawłem II – on również korzystał z tej karty).

Głódź zaś czuje się zaszczuty i skrzywdzony. Nie rozumie, za co spotkały go konsekwencje, skoro robił, co do niego należało, i załatwił dla Kościoła kilka wymagających spraw.

Zasługi i wiedza

Nie tylko powoływanie się na Jana Pawła II broni biskupów takich jak Kowalczyk, Dziwisz i Głódź przed konsekwencjami. Oprócz „dbałości" o wizerunek Karola Wojtyły (jeśli wspomniani byli winni, obciąża to pośrednio lub bezpośrednio także papieża, który wybierał ich na współpracowników i odpowiedzialne stanowiska), chronią ich także dwa inne mechanizmy.

Pierwszym są ich dokonania – kluczowe z punktu widzenia Kościoła jako instytucji.

Kowalczyk był nuncjuszem w czasach transformacji, twardo negocjował z kolejnymi rządami prawa i przywileje Kościoła, doprowadził do uchwalenia korzystnego dla Kościoła konkordatu, przeprowadził także reformę administracyjną w Kościele w Polsce, co spotkało się nawet z oporem części biskupów. Jego niechęć do rozliczeń lustracyjnych czy związanych z tuszowaniem przestępstw seksualnych dla istotnej części hierarchów była zaś zaletą, nie wadą.

Głódź odtworzył ordynariat polowy Wojska Polskiego po 1989 r., zorganizował sieć parafii wojskowych (co pozwalało mu budować wpływy w całym kraju) i potrafił wiele załatwić jako biskup-generał, pozostając w dobrych, suto zakrapianych relacjach z wieloma politykami. W Gdańsku zaś doprowadził – poprzez spłatę części oraz zakulisowe załatwienie umorzenia drugiej części zadłużenia wobec Skarbu Państwa – do rozwiązania afery wydawnictwa Stella Maris, która przez długie lata ciążyła tamtejszej archidiecezji.

Dziwisz natomiast zebrał potężne pieniądze na szereg inicjatyw w Kościele, także w Polsce (powtórzmy raz jeszcze – część tych pieniędzy pochodziła od seksualnych drapieżców).

Drugim broniącym ich mechanizmem jest wiedza. Z każdym rokiem mają coraz słabsze kontakty w Watykanie, na zdanie wszystkich trzech nie oglądał się już Benedykt XVI, nie mówiąc o Franciszku czy Leonie XIV, ale wciąż gdyby powiedzieli prawdę, byliby w stanie zaszkodzić wielu znaczącym osobom w Kościele w Polsce i na świecie. Lojalnie jednak milczą, i to ich chroni. Jak oceniał Thomas Doyle, dominikanin, przed laty dyplomata watykański, jeden z pierwszych kościelnych sygnalistów w sprawach dotyczących seksualnej przemocy w Kościele, Dziwisz „wiedział, gdzie są sekrety i trupy w szafie. To jest prawdziwa władza, a w Watykanie jedyną prawdziwą walutą jest władza". To samo dotyczyło Kowalczyka i dotyczy wciąż Głódzia.

Nawet jeśli można więc się na nich nie oglądać, to lepiej zachować ceremonialny szacunek i ich „nie ruszać".

Należy się zatem spodziewać, że pewnego dnia zarówno Głódź, jak i Dziwisz zostaną pochowani z pełnymi honorami kościelno-państwowymi, choć zapewne obecny na ich pogrzebach skład biskupio-polityczny będzie różny. Ziemskiej sprawiedliwości nie muszą się obawiać. System nie pozwoli ich tknąć.

© IGNACY DUDKIEWICZ

Autor jest redaktorem Magazynu „Kontakt" oraz autorem książki „Pastwisko. Jak przeszłość, strach i bezwład rządzą polskim Kościołem".

Złote a skromne – znane wypowiedzi bohaterów tekstu

„Żeby uderzyć w Jana Pawła II, trzeba też uderzyć w ludzi, którzy z nim współpracowali. To była nasza służba papieżowi, a poprzez papieża mojej ojczyźnie. Jeśli moja ojczyzna tego nie widzi, a kiedyś widziała, to niewątpliwie powoduje u mnie ból, ale przebaczam".

▪ KARD. STANISŁAW DZIWISZ, TVN24, 20.10.2020 r.

„To jest realizowane po to, aby po prostu podważyć autorytet Kościoła. Jak ma reagować przeciętny człowiek, gdy słyszy opinie o tym, że Kościół ukrywa swoich przestępców? To jest takie uproszczenie, że aż nie zasługuje na uwagę i komentarz".

▪ ABP JÓZEF KOWALCZYK, „Świadectwo i służba. Rozmowy o życiu i Kościele", s. 200

„To modne dziś określenie – »kontrowersyjny«. (...) Prałat Jankowski stał się negatywnym bohaterem mediów, uprawiano wobec niego, by rzec z włoskiego – szakaladżio – zagryźć na żywca. (...) W dobrych zawodach wystartowałeś, bieg ukończyłeś, wiary ustrzegłeś".

▪ ABP SŁAWOJ LESZEK GŁÓDŹ podczas mszy pogrzebowej ks. Henryka Jankowskiego, Gdańsk, 17.07.2010 r.

„Pierwszy raz o tym słyszę. O tych danych wszystkich i tak dalej. No nie mówiło się o tym w Kurii Rzymskiej. (...) Przynajmniej ja nie słyszałem o tych rzeczach, będąc przecież na miejscu".

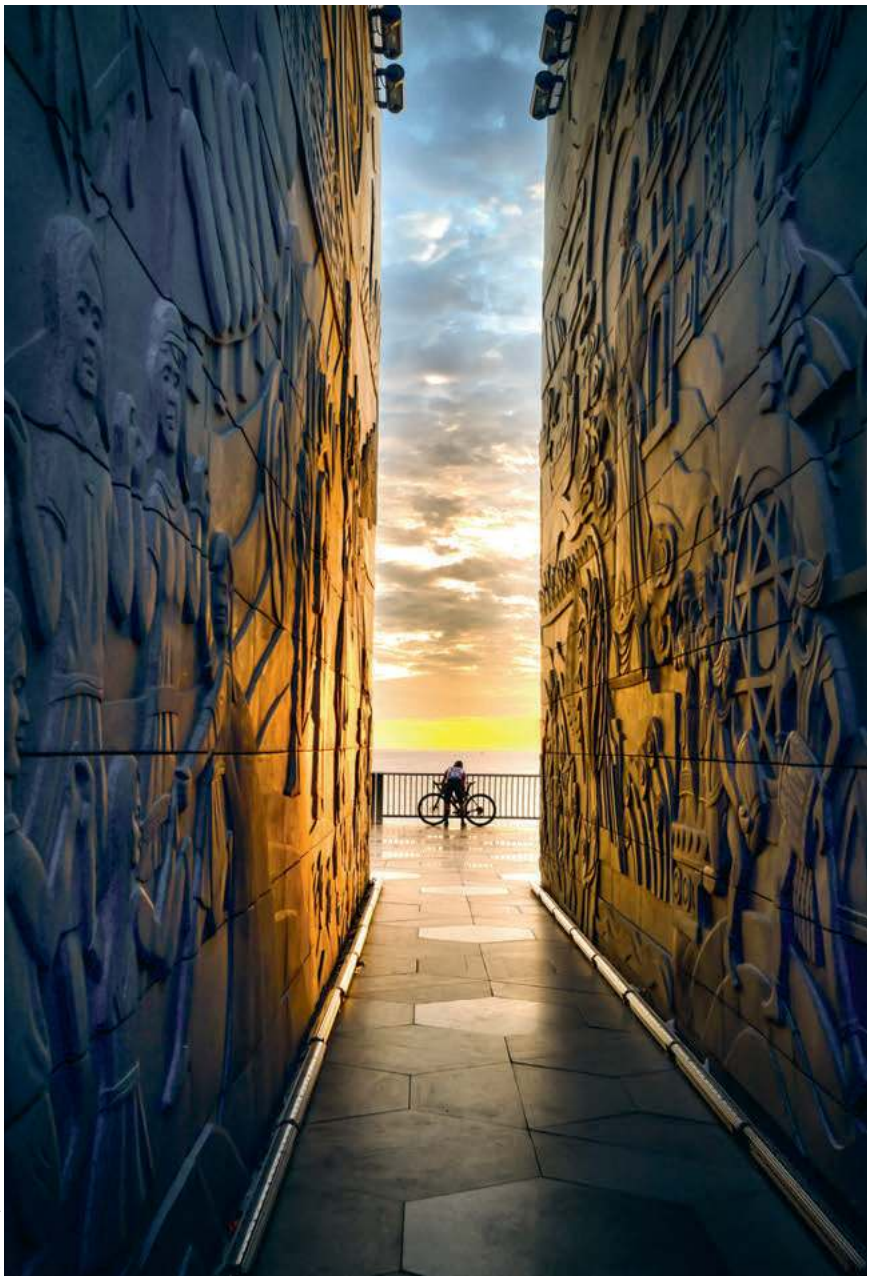
▪ KARD. STANISŁAW DZIWISZ o sprawie Marciala Maciela Degollado, TVN24, 20.10.2020 r.

„W całej tej sprawie, jak i w każdej innej związanej z nominacją nowego biskupa wykonywałem tylko i wyłącznie polecenia Stolicy Apostolskiej oraz spełniałem obowiązki nuncjusza apostolskiego".

▪ ABP JÓZEF KOWALCZYK o sprawie abp. Stanisława Wielgusa, „Wspomnienia", s. 242

„Dziś Kościół polskiego narodu, który nie raz był cierniem próbowany, stanął pod pręgierzem. Jest obiektem ataku, swoistego biczowania, biskupów, kapłanów na oczach milionów. Oglądamy jego kolejne odsłony, niemal każdego dnia".

▪ ABP SŁAWOJ LESZEK GŁÓDŹ, Gdańsk, 11.11.2013 r. © ID



QUANG / ADOBE STOCK

Powakacyjny reset

PIOTR SIKORA

MEDYTACJA | Koniec lata. Jak przywieźć z urlopu mądrość, która pozwala zachować spokój w zamęcie?

Gdy umysł zostaje uwolniony, znika granica pomiędzy nim a Bogiem" – te słowa św. Izajasza Pustelnika, żyjącego w V w. w Egipcie, mogą nas szokować, ale są wyrazem wielowiekowej chrześcijańskiej tradycji mistycznej. Warto jednak zapytać, co więzi umysł? Od czego musi on zostać uwolniony?

Tradycja mistyków wschodniego chrześcijaństwa jest jednomyślna: tym, co więzi umysł, są *logismoi* – myśli powiązane z namiętnościami i troskami. Konflikt pomiędzy wolnością a tym, co starożytni mnisi zwali namiętnościami (*pathoi*), można łatwo wyjaśnić, także w świetle współczesnych empirycznych badań nad człowiekiem. Pustynnym mnichom chodziło bowiem o takie impulsy i tendencje, które działają na nas poniżej progu naszej codziennej świadomości, najczęściej będąc powiązanymi z naszą biologiczną naturą.

Bieg ze spętanymi nogami

Siła oddziaływania tych impulsów jest zrozumiała – są powiązane z tym, co ważne dla naszego przetrwania. Dlatego łatwo wzbudzają w naszym umyśle troski, które determinują emocje i treść myśli nawet wbrew naszej woli. Nie dziwi więc uwaga innego mnicha z Synaju, św. Jana Klimaka: „Kto pragnie stanąć przed Bogiem z czystym umysłem, a nie wyzbył się trosk, podobny jest do człowieka, który związał sobie nogi i usiłuje biec".

W drodze ku odkryciu naszej jedności z Bogiem problemem są jednak nie tylko owe namiętności i troski, ale w ogóle wszelkie konkretne myśli. Jak napisał wielki starogrecki teolog, św. Maksym Wyznawca: „łaska łączy umysł z Bogiem, oddzielając go od wszelkich myśli i pojęć". Umysł bowiem, który myśli o rzeczach stworzonych, traci swą jedność, „różnicuje się" – jak to określił inny ojciec pustyni, Ewagriusz z Pontu – przez wielość form, którymi się zajmuje.

Myślenie pojęciowe zawsze jakoś rozgranicza – dzieli świat na to, o czym teraz myślę, i na całą resztę, a także wprowadza podział na mnie myślącego i przedmiot mojego myślenia. Bóg jednak, przypomina św. Grzegorz z Nyssy, nie jest zamknięty żadną granicą, nie tylko „w nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy" (por. Dz 17, 28), lecz także „wszystko całkowicie napełnia" (Ef 1, 23). To nie jest więc tak, jak często myślimy: że ja jestem tu, a Bóg jest tam.

Czysta modlitwa

Innymi słowy: tak naprawdę nie ma granicy pomiędzy Bogiem a mną (gdyby była – Bóg byłby przez nią ograniczony). Jednak gdy używam słów i pojęć (choćby takich, jak w tym tekście), zaczynam dostrzegać iluzoryczne odseparowanie – choćby przez to, że piszę dwa słowa: „ja" i „Bóg". Paradoksu mojej jedności z Bogiem nie mogę zatem wyjaśnić teore-

tycznie. Jedyną drogą, by uwolnić umysł ze złudzenia, jest praktyka „czystej" modlitwy – modlitwy, która uwalnia umysł do namiętności i myśli oraz wprowadza w głębokie wyciszenie, zwane przez bizantyjskich mistyków *hezychią*.

Każdy jednak, kto próbował wejść w milczącą modlitwę i utrzymać w niej umysł, wie, że o ile łatwo przestać mówić i działać, to wyciszyć umysł jest trudno. Zewnętrzne milczenie ujawnia najczęściej wewnętrzny chaos i hałas: gdy przestajemy mówić i siadamy w ciszy i spokoju, przez naszą świadomość zaczyna pędzić mnóstwo wspomnień, planów, marzeń, obaw, fantazji... Tak to postrzegamy, bo ten wartki mentalny strumień płynie cały czas, wpływając na nasze emocje i działania – choć często zajęci mnóstwem zewnętrznych spraw, nie jesteśmy jego świadomi.

Demony Egiptu

Doświadczenie to nie było obce mnichom praktykującym na egipskiej pustyni, w klasztorach na Synaju i na Athosie. Wypracowali wiele praktyk, które miały pomagać w uwolnieniu umysłu i rozpoznaniu, że nie ma granicy między nim a Bogiem. Za podstawę uznali czujność, czy też trzeźwość umysłu (*nepsis*). Jak pisał o niej św. Hezychiusz z Synaju, chodzi tu o „trwałe skupienie myśli oraz postawienie jej w bramie serca, żeby widziała przychodzące myśli-złodziei oraz słyszała zarówno to, co mówią, jak i to, co robią zabójcze myśli, a także rozpoznała formę wyrzeźbioną i ustawioną niby posąg przez demony, która usiłuje sobą zwieść umysł za pomocą przedstawień/ /wyobrażeń".

W tekście Hezychiusza może nas uderzyć nie tylko nacisk na skupienie i uważność na myśli, ale silne napięcie i negatywna ocena tego, co pojawia się w świadomości: myśli są w jego perspektywie złodziejami i zabójcami, a za źródło wyobrażeń łudzących człowieka zostały uznane demony.

Demonologia starożytnych mnichów – myślenie Hezychiusza nie jest w tym względzie jakimś wyjątkiem – może się nam wydać obca. Lecz nawet jeśli nie jesteśmy w stanie jej dziś zaakceptować, warto zauważyć doświadczenie, z którego się wzięła. Uważna lektura tekstów pozwala uznać, że było to rozpoznanie, iż w świadomości odnajdujemy wiele treści, które wydają się nam obce, niezgodne z tym, co sami chcielibyśmy myśleć i wyobrażać sobie. Kto z nas nie miał myśli czy obrazów, które doświadczał jako narzucających mu się jakby z zewnątrz, których chciał się pozbyć, a nie był w stanie tego zrobić?

Walka z myślami

Naturalną reakcją wobec takich treści świadomości – jakby obcych, a trudnych i w dłuższej perspektywie niszczących – jest chęć ich zwalczenia czy stłumienia. Ta reakcja nie była obca także starożytnym mnichom. Dlatego w ich zapiskach nieustannie przewija się wątek mentalnej walki z myślami, ich odpierania, niszczenia.

Praktyka walki z myślami prowadzi jednak szybko do rozpoznania, że wygrać się jej nie da. Tu doświadczenie starożytnych zgadza się z wynikami współczesnych badań kognitywnych: im bardziej chcemy się pozbyć jakiegoś umysłowego obrazu, z tym większą siłą i w towarzystwie coraz większego emocjonalnego ładunku powraca on do naszej świadomości. Jak zatem wyjść z tego impasu?

Starożytni mnisi odkryli, że znacznie bardziej skuteczne od bezpośredniej walki jest przekierowanie uwagi – zwłaszcza ku temu, co ma dla nas jakąś fundamentalną wartość. Dlatego połączyli uważną trzeźwość umysłu z modlitewną pamięcią o Bogu. Jan Klimak wyraził to frazą: „Niech pamięć o Jezusie złączy się z twoim oddechem, a poznasz pożytek wyciszenia (hezychii), a Hezychiusz z Synaju znalazł zaś konkretny sposób na to, jak utrzymywać stale ową pamięć o Jezusie pomimo pojawiających się w umyśle rozproszeń: „biczuj przeciwników imieniem Jezusa. Jak powiedział pewien mędrzec: »Niech imię Jezusa zespoi się z twoim oddechem, a poznasz wtedy pomoc wyciszenia« ". Hezychiusz odkrył, że powtarzanie w rytm oddechu imienia Jezusa jest sposobem, by troski i namiętności nie rozproszyły naszej pamięci.

Umysł bowiem z natury swojej „produkuje" myśli. A zatem, jak jeszcze wyraźniej od Hezychiusza zrozumiał, jaki proces tutaj zachodzi, św. Diadoch, biskup Fotyki w greckim Epirze: „umysł – gdy zablokujemy w nim wszystkie drogi, którymi mogłaby ujść pamięć o Bogu – zdecydowanie potrzebuje działania, które zaspokajałoby jego zdolności. Trzeba mu zatem dać jedynie »Panie Jezu« jako zajęcie całkowicie realizujące ten cel".

Pamięć robocza

W tym zakresie doświadczenie egipskich i greckich mnichów zgadza się z wynikami współczesnych badań kognitywnych. Wedle tych ostatnich treść tzw. pamięci roboczej, ściśle związana z intencją, co w danym momencie zamierzamy robić, w dużej mierze wyznacza kierunek naszej uwagi. Jeśli zatem ta ostatnia jest rozpraszana przez wielość bodźców i zaczynamy się miotać w chaosie myśli i działań, zamiast bezpośrednio walczyć z rozproszeniami, lepiej pracować nad treścią pamięci i wzmocnieniem naszej podstawowej życiowej intencji. Dlatego Diadoch, choć nie znał kognitywistyki, bardzo sensownie radził swoim uczniom: „Kto zatem chce oczyścić swoje serce, niech rozpala je stale pamięcią o Panu Jezusie, to jedno nieustanie praktykując i o to tylko się troszcząc".

W świetle tego, co dziś wiemy o działaniu umysłu, te wątki mistycznej tradycji, mówiące o walce z myślami, którym nadaje się aspekt „demoniczny", możemy potraktować jako zapis doświadczenia, które i nam nie musi być obce: iż konfrontacja z własnym wnętrzem jest często trudna. Możemy też potraktować pełne napięcia opisy wewnętrznej walki jako wskazówkę, które ścieżki poszukiwania wewnętrznego pokoju prowadzą donikąd.

Mądrzejsi zaś o znajomość tego doświadczenia, możemy zwrócić się do tych wątków starożytnej tradycji, które są bardziej łagodne i uczą postępować z naszym umysłem nie tyle siłowo, co umiejętnie. Warto wziąć zatem do serca uwagę Maksyma Wyznawcy, że „umysł człowieka miłego Bogu nie zwalcza rzeczy ani myślenia o nich, lecz odsuwa namiętności, jakie mogą się z nimi wiązać". Nie chodzi o walkę z myślami, lecz stopniowe nabieranie dystansu do nich. Ten łagodny dystans wobec wszelkich treści naszej świadomości prowadzi do prawdziwego pokoju, który nie polega na ucieczce od zamętu życia, lecz, jak odkrył Jan Klimak, na „wyzbyciu się lęków w obliczu wszelkich zamętów i pozostawanie wśród nich niewzruszonym".

I tu kryje się wolność umysłu, w której znika granica pomiędzy nim a Bogiem. ©℗

Różaniec i prysznic

MONIKA BIAŁKOWSKA

KOMENTARZE | Historia ks. Chmielewskiego jest napomnieniem dla Kościoła, że żadne zło nie powinno wymykać się normom prawnym.

Wróciłem właśnie z Adoracji. Jezus i ja chcemy Ci powiedzieć, że bardzo Cię kochamy" – pisał ks. Dominik Chmielewski do kobiety, w reportażu „Gazety Wyborczej" nazwanej Agatą. Opowiedziana przez Piotra Żytnickiego historia znanego księdza, który uwiódł młodą kobietę, jest jedynie pretekstem dla mojego tekstu. Zbyt mało mamy informacji, by ją zweryfikować, czy tym bardziej wydawać wyroki. Choć nie ulega wątpliwości, że to sytuacja skandaliczna i naganna, to jednak domaga się jasnego sprecyzowania – również na płaszczyźnie prawa. Warto uporządkować pojęcia, żeby rozmowa o naprawdę trudnych sprawach była możliwa, merytoryczna i bezpieczna. W dodatku na jej podstawie można pokazać co najmniej kilka ważnych problemów, które dopiero zaczynają stawać przez Kościołem w Polsce.

Krzywda nie jedno ma imię

Zacznijmy od wyjaśnienia, ważnego z uwagi na poruszane w artykule „Gazety Wyborczej" sprawy, dotyczącego życia osobistego Agaty i jej intymności. Podejmowana przeze mnie weryfikacja pojęć nie jest w żadnym stopniu próbą zdejmowania odpowiedzialności ze sprawcy i usprawiedliwiania go. Nie jest też wyrazem nieufności wobec skrzywdzonej kobiety. Nic takiego nie jest moją intencją. Wierzę Agacie, że została skrzywdzona. Kibicuję jej w dochodzeniu swoich praw. Ale jednocześnie uważam, że musimy umieć odróżniać różne rodzaje krzywdy – jednakowo dużej, ani lepszej, ani gorszej, jednakowo nagannej, ale dotykającej nieco innych przestrzeni.

Dla skrzywdzonych ta różnica jest zapewne niewielka. Ale jest istotna dla budowania w przyszłości (oby jak najszybszej) systemów ochrony i tworzenia zestawów narzędzi, jednoznacznie klasyfikujących konkretne krzywdy. W tego rodzaju sprawach nie możemy pozostawać na poziomie „tak czuję" albo „tak mi się wydaje", czy tym bardziej: „to przecież jest oczywiste". Jeśli nie zaczniemy rozmawiać precyzyjnie, kolejne krzywdy spotykać się będą jedynie z lekceważącym wzruszeniem ramion.

Drugie, nie mniej ważne zastrzeżenie: nie mamy oglądu całej sytuacji ani możliwości dotarcia do informacji źródłowych. Możemy jedynie opierać się na relacji samej Agaty, opublikowanej w „Gazecie Wyborczej", i na tej podstawie wysnuwać wnioski.

Miłość na Signalu

Przypomnijmy pokrótce tę historię, zwracając uwagę na ważniejsze elementy. Bohaterka tekstu, Agata, przychodzi na publiczne spotkanie z ks. Dominikiem Chmielewskim. Ten zauważa ją, komentuje jej urodę (śniadą cerę), zdobywa numer telefonu kobiety, a następnego dnia pisze wiadomość, nazywając ją „kochaną Agatką" i przepraszając, jeśli na spotkaniu poczuła się przez niego niekomfortowo. Ona zaprzecza, odpisuje, że było OK i dziękuje za nauczanie. On w odpowiedzi znów nazwa ją „kochaną" i zapewnia, że gdyby potrzebowała pomocy, „może iść do niego jak w dym". Agata komentuje: „Poczułam się wyróżniona. Od razu pochwaliłam się rodzicom, też są religijni".

Potem znów ksiądz wychodzi z inicjatywą. Pisze do niej z USA, pozdrawia, nazywa ją „skarbem" i pyta, czy u niej wszystko dobrze. Ona opowiada mu o swoich ranach i że ze wszystkim musi sobie radzić sama. On odpowiada, że w ranach są demony, które trzeba wykurzyć – zapewnia, że będzie się za nią modlił i odprawi mszę.

Po jakimś czasie ksiądz pyta Agatę, czy używa Signala – internetowego komunikatora, który kładzie silny nacisk na prywatność użytkowników: nie zbiera żadnych danych, rozmowy są szyfrowane, niemożliwe jest ich podsłuchanie, udostępnienie czy odczytanie przez osoby trzecie. Chmielewski wyjaśnia, że woli rozmawiać właśnie w ten sposób, więc Agata instaluje komunikator.

To właśnie tam ksiądz zaczyna przesyłać jej zdjęcia i filmy: z cygarem, na jachcie, w czasie treningu bokserskiego. Pisze, że odprawił za nią mszę, nazywa ją „kochaniem", „skarbem" i „duchową siostrą". Pisze: „Wróciłem właśnie z Adoracji. Jezus i ja chcemy Ci powiedzieć, że bardzo Cię kochamy".

Męskie błogosławieństwo

Po pewnym czasie Agata jedzie do ks. Chmielewskiego, który mieszka w salezjańskim seminarium duchownym w Lądzie, małej miejscowości nad Wartą. Ksiądz odbiera ją z dworca, w samochodzie gładzi po ręce, włącza romantyczną muzykę. Kobieta opowie potem dziennikarzowi: „Bombardował mnie ciepłem, ale wtedy wydawało się to piękne. Poczułam, że będzie dla mnie kimś ważnym. Pomyślałam, że sam dotyk to jeszcze nic złego, że może Jezus w ten sposób chce mnie uzdrawiać".

W Lądzie ks. Dominik odprawia mszę, potem zaprasza Agatę do siebie. Dziewczyna zapamiętała, że był pachnący, świeżo po prysznicu, w obcisłym ubraniu podkreślającym umięśnienie. Opowiada jej, „jaki kolagen pije", potem się przytulają, on całuje ją w usta. Na pożegnanie daje jej w kopercie dwa tysiące złotych. Agata wie, że nikomu nie może o tym powiedzieć, choć „nic strasznego się nie stało". Czuje się doceniona.

Relacja trwa. On rano wysyła jej błogosławieństwo, wieczorem dzwoni, by razem odmawiać różaniec. „Emanował silnym, męskim głosem, a ja myślałam, że odlecę. Strasznie to na mnie działało" – opowiada kobieta.

Zerwana relacja

Jedzie po raz drugi do Lądu. Znów spotykają się w pokoju ks. Dominika. Piją nalewkę, on kładzie się na łóżku, ona do niego dołącza. Przytulają się, wkłada jej ręce pod bluzkę, w ten sposób zasypiają. Po dwóch tygodniach przyjeżdża ponownie. Lądują w łóżku. Na pożegnanie znów daje jej prezenty.

Spotkania trwają: ks. Dominik odwiedza Agatę, jadą razem nad morze, gdzie



TYTUS ŻMIJEWSKI / PAP

Ksiądz Dominik Chmielewski podczas Ogólnopolskiego Męskiego Różańca. Bydgoszcz, 6 listopada 2021 r.

on płaci za hotel. Agata opowiada: „Chciałam być jego kobietą. Było mi smutno, że jest sam i nie ma się do kogo przytulić. Nie chciałam go stracić. Pisałam do niego: »Mój Dominiczku«. Odpisywał, że karmi się moją miłością".

Dzieli się swoją historią ze znajomą, a ta uświadamia ją, że też była ukochaną „Dominiczka". Agata nie przyjmuje tego do wiadomości. Chmielewski wyjaśnia, że tamta jest zazdrosna, że chciałaby być na jej miejscu, i że z tamtą „tylko dwa razy leżał w łóżku".

Gdy Agata postanowiła pójść do spowiedzi, ks. Dominik poinstruował ją, by mówiła tylko tyle, ile jest konieczne, bez szczegółów. Spowiednik zrozumiał, że ma do czynienia z wykorzystywaną kobietą, ostrzegł Agatę i kazał jej uciekać. Nie uwierzyła mu. Opowiedziała o wszystkim Chmielewskiemu. Ten oburzył się i zapewniał, że „nikt nie zabroni mu jej kochać".

Jednak powoli zaczął relację z Agatą ucinać: przestał dzwonić, zapewniać o miłości, gdy się skarżyła, traktował ją obcesowo. Opowiedział przełożonym, że nawiązał bliską relację z kobietą i zapewnił, że już ją zakończył.

Bez przemocy i zależności

Streszczenie historii było konieczne, by trafnie zaklasyfikować opisane w „GW" wydarzenia. Ale zacznijmy od tego, co się nie wydarzyło.

Wbrew pierwszym, emocjonalnym i słusznie zatroskanym o skrzywdzoną kobietę głosom, nie mamy tu do czynienia z duchową przemocą (*spiritual abuse*). W swojej pracy spotykałam ofiary takiej przemocy – to, z czym one się mierzą, można nazwać wręcz „gwałtem Bogiem na osobie", bo nie ulega wątpliwości, że to pogwałcenie woli drugiego człowieka rzeczywiście odbywa się „przy pomocy Boga": z wykorzystaniem argumentów o posłuszeństwie Bogu, woli Bożej, cytatów z Pisma Świętego, rzekomych objawień i wizji, których rzekomo doświadcza sprawca przemocy. Nie wystarczy więc, że sprawcą jest ksiądz, by jego działanie zaklasyfikować jako *spiritual abuse* – musi posługiwać się Bogiem, wymuszając na ofierze konkretne działania.

Dodatkowo, nie mamy tu do czynienia (tak przynajmniej wynika z informacji w „Gazecie Wyborczej") z sytuacją zależności, a więc i z nadużyciem władzy w rozumieniu prawnym. Agata nie była w żadnej wspólnocie czy organizacji prowadzonej przez ks. Dominika, gdzie on miałby nad nią formalną władzę. Nie była również jego penitentką. Nie korzystała z jego kierownictwa duchowego. Ich relacja nie wypełniała żadnego z warunków przewidzianych przez prawo opisujące sytuację zależności. Była to relacja prywatna, choć oczywiście wątki związane z „zawodem" księdza były w niej obecne: on nie ukrywał tego, że jest księdzem i zachowywał się jak ksiądz – ona również wiedziała, z kim ma do czynienia.

Zakochanie i bezbronność

Wydaje się też, że nie możemy zaklasyfikować Agaty jako osoby „bezbronnej dorosłej" (*vulnerable adult*). Z samą definicją takich osób mamy zresztą wciąż problem – jest cały czas rozwijana i modyfikowana. Zrewidowane w 2023 r. papieskie ↦



GRAŻYNA MAKARA

KS. JACEK PRUSAK, JEZUITA, PSYCHOTERAPEUTA:

Nie oddawaj swojego życia w ręce duchownego. Pamiętaj, że relacja z nim powinna być wtórna – wobec relacji z Bogiem i innych relacji, jakie masz w życiu.

EDWARD AUGUSTYN: O sprawie ks. Chmielewskiego jedni mówią: wykorzystanie, uwiedzenie. Drudzy: zakochanie się, romans dwóch dorosłych osób. Czy są jakieś kryteria oceny takich relacji?

KS. JACEK PRUSAK: Wyjściowe kryteria są dwa: intencja i kontekst. Czym innym jest sytuacja, w której ksiądz ma zamiar wykorzystać drugą osobę i realizuje go przy pomocy różnych technik manipulacyjnych. Zamaskowanych np. posługą duszpasterską, podczas gdy wszystko, co robi, służy wykorzystaniu relacji do gratyfikacji własnych potrzeb. Niekoniecznie seksualnych.

A co, gdy nie ma złych intencji?

Trzeba spojrzeć uczciwie, czy w tej relacji akcent położony jest na zaspokajanie emocjonalnych potrzeb, czy towarzyszenie komuś w drodze do Boga. Jeśli ksiądz chce być powiernikiem, opiekunem, ojcem, psychoterapeutą, albo daje się zaprosić do takiej roli, to znaczy, że relacją kierują uczucia i wzajemna fascynacja. A potem może zabraknąć dojrzałości, by się z taką sytuacją skonfrontować, nazwać ją po imieniu, gdy początkowa znajomość i więź zaczyna się zmieniać, erotyzować. Lekceważy sygnały i przesuwa granice, choćby dlatego, że ta relacja rekompensuje mu różne deficyty.

Przejdźmy do kontekstu.

W kontekście duszpasterskim zawsze większa odpowiedzialność za relację jest po stronie księdza, ponieważ jest to relacja asymetryczna ze względu na symboliczny status duchownego. Nieco inna sytuacja jest, gdy relacja nawiązuje się poza kontekstem duszpasterskim, a ksiądz nie ukrywa swojej tożsamości. Wtedy czynnikiem może być ludzka słabość. Bo jeśli ukrywa, mamy do czynienia z manipulacją.

„Ludzka słabość" – często słychać to usprawiedliwienie...

Słabość jest wpisana w ludzką naturę. To trzeba wiedzieć, by nie myśleć, że my na pewno żadnej granicy nie przekroczymy. Problemem nie jest to, co czujemy, tylko to, co z tymi emocjami robimy. Czy nie lekceważymy sygnałów ostrzegawczych, czy potrafimy się wycofać z relacji, gdy widzimy, że rozwija się w złym kierunku. Czy też mówimy, że nic złego jeszcze się nie dzieje, uciekając od odpowiedzialności za to, co może się dziać – w nas albo w drugiej osobie.

Nie bądźmy naiwni i nie oszukujmy się. Jeśli ksiądz spotyka się sam na sam z kobietą, to nie po to, by pomóc jej znaleźć Boga w życiu. Raczej, by zaspokoić swoje potrzeby. Często zresztą wcale nie chodzi o miłość. Jeśli już, to do samego siebie. Osoby narcystyczne zakochane są tylko w sobie, inni są im potrzebni jedynie jako lustra, w których się będą oglądać.

Jak zapobiegać tego rodzaju manipulacjom?

Dominikanie, nauczeni na błędach własnych i innych, wprowadzają obowiązek superwizji dla księży, którzy wchodzą w długie duszpasterskie relacje, np. podejmują się kierownictwa duchowego. To ochrona dla penitentek czy penitentów, ale i dla samych duszpasterzy. Z drugiej strony, każda osoba, kobieta czy mężczyzna, powinna pamiętać, że nie może oddawać swojego życia w ręce duchownego, że relacja z nim zawsze powinna być wtórna – nie tylko wobec jej relacji z Bogiem, ale też wobec innych relacji, jakie ma w życiu.

©℗ Rozmawiał EDWARD AUGUSTYN

↦ *motu proprio* „Vos estis lux mundi" określa, że bezbronnym dorosłym jest „osoba w stanie niepełnosprawności, niedorozwoju fizycznego lub psychicznego, albo która jest pozbawiona wolności osobistej, co choćby tylko sporadycznie ogranicza jej zdolność do rozumienia, wolę lub inny sposób przeciwstawienia się przestępstwu".

Można oczywiście pytać, czy stan zakochania, do którego Agata sama się przyznaje, nie jest takim „sporadycznym ograniczeniem zdolności rozumienia". I czy fakt, że charyzmatyczny duchowny rozkochał w sobie kobietę, nie sprawia, że ona staje się bezbronna? Ale ani „Vos estis lux mundi", ani praktyka kanoniczna nie dają nam podstaw do takiej interpretacji. Zakochanie nie upośledza wolności człowieka. Badania prowadzone w tym kierunku pokazują wprawdzie niewielkie i sytuacyjne zmiany w kontroli poznawczej, ale nie pozwalają na mówienie o „niezdolności do rozumienia" w sensie prawnym.

Uwiedzenie i grooming

Czy zatem można powiedzieć, że „nic się nie stało"? Absolutnie nie. Agata bez wątpienia doświadczyła krzywdy, nawet jeśli nie była to przemoc duchowa. Pierwszym skojarzeniem, które ciśnie się na usta w takiej sytuacji, są słowa, że „została uwiedziona". Wyrażenie to ma jednak kiepską konotację historyczną i prawną.

Kodeks Prawa Kanonicznego z 1917 r. pisał o duchownych, którzy „uwodzą" osoby małoletnie. W polskim Kodeksie Karnym sprzed 1997 r. również istniało przestępstwo „uwiedzenia" osoby małoletniej, czyli doprowadzenia jej do obcowania płciowego. W obowiązującym prawie – kościelnym i państwowym – to pojęcie nie jest już używane ani w Polsce, ani w innych krajach Europy. Występuje jedynie czasem w naukowych opracowaniach historycznych i kulturowych, dla opisania mechanizmu manipulacji emocjonalnej, prowadzącej do tzw. zgody pozornej.

To, co niegdyś nazywano w prawie „uwiedzeniem", dziś nazywa się po prostu „przemocą" i tak jest traktowane. Istnieje jednak pojęcie, które określa taki rodzaj manipulacji, który nie wykorzystuje sytuacji zależności i władzy,

a służy do „oswajania ofiary” i podstępnego doprowadzania jej do decyzji, której oczekuje sprawca. To *grooming* – celowe i stopniowe przygotowywanie ofiary do wykorzystania seksualnego poprzez zdobycie zaufania, rozkochanie w sobie i przekraczanie kolejnych barier.

W definicjach naukowych *grooming* obejmuje sześć etapów. Pierwszym jest identyfikacja i wybór ofiar: zwykle są nimi osoby wrażliwe, samotne, z deficytami uczuć, potrzebujące wsparcia. Potem zaczyna się budowanie zaufania poprzez okazywanie zainteresowania, troskę, utrzymywanie kontaktu, wsparcie emocjonalne, prezenty. Kolejnym etapem jest izolacja ofiary od bliskich, przyjaciół czy rodziny, a także budowanie wokół relacji nimbu tajemnicy. Stopniowo przesuwane są też granice fizyczne: delikatny dotyk, leżenie razem na łóżku, rozmowy na tematy dotyczące seksualności. Następuje również normalizacja tego rodzaju zachowań: „nic złego nie robiliśmy”, „nikt nie zabroni mi ciebie kochać”. Na końcu całego łańcucha pojawia się szantaż emocjonalny, wpajanie poczucia winy, groźby albo obietnice. Zdarza się też, że sprawca przemocy znudzony lub zaspokojony porzuca ofiarę i szuka kolejnej.

„Oswajanie ofiary”
i podstępne doprowadzanie jej do decyzji, której oczekuje sprawca, to grooming. Manipulacja, która nie łamie prawa.

Prawo i przyzwoitość

Nietrudno zauważyć, że przywołana w „Gazecie Wyborczej” relacja wpisuje się idealnie właśnie w model groomingu. Całe nieszczęście – Agaty, innych kobiet w podobnych sytuacjach, ale i nas, obserwujących ze zgorszeniem i smutkiem tę historię – polega na tym, że *grooming* nie jest penalizowany, o ile nie wiąże się z formalną zależnością ani nie dotyczy osób nieletnich. Nie ma więc możliwości, na podstawie istniejącego prawa, pociągnięcia do odpowiedzialności za takie czyny.

Tyle że w Kościele oprócz istniejącego prawa mamy jeszcze (albo powinniśmy mieć) przykazania, normy moralne, poczucie przyzwoitości. Mamy również możliwość tworzenia nowych praw, które szybciej i z większą wrażliwością dostrzegać będą krzywdę i zło, nawet jeśli nie mieszczą się one w kategoriach prawa świeckiego. Mamy możliwość zadośćuczynienia skrzywdzonym za zło, nawet jeśli formalnie nie jest ono przestępstwem.

Historia ks. Chmielewskiego może nas, jako wspólnotę, nauczyć nie tylko rozpoznawania zagrożeń i jasnego ich identyfikowania. Także zadbania o to, by – od dziś – żadne zło nie wymykało się już normom prawnym. Zapewne potrzeba na to czasu i kolejnych trudnych lekcji. Ale bez wątpienia to zadanie stoi przed nami.

© MONIKA BIAŁKOWSKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



O. WACŁAW

Oszajca:
Inaczej, czyli jak?



Święto podwyższenia krzyża – czyli czego? Krzyż jest symbolem wieloznacznym. Dla chrześcijan jest wyrazem wierności Boga ludziom i ludzi Bogu. Zdumiewającą przemianą klęski w zwycięstwo, niczym wody w wino. „Im bardziej usiłujemy poznać historię pierwotnego chrześcijaństwa, tym mniej ją rozumiemy” – mówił Leszek Kołakowski. Jak to możliwe, że „reformator religijny z małego, ciemnego plemienia (...) stał się symbolem duchowym *par excellence* najpotężniejszej i najbardziej twórczej (niekoniecznie najbardziej cnotliwej) cywilizacji świata i jest ciągle, po dwóch tysiącach lat, światłem tej cywilizacji oraz, przynajmniej moralnie, jej znakiem rozpoznawczym – nikt mnie nie przekonał, że da się to prosto wytłumaczyć (...) To, że Jego nauki moralne, obelżywe i niesłychane wyzwanie rzucone światu (...) że ze słabych, pozbawionych ozdób rąk galilejskiego Żyda wyłonił się nowy wszechświat, jest niepojęte (...). Korzeniem tej przemiany – świat chrześcijański zawsze był zgodny w tym punkcie – jest miłość (...) którą On przelał w świat i której odbiciem jest ta odrobina, jaką ludzie noszą w sobie – odbiciem słabym, niedoskonałym, zmieszanym ze złem, ale zawsze żywym (...) gdyby historia Kościoła rzeczywiście uosabiała ducha Ewangelii, sprawy ludzkie przedstawiałyby się nieporównanie lepiej”.

Dlatego nasze istnienie w „świecie jest ważne o tyle, o ile jest obecnością Jezusa Chrystusa, to znaczy trwaniem ponadczasowego w czasowym”. A chrześcijanie, zwłaszcza „księża, którzy nie widzą już sensu w idei, że są odpowiedzialni [za] obecność Jezusa w świecie, że są Jego kapłanami i apostołami, są bezsilni, nawet jeśli szczerze przywiązani do tradycji chrześcijańskiej, do Kościoła, nawet jeśli żywotność tej tradycji jest dla nich ważna”.

To poczucie odpowiedzialności za los Jezusa w dzisiejszym świecie zmusza nas do uważnego wsłuchiwania się w to, co się o Jezusie mówi. Ostatnio jeden z naszych polityków zapewniał, że będzie „prowadzić Polskę do czasów bez wojny, [ale] polski żołnierz musi też wiedzieć dzisiaj, że jeśli Bóg zdecyduje inaczej i przyjdzie za Rzeczpospolitą umierać”, to państwo polskie nigdy o nim nie zapomni. „Zdecyduje inaczej”? Czyli jak? O jakim Bogu mowa? Czyżby Bóg wszczynał wojny? Jeśli tak, to nie jest to Bóg Biblii ani Kościoła. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Nowość



„Nikt nie przyszywa do starego ubrania jako łaty tego, co oderwie od nowego; w przeciwnym razie i nowe podrze, i łata z nowego nie nada się do starego. Nikt też młodego wina nie wlewa do starych bukłaków; w przeciwnym razie młode wino rozerwie bukłaki, i samo wycieknie, i bukłaki przepadną. Lecz młode wino należy wlewać do nowych bukłaków. Kto się napił starego, nie chce potem młodego – mówi bowiem: stare jest lepsze” (zob. Łk 5, 36 - 39). Z tym Jezusowym wezwaniem (wyzwaniem!) Liturgia skonfrontowała nas w minionym tygodniu. Zaproszeniem do otwartości na doświadczenie całkowitej NOWOŚCI w spotkaniu z Bogiem.

To jeszcze jeden dowód Jego Miłosierdzia. Dotarło to do mnie, gdy zestawiłem ów tekst z historią człowieka – ukraińskiego księdza, Piotra Pawła Orosa, do którego beatyfikacji się przygotowujemy. Ks. Piotr, męczennik za wiarę (zabity z polecenia KGB w sierpniu 1953 r.), zapamiętany został przede wszystkim ze względu na swą dobroć i radykalne miłosierdzie. Wszystko, co miał, rozdawał ubogim. Nowe buty, płaszcz czy koszulę podarowaną przez parafian natychmiast przekazywał napotkanym ubogim. Nigdy nie dawał im rzeczy starych, jedynie nowe! Przekonany, że ubogiemu dać trzeba to, co się ma najlepszego. Taki jest Bóg względem nas. Ciągle chce nas obdarowywać całkowicie nowymi darami. Chce nas dźwigać na zupełnie inny – nowy poziom życia. Nie pozwala, byśmy się zadowolili jakąś „łatą”, półśrodkami, tanimi (a ostatecznie niszczącymi) kompromisami. Paschalny Bóg ciągle wzywa nas do paschalnej nowości.

Wpadł mi ostatnio w ręce tekst ks. prof. Józefa Tischnera, że człowiek, który chce się spotykać z Bogiem, „musi zabić historię”! Nie ukrywam, byłem w ciężkim szoku: Jak to „zabić historię”? (dla historyka, jakim kiedyś byłem, to szaleństwo i przetrącenie sensu poważnego kawałka życia). Odpowiedź przyszła niemal natychmiast: „Bóg bowiem nigdy nie przychodzi do człowieka w taki sam sposób jak poprzednio”. No właśnie! To my się przyzwyczajamy, przyklejamy do dawnych smaków, doświadczeń i emocji; do dawnych sposobów i dróg myślenia, przeżywania, działania... A On chce ciągłej nowości – ciągłej PASCHY – dla każdej i każdego z nas indywidualnie, ale również dla naszych kościelnych wspólnot: grup, parafii, diecezji, Kościoła w ogóle. Stare było dobre! Ale lepsze jest NOWE! ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

międzynarodowa konferencja

SAMOTNA EUROPA?

Rola chrześcijan w procesie integracji europejskiej

26-27 września 2025 r.

Hotel Holiday Inn (sala Renoir)**, Kraków, ul. Wielopole 4**

Co czeka Europę, gdy Trump odwróci się do niej plecami?
Czy Unia Europejska ostoi się wobec rosnących w wielu krajach nastrojów antyunijnych?
Jaką rolę w naprawianiu Europy mogą odegrać Kościoły chrześcijańskie?

Już ćwierć wieku mija od pierwszej Międzynarodowej Konferencji „Rola Kościoła katolickiego w procesie integracji europejskiej". Wtedy – w 2001 r. – chodziło głównie o zmobilizowanie środowisk kościelnych do wsparcia akcesji Polski do Unii Europejskiej. – Wcale nie było to proste. Pamiętam trudne rozmowy z ówczesnym prymasem kard. Józefem Glempem, który wtedy nie był jeszcze przekonany do integracji – wspomina Rafał Budnik, prezes Fundacji im. Tadeusza Pieronka, od kilku lat głównej organizatorki krakowskich spotkań. Swoim autorytetem pomysł konferencji wsparł bp Tadeusz Pieronek, który sprawił, że z roku na rok nabierała ona międzynarodowego rozmachu. Dziś Budnik wspomina także o cichym wsparciu ze strony Jana Pawła II: – Entuzjastycznie do organizowania konferencji odniósł się ówczesny sekretarza papieża, bp Stanisław Dziwisz.

Od tego czasu zatoczyliśmy koło. Dziś staje pytanie, czy Polska nie pójdzie drogą Węgier i Słowacji – coraz większej separacji od Unii Europejskiej. – Jeśli wyprowadza się flagę Unii z gabinetu prezydenta, jest to wymowne. Gdyby przeprowadzić ankietę wśród polskich biskupów, nie jestem pewien, czy obecność w Unii otrzymałaby pełne wsparcie – zastanawia się Budnik.

Refleksja nad rolą Kościoła – czy szerzej: chrześcijaństwa – w tworzeniu przyszłości Europy jest więc wciąż aktualna i potrzebna. Polityczny i geopolityczny kontekst prowokuje nowe pytania. Jak zaradzić kryzysowi uniwersalnej koncepcji demokracji i praw człowieka? Co dla chrześcijan oznacza „bezpieczna Europa"? Czy skuteczna obrona terytorium i wyznawanych wartości oznacza przygotowywanie się do wojny w myśl zasady *„si vis pacem, para bellum"*? Czy AI i bigtechy są szansą czy zagrożeniem dla procesów demokratycznych? – to tematy paneli tegorocznej edycji konferencji, która odbędzie się w dniach 26 i 27 września w Hotelu Holiday Inn w Krakowie.

Organizatorzy postarali się o mocną reprezentację Kościoła katolickiego. Do zabrania głosu został zaproszony dyrektor „Renovabis" (organizacji wspierającej kraje Europy Środkowo-Wschodniej) o. prof. Thomas Schwartz. Referat wygłosi także wiceprzewodniczący Rady Konferencji Episkopatów Europy (CCEE) metropolita Belgradu kard. Ladislav Német. To zresztą nie pierwsza obecność tego hierarchy, Serba o węgierskich korzeniach, na wrześniowych spotkaniach w Krakowie, ale pierwsza w roli kardynała (biret otrzymał w grudniu ubiegłego roku). Co ciekawe, metropolita Belgradu mówi po polsku, gdyż jako werbista studiował w seminarium w Pieniężnie.

Referat wprowadzający w tematykę konferencji wygłosi Massimo Faggioli, historyk Kościoła i teolog z Uniwersytetu Villanova (USA). Czytelnicy „Tygodnika Powszechnego" znają go z publikowanych na tych łamach tekstów.

Organizatorzy nie zapominają, że ciągle najważniejszym kontekstem pozostaje wojna obronna w Ukrainie. Swoją obecność zapowiedział wicepremier i minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz. A o najnowszych zagrożeniach będzie mówił gen. dyw. Karol Molenda, dowódca niedawno utworzonego Komponentu Wojsk Obrony Cyberprzestrzeni.

Z konferencją połączona jest gala Nagrody im. bp. Tadeusza Pieronka „In Veritate". W tym roku otrzymają ją: Specjalny Wysłannik UE ds. promocji wolności religii i przekonań religijnych poza granicami UE Ján Figeľ oraz były przewodniczący Parlamentu Europejskiego prof. Hans-Gert Poettering.

©℗ ARTUR SPORNIAK

★ Zapisy na XXV edycję Międzynarodowej Konferencji „Rola chrześcijan w integracji europejskiej" na stronie **www.fundacjapieronek.eu**. Konferencję można będzie śledzić online na kanale **https://www.youtube.com/channel/UCwsineuPYT04_38543o472Q**

MATERIAŁ PARTNERA

ORGANIZATORZY

grupa epl w parlamencie europejskim

IN VERITATE

WSPÓŁORGANIZATORZY

CDE DCE

grupa epl w parlamencie europejskim

COMECE

HISTORIA

WRZEŚNIOWE MOGIŁY

Choć od wojny obronnej w 1939 r. minęło 86 lat, wciąż nie ma ostatecznych ustaleń, ilu żołnierzy Wojska Polskiego wtedy zginęło i jak się nazywali. Czy można to nadrobić?

KRZYSZTOF PIĘCIAK



BIURO POSZUKIWAŃ I IDENTYFIKACJI IPN

Beskid Niski, okolice wsi Hałbów na południe od Nowego Żmigrodu, poranek 8 września. Wzdłuż drogi i polami, schodząc z gór, wycofują się zmęczeni żołnierze. Pojedynczo i grupami, zmierzają na punkt zborny w Kątach.

Jeden z nich, Jan Chochołek, zapisze po latach: „Kiedy dotarłem na miejsce, gdzie leżeli, zobaczyłem ich porozbieranych, bez butów, z ranami postrzałowymi w piersi. Dwóch leżało w fosie [tj. rowie] przy drodze, po lewej stronie w kierunku Krempnej, a trzeci leżał w krzakach, widać z tego, że uciekał lub po otrzymaniu kuli jeszcze biegł i tam padł (...) byli to żołnierze plutonu ckm, którzy bronili drogi przed Niemcami. (...) Koło jednego leżała legitymacja z napisem Gmina Dębowiec i na nazwisko Kamiński".

Kilka godzin później minie ich niemiecki oficer. Ten zapisze: „Jest to jednak szczególne uczucie, widzieć pierwszych poległych. Człowiek jest w gruncie rzeczy zadowolony, że to nie są jego towarzysze broni, i zadaje sobie pytanie: za co oni polegli".

Ci trzej nazywali się Władysław Kamiński, Franciszek Setlak i Izydor Świątek. Należeli do Jasielskiego Batalionu Obrony Narodowej (terytorialnej formacji, złożonej ze starszych rezerwistów i ochotników w wieku przedpoborowym). Walczyli do końca, broniąc drogi do Żmigrodu. I rodzinnych domów, bo pochodzili z Cieklina i Duląbki.

Nie powstrzymali Niemców, ci byli silniejsi. Ale opóźnili ich marsz i osłonili odwrót kolegów. Ze 181 żołnierzy ich kompanii (ochotników, głównie chłopów i rzemieślników z okolicznych wsi) co trzeci odniósł wtedy rany.

Ci trzej spoczęli w rodzinnych grobach na parafialnym cmentarzu w Cieklinie. Ich rodziny miały w pewnym sensie szczęście. Bo do dziś zagadką jest, ilu żołnierzy Wojska Polskiego zginęło i jak się nazywali. Zarówno w tym starciu, jak i w całej kampanii 1939 roku.

Szacunkowe statystyki

Kwestia dokładnej liczby zabitych, rannych i zaginionych żołnierzy Wojska Polskiego w 1939 r. do dziś budzi emocje. Powód: ustalając polskie straty, musimy opierać się na źródłach pośrednich i szacunkach – z uwagi na brak dokumentów.

W odróżnieniu od strat niemieckich, zwykle nie przetrwały bowiem bieżące meldunki o stratach, nie zaczęło też pracy polskie wojskowe grobownictwo (z uwagi na tempo odwrotu i potem przegraną). Tylko częściowo zachowały się materiały Czerwonego Krzyża, który jeszcze w czasie wojny próbował spisać polskie mogiły z 1939 r. i poszukiwał zaginionych.

Pierwsze oficjalne szacunki strat powstały w styczniu 1947 r. – ówczesne Biuro Odszkodowań Wojennych przy rządzie pojałtańskiej Polski podało liczby: 66 300 zabitych, 133 700 rannych i 420 tys. zaginionych. Obejmowały jednak – to ograniczenia narzucone ze względów politycznych – obszar kraju w granicach po 1945 r. i tylko Polaków oraz Żydów. Nie uwzględniono poległych na ziemiach wschodnich II RP (także np. w walkach z Niemcami pod Lwowem) ani obywateli II RP z mniejszości ukraińskiej, białoruskiej, litewskiej i niemieckiej – gdy ci także służyli w armii II RP. Mimo tego podane wtedy



Prace ekshumacyjne prowadzone przez IPN we Lwowie-Zboiskach, w miejscu pochowania żołnierzy poległych w obronie Lwowa. Sierpień 2025 r.

liczby do dziś bywają punktem wyjścia w dyskusjach.

Dodajmy, że szacunkowy charakter mają także dane dotyczące strat ludności cywilnej we wrześniu 1939 r. Obliczenia historyka prof. Czesława Łuczaka wskazują na ok. 200 tys. cywilów, którzy ponieśli śmierć na skutek działań wojennych.

Ukryci wśród liczb

Prowadzone później badania doprecyzowywały te liczby, wskazując m.in., że większość zaginionych to jeńcy. Wskazywały też na – niestety wyższe – liczby poległych.

I tak, według wyliczeń historyka prof. Tadeusza Paneckiego miało to być 95-97 tys. zabitych, zmarłych z ran i zaginionych bez wieści – i jest to liczba niewątpliwie bliższa prawdzie niż 66 tys., choć wciąż pozostaje szacunkiem. Do niewoli miało trafić ok. 650 tys. polskich żołnierzy – przy czym ujęto tu tych, którzy na dłużej trafili do obozów.

Podliczono także, że na terenie dzisiejszej Polski znajduje się ponad 70 tys. grobów poległych w kampanii 1939 r. i zmarłych z odniesionych wtedy ran.

Agresorzy podawali nawet większe liczby jeńców: Niemcy 588 tys., a Sowieci 453 tys. W tych ogromnych liczbach „ukryto” jednak też żołnierzy, którzy zmarli z ran już po wzięciu do niewoli, rezerwistów bez przydziału, policjantów, funkcjonariuszy i pracowników służb mundurowych i urzędów (np. pocztowców – w 1939 r. umundurowanych).

A także cywilów uznanych za współpracowników wojska i osoby uznane przez okupantów za będące zagrożeniem. Wytyczne dowództwa Wehrmachtu mówiły bowiem wprost o internowaniu mężczyzn w wieku poborowym, a część z nich wliczano do ogólnej liczby jeńców. Bywało, że po walce wśród „jeńców” dominowali cywile, ↦

↦ zatrzymywani masowo z obawy przez „partyzantami".

Kolejna grupa poza statystyką to internowani: żołnierze, którzy przekroczyli granice sąsiednich państw, zostali rozbrojeni i osadzeni w obozach internowania.

Prócz Rumunii (gdzie internowano prezydenta Mościckiego, marszałka Rydza-Śmigłego i członków rządu) oraz Węgier (karpacką granicę przeszła m.in. słynna 10. Brygada Kawalerii płk. Maczka i 3. Brygada Górska Strzelców) dotyczyło to też Litwy, Łotwy i Szwecji (tu załogi okrętów, które przedostały się przez Bałtyk). Łącznie blisko 90 tys. osób. Część z nich w kolejnych miesiącach będzie przedzierać się do Francji, do odtwarzanej armii.

Na ziemiach wschodnich

„Białą plamą" są do dziś straty Wojska Polskiego na terenie ziem wschodnich II RP. Mamy tu tylko niedokładne szacunki: 6-7 tys. poległych i 10 tys. rannych. Po uwzględnieniu zaginionych i zamordowanych przez nacjonalistyczne i komunistyczne bojówki liczba zabitych wzrasta do 17-19 tysięcy. Wielu z nich spoczywa tam, gdzie pochowano ich po śmierci – na cmentarzach i poza nimi, na polach i w lasach, w grobach nieoznakowanych.

Nie ułatwiają ich ustalenia sowieckie dokumenty. Wprawdzie wbrew powszechnemu mniemaniu część z nich jest nadal dostępna – to kserokopie akt z archiwów rosyjskich, białoruskich i ukraińskich, wykonane przez badaczy z Wojskowej Komisji Archiwalnej w latach 90. XX w., dotyczące losów członków polskich formacji na terenie Związku Sowieckiego z okresu 1939-47 (przekazane do Centralnego Archiwum Wojskowego). Jednak sowieckie meldunki zwykle zawyżały straty przeciwnika. Co więcej, jak zauważył badacz walk na Kresach w 1939 r. prof. Czesław Grzelak, wobec strat polskich Sowieci byli mało dokładni, zwykle operowali okrągłą liczbą.

Tylko niektóre „wycinki" są lepiej udokumentowane – dzięki pracy polskich instytucji, wolontariuszy, harcerzy, społeczników, w tym Polaków żyjących na Ukrainie, a także Wydziału Kresowego IPN.

Kropla w morzu

I tak, poszukiwania i ekshumacje prowadzono w rejonie Lwowa (najnowsze – w sierpniu tego roku), a także na Wołyniu i Polesiu, gdzie odnaleziono m.in. zbiorowe mogiły w rejonie Szacka i Mielnik, w tym żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP) i Flotylli Pińskiej rozstrzelanych przez Sowietów. Badania prowadzono też na Białorusi – tu wśród znalezionych byli gen. Stanisław Sołłohub-Dowoyno (zabity przez Sowietów) i żołnierze KOP ze strażnicy „Pohost".

Nawet badania sondażowe, podczas których nie przeprowadza się ekshumacji, a tylko określa, czy mogiła istnieje i jaki jest jej zasięg, przynoszą rezultaty: na tej podstawie można ocenić, czy informacje o wojennych grobach są wiarygodne, i oszacować liczbę pochowanych.

To jednak wciąż „kropla w morzu" – kompleksowe badanie tych miejsc nie będzie możliwe bez zgody i współpracy władz Ukrainy i Białorusi.

Badania na wschodzie po wielu latach ruszyły ponownie: w sierpniu trwały prace IPN-u w Zboiskach (w 1939 r. była to wieś pod Lwowem, dziś znajduje się w granicach miasta). Odnaleziono tam szczątki co najmniej 31 osób i liczne szczątki luźne, a także elementy wyposażenia. To szansa na nowe wiadomości o walczących tam żołnierzach z 10. Brygady Kawalerii płk. Stanisława Maczka i przebijających się na odsiecz Lwowa żołnierzach gen. Kazimierza Sosnkowskiego.

Nieznani z nazwiska

„Wzrostu średniego, na twarzy pełny, z karabinem z lufą o dwu nóżkach, padł śmiercią bohatera broniąc się do końca" – zapisano w księdze zmarłych wsi Olszówka u stóp Gorców. Autor wpisu, zapewne proboszcz, nie znał nazwiska poległego z 1. pułku piechoty KOP. Jego grób pozostał anonimowy. Żołnierze tego pułku nie otrzymali znaków tożsamości (dziś zwanych „nieśmiertelnikami").

W teorii miały być one przydzielane wszystkim żołnierzom, a także jednostkom KOP, Straży Granicznej, Policji Państwowej i pracownikom kilku ministerstw. Jednak wykonywano je – wybijając dane na blaszkach – dopiero po postawieniu w stan pogotowia bojowego w części jednostek, a w innych po ogłoszeniu mobilizacji.



ZE ZBIORÓW PIOTRA SADOWSKIEGO

Cmentarz w Wysokiej, stan na wiosnę 1940 r.: grupy krzyży stoją na mogiłach zbiorowych polskich żołnierzy, pochowanych po bitwie przez księdza Józefa Sławińskiego, proboszcza z Jordanowa, który sporządził też listę poległych. Ostatni krzyż z prawej to mogiła żołnierza niemieckiego (ekshumowanego później przez Wehrmacht).



ZE ZBIORÓW KRZYSZTOFA PIĘCIAKA

Groby żołnierzy polskich i niemieckich, pochowanych po walkach obok kościoła kapucynów w Krośnie, wrzesień 1939 r.

Oznaczało to, że ten czasochłonny proces musiano prowadzić w warunkach polowych. W efekcie niektóre oddziały nie otrzymały w ogóle znaków tożsamości. W innych na ich wybicie brakło czasu, a żołnierze w desperacji robili to samodzielnie, ryjąc nożami na blaszce swoje nazwisko.

W takich sytuacjach poległych identyfikowano po tym, co mieli przy sobie: dokumentach, listach, podpisach na mundurach. Wprawdzie rzeczy osobiste zwykle deponowano w PCK, ale część archiwum tej organizacji – już od 1939 r. pracującej nad dokumentacją wojennych strat – spłonęła podczas powstania warszawskiego.

Bywało i tak, że np. przy przebijaniu się z okrążenia żołnierze sami niszczyli swoje dokumenty.

Wszystko to sprawia, że wielu poległych do dziś jest nieznanych. Sporządzone w latach 90. XX w. zestawienia pozwoliły na ustalenie ponad 32 tys. nazwisk. W 1992 r. doprecyzowano, że w 2204 rozpoznanych miejscach pochówku spoczywało łącznie 71 494 poległych i zmarłych żołnierzy, w tym 70 520 na terenie obecnej Polski. Znane były dane mniej niż połowy pochowanych: 30 042 nazwisk. Dla porównania udało się wówczas ustalić dane o 964 pochówkach i 788 nazwiskach poległych na dawnych Kresach.

Zaginione mogiły

Historia nieznanego żołnierza KOP z Olszówki ma jeszcze jeden aspekt. Jego grób, widoczny „w terenie" ponoć jeszcze w latach 70. XX w., dziś jest już nie do odnalezienia.

Choć ustawa o grobach i cmentarzach wojennych mówi o nienaruszalności mogił i gwarantuje im opiekę państwa, w praktyce w latach PRL-u jej zapisy obchodzono, lokując w miejscach żołnierskich grobów nowe pochówki (na jeszcze większą skalę ten proceder dotknął mogił z okresu I wojny światowej). Inne groby, nawet bez ingerencji „z zewnątrz", ulegały zapomnieniu i się zacierały.

Mało wiadomo też o mogiłach na terenie obecnej południowo-wschodniej Polski, dotkniętej w latach 40. konfliktem polsko-ukraińskim – a miały tam miejsce zaciekłe walki, toczone przez jednostki Armii „Karpaty" m.in. pod Birczą.

Gdy idzie o mogiły z 1939 r., część z nich mogła zostać zapomniana po ekshumacjach mających miejsce jeszcze podczas wojny. Choć dziś może się to wydać zdumiewające, w 1939 r. nie było rzadkością chowanie obok siebie żołnierzy polskich i niemieckich. Okupanci zorganizowali wtedy akcję ekshumacji swoich żołnierzy na cmentarze zbiorowe, a ciała Polaków zostawiano zwykle w tym samym miejscu.

Niektóre miejsca pochówku zdominowała pamięć o wydarzeniach innych niż kampania 1939 r. – jak położony na uboczu Gorlic cmentarz z II wojny światowej, zdominowany przez upamiętnienie poległych w 1945 r. żołnierzy Armii Czerwonej.

Praca na lata

Choć od zakończenia II wojny światowej minęło 80 lat, temat strat poniesionych przez Polskę, a także miejsc pochówków pozostaje otwarty – i dotyczy nie tylko ofiar z Wołynia, ale także roku 1939.

Badania regionalne, a także żmudne, dokładne badania źródłowe połączone z krytyczną weryfikacją dokumentacji z lat 90. XX w. wypełniają kolejne luki. Czy jest możliwe zapełnienie ich do końca?

Weźmy przykład: cmentarz wojenny w Wysokiej koło Jordanowa – miejsce pochówku żołnierzy zmotoryzowanej 10. Brygady Kawalerii płk. Maczka i 1. Brygady Górskiej Strzelców [o bitwie, którą stoczyli, zob. tekst „Reduta pod Wysoką", „TP" nr 37/2021 – red.].

Po latach cmentarz ten doczekał się szczegółowego opracowania. Badania archeologiczne, które poprzedziły jego renowację, pozwoliły odpowiedzieć na pytanie, ilu żołnierzy tam pochowano, i pomogły w identyfikacji części z nich. Dziś wiemy, ilu żołnierzy tam spoczywa, i znane są – po wielu latach badań – nazwiska większości z nich.

Wysoka jest jednak przypadkiem wyjątkowym: zachowało się nadzwyczaj dużo dokumentów, a w odkrycie szczegółów tej historii zaangażowało się wiele osób i instytucji.

Szansę, aby coś podobnego udało się w skali kraju, utracono – pewnie bezpowrotnie – jeszcze w latach 40. i 50. XX w. Wciąż jednak można starać się ustalić tak wielu poległych, tak wiele nazwisk i grobów, jak tylko to możliwe.

© KRZYSZTOF PIĘCIAK

Autor jest historykiem, pracuje w Biurze Poszukiwań i Identyfikacji Oddziału IPN w Krakowie. Publikował prace o historii wojskowości w XX w. i podziemia niepodległościowego. Tekst powstał w oparciu o opracowanie naukowe autorstwa Dawida Golika, Piotra Sadowskiego i Krzysztofa Pięciaka nt. strat Wojska Polskiego, przygotowanego w ramach projektu „Kampania Polska 1939 roku – synteza", prowadzonego przez Akademię Sztuki Wojennej w Warszawie-Rembertowie.

Poszukiwania w Zboiskach

PO WIELU LATACH PRZERWY ruszyły na nowo także poszukiwania żołnierzy Wojska Polskiego na Ukrainie: od 4 do 30 sierpnia 2025 r. trwały prace IPN-u w Zboiskach koło Lwowa. To kontynuacja badań rozpoczętych jesienią 2019 r.: ustalono wówczas lokalizację miejsca pochówku, ale mimo tego i spełnienia wymogów formalnych, strona ukraińska nie wyraziła zgody na ekshumację. Udzielono jej po pięciu latach starań.

EFEKTY BADAŃ to odnalezienie przez zespół Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN, we współpracy z Towarzystwem „Ukraińska Pamięć", szczątków co najmniej 31 osób i licznych szczątków luźnych (tj. zniszczonych w wyniku ostrzału artyleryjskiego, jak i naruszonych przez pochówki wtórne) kolejnych kilkudziesięciu ofiar. Znaleziono też elementy mundurów i wyposażenia – wśród nich 11 znaków tożsamości (tzw. nieśmiertelników).

ZBOISKA TO DRUGIE z miejsc na Ukrainie, gdzie w 2025 r. IPN prowadził poszukiwania; pierwszym były Puźniki w obwodzie tarnopolskim, gdzie w kwietniu i maju odnaleziono szczątki ofiar zbrodni dokonanej w lutym 1945 r. przez oddziały UPA.

PLANOWANE SĄ dalsze badania genealogiczne i pobranie materiału porównawczego do badań genetycznych od krewnych poległych w 1939 r. Ich szczątki mają spocząć na cmentarzu w Mościskach pod Lwowem, gdzie są chowani polscy żołnierze odnalezieni na terenie Ukrainy. W planach są też dalsze poszukiwania. IPN cyklicznie składa wnioski o prowadzenie prac poszukiwawczych i ekshumacyjnych na Ukrainie, obejmujące miejsca pochówku żołnierzy Legionów Polskich, WP, KOP, ofiar NKWD i zbrodni wołyńskiej. © KP

WNIOSKI Z KOŃCA ŚWIATA

AGNIESZKA KRUSZEWSKA, SZEFOWA POLSKIEJ STACJI ANTARKTYCZNEJ:

W Antarktyce wszystko trzeba przemyśleć. Nawet dźwięki ostrzegawcze w nowoczesnych maszynach musimy wyłączać, bo stresują zwierzęta. Pingwin w naturalnym środowisku nie słyszy takiego sygnału.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA: Czym zajmuje się COMNAP?

AGNIESZKA KRUSZEWSKA: COMNAP to Council of Managers of National Antarctic Programs, czyli Stowarzyszenie Menadżerów Narodowych Programów Antarktycznych. Te programy są bardzo różnie zorganizowane instytucjonalnie – czasem przy instytutach naukowych, czasem przy ministerstwach, ale zawsze mają dwie nogi: naukową i logistyczną. W polskim języku używamy słowa „logistyka", w angielskim częściej mówi się „operations" albo „science facilitation".

W praktyce chodzi o wszystko to, co sprawia, że naukowiec może w ogóle pojechać do Antarktyki i tam prowadzić badania. To cała infrastruktura stacyjna, statkowa, samolotowa, to zapewnienie bytu na miejscu, dostęp do wysokospecjalistycznego sprzętu. Czasami to są proste rzeczy, jak możliwość spania i jedzenia w stacji, a czasami bardzo zaawansowane – jak georadary, które pozwalają sprawdzić, gdzie w lądolodzie są szczeliny, żeby można było bezpiecznie trawersować teren.

Na COMNAP spotykają się osoby odpowiedzialne za całą „nogę logistyczną": za organizację wypraw, za procesy inwestycyjne, za planowanie harmonogramów statków i samolotów. W zachodniej Antarktyce jest tylko jedno lotnisko cywilne, na King George Island, obsługiwane przez stronę chilijską. Samoloty, które tam lądują, muszą być wcześniej wyczarterowane przez poszczególne programy. To COMNAP jest miejscem, gdzie wszyscy wymieniają się informacjami: kto kiedy potrzebuje przetransportować ludzi, czyja infrastruktura może posłużyć innym.

Większość programów nie jest samowystarczalna. Amerykanie mają wszystko: stacje, statki, samoloty, helikoptery. Ale to wyjątek. Znakomita większość krajów działa w układzie naczyń połączonych. COMNAP pozwala na zawieranie takich transakcji wiązanych: „mam statek, ty masz ludzi do przewiezienia", „ja mam wolne miejsca, ty masz sprzęt".

A jak wygląda wymiana doświadczeń?

To ogromna wartość. Jeśli ktoś modernizuje stację, buduje nowy system zasilania czy łączności, robi to zwykle w dialogu z innymi. Na COMNAP działają grupy eksperckie, gdzie wymieniamy się wiedzą – co się sprawdziło, jakie były zagrożenia, co można zrobić lepiej.

Są też grupy regionalne. Tam menadżerowie przedstawiają sprawozdania z minionego sezonu i plany na kolejny. To pozwala koordynować działania i unikać dublowania wysiłków.

Mamy grupę medyczną. Koordynatorzy medyczni poszczególnych programów wymieniają się informacjami o dolegliwościach, o sprzęcie, o procedurach. Podczas pandemii musieliśmy zrobić wszystko, żeby osoby jadące do Antarktyki nie były wektorami covidu. Bo nawet nowoczesne stacje, z dobrym zapleczem medycznym, nie są przygotowane do intensywnej terapii. Dzięki tej grupie mogliśmy się dowiedzieć, kto ma ile testów, kto dysponuje butlami z tlenem, kto ma aparaty PCR. To pozwoliło całej społeczności polarnej uniknąć tragedii.

Co w Antarktyce robi Polska?

Polska od 1977 r. prowadzi własną stację im. Henryka Arctowskiego. Od 2012 r. stacją zarządza i dba o jej roz-



TOMASZ JANECKI / PAP

wój Instytut Biochemii i Biofizyki PAN. Jesteśmy stroną Traktatu Antarktycznego z pełnymi prawami decyzyjnymi. To oznacza, że współdecydujemy o przyszłości kontynentu i całego regionu.

Jak wygląda zarządzanie polską stacją od kuchni?

Musimy wysłać na stację wszystko: od tak prozaicznych rzeczy jak jajka, przez paliwo, części zamienne, ubrania, po specjalistyczne urządzenia do badań. Trzeba zadbać o żywność, materiały techniczne, ochronę przeciwpożarową, sprzęt do pływania. Paliwo jest kluczowe – każda stacja musi być energetycznie samowystarczalna. Energia to ciepło, prąd, chłodzenie żywności, łączność.

Operator stacji zabezpiecza każdy aspekt życia ludzi na miejscu, przewiduje wszystkie możliwe scenariusze – od tego, co się zepsuje, po to, jak zapewnić im komfort i bezpieczeństwo przez rok. I to w najdrobniejszych detalach. Drzwi muszą otwierać się do środka – bo zdarza się, że śnieg zasypuje je do wysokości górnej futryny. Gdyby otwierały się na zewnątrz, ludzie byliby uwięzieni wewnątrz budynku. Sprzęt nie może być zbyt elektroniczny – bo w razie awarii nie ma serwisu, a reset komputera w koparce to nie jest coś, co da się zrobić na miejscu.

Nawet dźwięki ostrzegawcze w nowoczesnych maszynach musieliśmy wyłączać. Dlaczego? Bo ich częstotliwość stresuje zwierzęta. Pingwin w swoim naturalnym środowisku nie słyszy takiego sygnału. A my nie możemy doprowadzić do tego, żeby kolonia pingwinów przy stacji zmieniła miejsce lęgowe, bo hałas maszyn wprowadza im chroniczny stres. To byłaby nasza porażka – bo jesteśmy tam gośćmi.

Jak Pani trafiła do tej pracy?

W 2012 r. zmieniła się ustawa o PAN. Zakład Biologii Antarktyki, który dotąd zarządzał stacją, został włączony do Instytutu Biochemii i Biofizyki. Byłam zastępcą dyrektora ds. administracyjnych i odpowiadałam za całą infrastrukturę – budynki, zamówienia, obsługę prawną. I nagle w moim zakresie znalazła się też stacja 14 tys. kilometrów od Warszawy.

Musiałam zorganizować wyprawę, dobrać specjalistów, przygotować przetargi, znaleźć statek. To było ogromne wyzwanie. Szybko okazało się, że nie mogę prowadzić tego sama – więc ogłosiliśmy konkurs na logistyka polarnego. Wygrał dr Dariusz Puczko, doświadczony polarnik, wcześniej zimujący w Arktyce. Od tamtej pory działamy razem.

Pojechała Pani na stację, żeby zobaczyć wszystko na własne oczy?

Tak, w 2014 r. Wsiadłam na statek chilijski, potem przesiadłam się na peruwiański i w nocy dopłynęłam do stacji. Pamiętam pierwsze wrażenie: błoto, szum czarnego morza, ogromne zmęczenie. I uśmiechnięci ludzie, którzy mnie przyjęli.

Stacja w środku przypominała wysokogórskie schronisko: drewniane, ciepłe, pełne pamiątek. A rano niesamowity kontrast. Błękitne niebo, słońce, turkusowe lodowce przykryte czapą śniegu, cisza przerywana odgłosami słoni morskich. I pingwin, który wyszedł mi naprzeciw. Tak jakby mówił: „Ja mam tu pierwszeństwo, ty jesteś tylko gościem". To było doświadczenie absolutne. Człowiek czuje się maleńki wobec potęgi przyrody.

Jak dobiera się ludzi do pracy w takich warunkach?

Proces jest złożony. Najpierw selekcja dokumentów, potem rozmowy. Sprawdzamy twarde kompetencje – bo na stacji jest tylko jeden energetyk, jeden lekarz, jedna osoba od łączności. Nie ma rezerw. Ale równie ważne są umiejętności miękkie: komunikatywność, motywacja, radzenie sobie w sytuacjach stresowych.

Najpierw wybieramy kierownika wyprawy – i to on uczestniczy w rekrutacji całego zespołu. Potem są spotkania z psychologami. Kandydaci mają ćwiczenia grupowe: sprawdzanie, kto przejmuje rolę lidera, jak radzą sobie w konflikcie, jak się komunikują. Psychologowie dzielą się swoimi opiniami – zarówno o grupie jako całości, jak i o jednostkach.

Do tego dochodzą badania lekarskie. Wysyłamy tylko osoby w pełni zdrowe – dla ich własnego bezpieczeństwa i całej grupy. Każdy ma też spotkanie z psychologiem.

Ale i tak przychodzi „test rzeczywistości". Ludzie mają wyobrażenia o stacji, a realia są inne. Nagle okazuje się, że nie ma świeżych owoców, że widzi się te same twarze przez kilka miesięcy, że pogoda nie pozwala wyjść na zewnątrz. To naturalny test.

I wtedy zaczynają się konflikty?

Powiem tak: w codziennym życiu też się kłócimy. W pracy denerwuje nas kolega, w domu ktoś z rodziny. W Antarktyce różnica jest taka, że nie da się „wyjść z pracy i pójść do domu". Tam się mieszka w pracy i pracuje w miejscu zamieszkania.

Dlatego nawet błahe sprawy – jak to, że ktoś użył czyjegoś kubka – mogą urosnąć do rangi poważnych konfliktów. To naturalne, bo izolacja i deprywacja sensoryczna są dużym obciążeniem. ↦

Polska Stacja Antarktyczna imienia Henryka Arctowskiego, listopad 2009 r.



↦ Dlatego zapewniamy wsparcie psychologiczne przez cały rok. Jeśli ktoś zgłasza problem – czy to obniżony nastrój, czy konflikt – reagujemy. Mamy psychologów dostępnych zdalnie, mamy procedury reagowania. Szczęśliwie nikt się jeszcze nie pozabijał, ale pewnie niejedna przyjaźń została tam zweryfikowana.

Zdarzają się sytuacje kryzysowe?

Oczywiście. Choć raczej incydentalne niż systemowe. Były przypadki zdrowotne – pamiętam, jak musieliśmy ewakuować jednego pana z powodu problemu kardiologicznego. Zdarzały się awarie sprzętu – kiedy wydawało się, że mamy świetne, nowoczesne urządzenie, a elektronika w tych warunkach po prostu nie działała. Nie mamy serwisu, nie ma komu zresetować komputera w koparce czy ładowarce. I nagle nówka sztuka przestaje działać.

Bywały też sytuacje pogodowe. Silne opady śniegu, sztorm w zatoce, lód morski blokujący wejście do stacji. Pamiętam zdjęcie drzwi, które otwierały się do środka – a za nimi śnieg do wysokości górnej futryny. To pokazuje, że każdy detal musi być przemyślany.

Są jeszcze kwestie bezpieczeństwa grupy. Protokoły bezpieczeństwa są kluczowe. Ułańska fantazja może się skończyć utratą zdrowia albo życia. Na szczęście nie mieliśmy tragedii, ale zdarzały się straty w sprzęcie. Przyroda i warunki potrafią błyskawicznie zweryfikować źle podjęte decyzje.

Dlatego tak ważne są szkolenia. Nieraz ludzie podchodzą do ćwiczeń strażackich z uśmiechem, ale potem okazuje się, że właśnie to pozwala im zapanować nad sytuacją. I daje poczucie bezpieczeństwa.

Turystyka przeszkadza w badaniach naukowych?

To trudny temat. Masowa turystyka w Antarktyce to nie tylko ludzie, to również statki. Gigantyczne wycieczkowce generują ogromny ślad węglowy. Przywożą tysiące turystów i wysadzają ich setkami na brzeg.

Turyści chcą „dotknąć Antarktyki". Chcą zobaczyć pingwiny z bliska, słonie morskie, wieloryby. Mają drony, które chcieliby puścić nad kolonią pingwinów, żeby uchwycić każde piórko. A to są ogromne stresory dla zwierząt – szczególnie w okresie lęgowym, kiedy powinny mieć absolutny spokój.



KAROLINA SYNOWIEC / MATERIAŁY PRASOWE

AGNIESZKA KRUSZEWSKA jest prawniczką i menadżerką. Od 13 lat kieruje Polską Stacją Antarktyczną im. Henryka Arctowskiego z ramienia Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN. Została także wybrana na przewodniczącą COMNAP, międzynarodowej rady zrzeszającej menadżerów narodowych programów antarktycznych. To pierwsza w historii Polka na tym stanowisku i jedna z nielicznych kobiet, które kiedykolwiek przewodziły tej organizacji.

Musimy pamiętać, że celem Traktatu Antarktycznego było prowadzenie badań naukowych i ochrona środowiska. Nie turystyka. Dlatego nasza stacja od czasów pandemii nie wpuszcza turystów na ląd. Statki mogą wpłynąć do zatoki, ale nie ma wysadzania ludzi przy stacji. Dla nas nadrzędnym celem jest ochrona gatunków wskaźnikowych.

Tym bardziej że pojawiło się kolejne zagrożenie – ptasia grypa. Wirus dotarł do Antarktyki i dziesiątkuje ptaki. Naukowcy monitorują, czy może się przenosić na ssaki, w tym płetwonogie – m.in. morsy i foki – a także na ludzi. To ryzyko ogromne. Nie możemy dokładać do tego kolejnego czynnika w postaci masowej turystyki.

Dlaczego Polska w ogóle jest obecna w Antarktyce od 50 lat?

To historia sięgająca lat 70. Profesor Stanisław Rakusa-Suszczewski przekonał państwo, że warto. Początkowo Polska dostała od ZSRR stację im. Dobrowolskiego w oazie Bungera, ale tylko sezonową. Nie wystarczyło to, by uzyskać status pełnoprawnej strony traktatu.

Dopiero budowa własnej, całorocznej stacji sprawiła, że zostaliśmy przyjęci do grona decydujących o przyszłości kontynentu. W lutym 1977 r. stacja Arctowskiego wysłała pierwszy komunikat meteorologiczny. I od tego czasu działa nieprzerwanie.

Dlaczego badamy Antarktykę? Odpowiedź bywa prosta: bo jest. Tak jak himalaiści wspinają się na ośmiotysięczniki. Ale jest też głębsza. Antarktyka to miejsce, gdzie prowadzi się badania podstawowe – pytania fundamentalne, które czasem dopiero po latach okazują się kluczowe.

Kopernik też badał coś bardzo podstawowego – co kręci się wokół czego. Na początku nie miało to praktycznego zastosowania, a jednak zmieniło nasze rozumienie świata. Tak samo dziś dane z Antarktyki mogą za 10, 20, 50 lat dać odpowiedzi fundamentalne.

To jest sens stacji?

Tak. Antarktyka to soczewka, w której skupiają się pytania o działanie całego globu. Długoterminowe monitoringi środowiskowe dają ciągi danych. A ciąg danych dla naukowca to jak ziarno, które z czasem rodzi plon.

Badania glacjologiczne, biologiczne, mikrobiologiczne, klimatyczne, oceanograficzne – wszystkie dostarczają elementów układanki. A Ziemia to system naczyń połączonych. Jeśli w Antarktyce wytapiają się masy lodu, podnosi się poziom oceanów, zmienia pH wód, zmieniają się prądy. To może mieć realny wpływ na Europę Środkową, na erozję wybrzeży, na rolnictwo.

Dlatego tak ważne są nauki podstawowe. Bo nawet jeśli dziś nie mają praktycznej aplikacji, mogą się okazać kluczowe dla przyszłości.

A dla Pani osobiście – czym jest stacja?

To moja misja. Moja praca, duma, czasem troska. Gdybym mogła, jeździłabym tam co roku. Patrzyłabym na turkusowe lodowce, kontemplowała ciszę, cieszyła się tym, że przez miesiąc nie muszę myśleć o zakupach czy zamkniętych drzwiach w Warszawie. Ale stacja to nie tylko budynki i infrastruktura. To żywy byt. Czasem mam wrażenie, że to nie ja wybrałam stację, ale ona mnie.

© Rozmawiali WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA



OGŁOSZENIA WŁASNE WYDAWCY

debata POWSZECHNA

KRAKÓW wspólnota kultury

25 WRZEŚNIA
w siedzibie Radia Kraków
(al. Juliusza Słowackiego 22)
odbędzie się debata
„Kraków – wspólnota kultury”.

Porozmawiamy o dziedzictwie i tożsamości kulturowej miasta, dostępności kultury dla mieszkańców, nowych wyzwaniach twórców i przemysłów kreatywnych oraz o polityce kulturalnej Krakowa.
Szczegóły w serwisie
www.tygodnikpowszechny.pl

BĄDŹ Z NAMI, JEŚLI CHCESZ WSPÓŁTWORZYĆ KRAKOWSKĄ KULTURĘ!

Program konferencji
W ramach wydarzenia odbędą się cztery panele dyskusyjne z udziałem krakowskich instytucji kultury, muzeów, galerii, bibliotek, teatrów, wydawnictw, organizacji pozarządowych i uczelni.

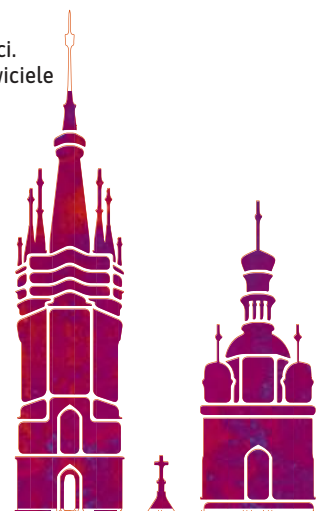
Panel I: Dziedzictwo i tożsamość kulturowa Krakowa
Panel poświęcony znaczeniu dziedzictwa materialnego i niematerialnego w kształtowaniu tożsamości miasta. Reprezentanci muzeów, instytucji zajmujących się ochroną zabytków oraz badacze z uczelni dokonają bilansu dotychczasowych działań na polu zachowania i popularyzacji krakowskiego dziedzictwa.

Panel II: Kultura dla mieszkańców: dostępność, uczestnictwo i dialog
Panel skupiony na odbiorcach kultury i zaangażowaniu społeczności lokalnej. Przedstawiciele bibliotek publicznych, organizacji pozarządowych oraz miejskich domów kultury podzielą się doświadczeniami w upowszechnianiu uczestnictwa kulturalnego.

Panel III: Twórcy i przemysły kreatywne: nowe wyzwania
Panel koncentrujący się na współczesnej twórczości artystycznej i sektorach kreatywnych w Krakowie. Wezmą w nim udział reprezentanci galerii sztuki współczesnej, teatrów, wydawnictw oraz inicjatyw z pogranicza kultury i nowych mediów.

Panel IV: Polityka kulturalna Krakowa: partnerstwa i rozwój
Panel poświęcony zarządzaniu kulturą w mieście oraz planowaniu jej przyszłości. Do dyskusji zaproszeni zostali przedstawiciele samorządu, dyrektorzy instytucji kultury oraz eksperci zajmujący się strategią rozwoju miasta.

Wydarzenie jest otwarte dla publiczności – wystarczy pobrać darmową wejściówkę



ORGANIZATOR
TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER GŁÓWNY
Kraków

PARTNER
Radio Kraków

ELIZA

Kącka: *Jak mówi lis*



Lidzbark Warmiński, ulica Kromera, spacer z ojcem. Przysiadamy na ławce. Z balkonu wychyla się gość z petem na dolnej wardze: „Pan Andrzej?!”. Potwierdzam skinieniem. „Nasz weteryniarz! Chodź tu, Halinka!”. Z mieszkania wytacza się kobieta kiele siedemdziesiątki z żelazkiem w ręku. „Halutka, poznajesz pana Kąckiego?”. „Aaa” – mówi Halutka. Gość: „Ja ten pchlarz, pan pamięta, panie Andrzejku?”. Halutka do ojca: „Panie Andrzejku, pokonaliśmy pchły!”. Ojciec uśmiecha się bezradnie. „Haha, pamiętam, pani Elizka taka mała siedziała u nas na kanapie. A ja ganiałam z tym proszkiem, tony pudru”. Ojciec patrzy na mnie bezradnie: „Wiesz, nie chcę im zrobić przykrości, że tego nie pamiętam”. Pani Halinka odstawia żelazko i gestem daje znać, że zbiega do nas. Po chwili wychodzi z bloku. Poprawia podomkę, rozgląda się, czy mamy świadków. „Panie Andrzejku, pan się nie martwi”. Ojciec się uśmiecha, ja mówię jej, że smutek jest gdzie indziej. „A, rozumiem, ale przynajmniej nie mamy pcheł”. Do ojca: „Panie Andrzejku, już wszystko będzie dobrze. Pchły pokonane, niech pan się nie martwi. Teraz wszystkie drogi do Pacyfiku”. Gość z balkonu: „Pacyfiku?!” „Ja chciałam, żeby pan Andrzej się nie martwił”. Do mnie: „Pani Elizka się nie martwi, lekarz jest lekarz. Pokona wszystko, każdą pchłę”. Wcisnęła mi do torby czekoladę: „Pamięta, Pacyfik, tam się spotkamy”. Karczma Pacyfik. Poszliśmy z ojcem ku Łynie.

Pociąg z Gdyni. Obok dwóch w wieku zbliżonym do mojego. Jeden pod krawatem, drugi elegancko wyswetrzony. Obaj w kancik, z sałatkami i latte w wysokich kubkach. Kardiganowy: „Mogłem bez pianki wziąć, niewygodny ten patyczek”. Jedzą. Krawatowy: „Żona nie widzi, to grzeszę nabiałem”. „Moja ostatnio włączyła rybę”. „Aż tak?! My na roślinach...”. „Zamawiam do paczkomatu ekologicznego łososia, wiesz. I jaja”. „Łososia?”. „Gospodarskie. Wolny wybieg, ale taki prawdziwy”. Piją latte na akord. „Wiesz, kura musi mieć świadomość swobody. Niby to nie jest jakaś wyższa psychika, ale to się odkłada w jajku”. „Żona uważa, że nie doceniamy mózgu ptaków. Dlatego mnie oduczyła jeść drób”. „Gołębie w sumie są bystre”. „No, mają coś w oczkach, nie?”. „Głębię”. Dojadają. Krawatowy: „Ważna jest kolejność. Teraz kończę białkiem, ale zacząłem od pomidora. Co masz?”. „Żona mi spakowała kryminał”. „Wiesz, przestawiłem się z książek na obrazy”. „Ej, dużo kupowałeś!”. „Ale śledzę przemiany i wychodzi, że już nie trzeba”. „A, ok!”. „Nowy trend”. „Nie wiedziałem”. „Poza tym książki mnie dołują”. „Ciekawe”. „Kładę się pomyśleć do winka. Muza. Obrazki mi projektant kupił, pod kafelki ogólnie”. „Jasne”. „Mówię: »Baśka, te książki są brzydkie«. Dałem wynieść na makulaturę”. „Jasne”. „Ja stadny nie jestem. Noble jakieś”. „Nie lubię mody”. „Ototo! Umówmy się: wyniosłeś coś z książek?”. „W życiu”.

Poradnia kardiologiczna. Czekam na wyniki. Obok młoda matka z dzieckiem z grubsza pięcioletnim. „Puści nas pani tak poza kolejką?”. „Jasne”. „Już nie mogę”. Mały w stuporze gapi się w okno. Kot-maskotka znów sturlał mu się z kolan na podłogę. Matka beznamiętnie podnosi. „Boję się. Wie pani, Grześ już nie reaguje. Znaczy, słyszy, ale chyba mu wszystko jedno”. Staruszka spod okna: „Co też pani mówi! Dziecku wszystko jedno? Toż maluch. Zmęczony. Jeszcze pobiegnie za piłką”. „Nigdy nie biegał za piłką”. Milczymy. Matka: „Ja przez trzy lata radziłam sobie. I pękło”. Staruszka: „Słabi teraz ludzie”. Matka: „Wszyscy są daleko, on też” – wskazuje na syna. „Jakby mnie ktoś wziął za kark: i w ekran. A na ekranie bije jego serce. Nie mogę się ruszyć, odwrócić. Bo jak się odwrócę...”. „...przestanie”. „Właśnie” – potwierdza na ściśniętym gardle.

Gdynia, wieczór późny, wychodzę na plażę. Piasek chłodzi. Przede mną dwie panie z grubsza sześćdziesięcioletnie. Siadam, rozmawiają. „Mnie życie nie wyszło”. „Co ty mówisz, Hanka”. „Nie wyszło, więc uznałam, że muszę się wynieść nad morze”. „I świetnie, będę tu częściej bywać”. Milczą, oddychamy spokojnie. Hanka: „Nie martwię się. Miałam plany, teraz mam spokój”. „Haha”. „Tak. Jakbym wiedziała, że to się da wymienić, to bym podmieniła wcześniej”. „No, nie wiem. Ja tam planuję z wyprzedzeniem, żeby mieć potem spokój”. „Nie rozumiemy się”. „Spoko, inny temperament”. „Nie. Ja się dopiero zorganizowałam, jak przestałam mieć plany”. „Dziwne”. „Normalne. Planowałam mieć profesurę i rodzinę”. „Ta. Masz kota i widoki”. „Nie mam. Bardziej one mnie”. „Co cię tak zmieniło?”. „Morze. Czasem trzeba zmienić tło dla myśli”.

Sopot, idę w górę, ku Goyki. Ze skarpy schodzi kobieta trzydziestoletnia na oko. „Przepraszam, to pani napisała zieloną książkę?”. Uśmiecham się, że tak. „Wie pani, bo lis...”. „Aha?”. „Lis to jest naprawdę zwierzę opiekuńcze”. „Córka tak odczuwa”. „Ja też. Bardzo chorowałam pod koniec podstawówki. Rodzice mnie zabrali do dziadków na prawie pół roku, pod las. I przychodziły lisy, żeby pocieszyć, jak siedziałam na werandzie”. „Pięknie”. „Wie pani, jak mówi lis? Nie pytam o tę piosenkę”. Śmiejemy się. „Wiem”. „Dziwny, jakby ptasi głos. Niepodobny do psiego, do wilka”. „Tak, niepokojący”. „Kiedy przez tydzień nie mogłam wstać z łóżka, podchodziły pod dom i poszczekiwały. Dziadek mówił, że mnie pilnują”. „Bardzo możliwe”. „Po ich stronie to pewnie brzmi jak śpiew”. „Tak, syreny lasu”. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono”.

Królewskie widowisko na ulicach Krakowa

Widowisko „Kronika Polska 1025-2025" na krakowskim Rynku Głównym połączy historię i sztukę – korowód od Bramy Floriańskiej zakończony muzyczną lekcją historii i mappingiem w sercu Krakowa odbędzie się 13 września.

Przed nami wydarzenie bez precedensu. Jak narodziła się idea stworzenia widowiska na tysiąclecie polskiej państwowości?

JERZY ZOŃ, dyrektor krakowskiego Teatru KTO: Najwspanialszą formą przypomnienia o intensywnej obecności Polski w Europie jest widowisko teatralne, które w sposób emocjonalny pokaże publiczności, czym jest tysiącletnia historia naszego kraju. Dla wielu będzie to lekcja historii, ponieważ „Kronika Polska. Wielkie widowisko plenerowe 1025--2025" ma spory potencjał edukacyjny. Nie znaczy to jednak, że nie będzie to wydarzenie o charakterze artystycznym. Chcemy wzbudzić w nas wszystkich poczucie, że możemy jeszcze wiele dobrego zrobić dla Polski. Nie musimy podkreślać na każdym kroku inności. Powinniśmy raczej dążyć do zjednoczenia.

Dlaczego właśnie Rynek Główny w Krakowie stanie się sceną widowiska?

Kraków to serce Polski, a Rynek Główny to serce Krakowa. Największy plac średniowieczny w całej Europie i najpiękniejsza z możliwych scenografia dla widowiska.

W spektaklu zobaczymy zarówno monumentalny pochód historyczny, jak i finałową „lekcję historii". Co było dla Pana najważniejsze przy konstruowaniu tej narracji?

Emocje. Skupimy się na muzyce, ruchu, tańcu. Lekcja historii w sposób żartobliwy i bazujący na uczuciach przypomni najpiękniejsze chwile w historii naszego kraju.

W widowisku usłyszymy „Odprawę posłów greckich" Jana Kochanowskiego. Dlaczego właśnie ten dramat stał się punktem odniesienia dla opowieści o odpowiedzialności obywatelskiej i losach Rzeczypospolitej?

„Odprawa posłów greckich" została napisana przez Jana Kochanowskiego, aby załagodzić właśnie sytuację w życiu politycznym ówczesnej Polski i przypomnieć ludziom, którzy sprawują władzę, że polega ona na służbie społeczeństwu. To tekst symboliczny. Najważniejsze przesłanie widowiska jest takie, że naród polski ma jeszcze siłę, aby przetrwać kolejne kryzysy. Projektujemy przyszłość i chcemy, by ta przyszłość była jeszcze piękniejsza niż tysiąc lat historii.

„Kronika Polska. Wielkie widowisko plenerowe 1025-2025" to tradycyjne formy teatru połączone z nowoczesnymi multimediami. Jak znaleźć równowagę, aby historia była atrakcyjna dla współczesnego widza, a jednocześnie nie zatraciła swojej autentyczności?

Do widzów przemawiamy przede wszystkim obrazem. Bardzo ekspresyjnym. Wspaniale jest zobaczyć na własne oczy dwudziestu rycerzy z XVI wieku albo regiment Szwedów, którzy napadli na Jasną Górę. To naprawdę interesuje ludzi. W końcu dlatego chodzimy do muzeów. Nasze widowisko to takie „muzeum Polski" – kronika dziejów, której karty zostaną otwarte na tle krakowskich Sukiennic. W krótkiej impresji mieszkańcy zobaczą tysiąc lat naszej historii. To jest warte wszystkich starań.

W swoim dorobku ma Pan realizacje dla tysięcy widzów na całym świecie. Jaki jest przepis na udane widowisko plenerowe?

Przepis na udane widowisko plenerowe to przekonanie, że nie ma rzeczy niemożliwych. To wejście w skórę widza – zadbanie o niego. W końcu takie wydarzenia tworzy się dla innych – nie dla siebie.

Jaka jest szansa opowiedzenia tysiąca lat historii Polski w 80 minut?

Nie da się opowiedzieć historii Polski w 80 minut, a nawet w 80 dni. W 80 minut możemy wyartykułować marzenia i tęsknoty. A także opowiedzieć o tym, czego nas ta historia uczy. Pokazać wspaniałą przeszłość i wymarzoną przyszłość.

Jak chciałby Pan, aby widzowie zapamiętali ten wieczór? Czego ma ich nauczyć?

Chciałbym, aby widzowie zrozumieli, że Polacy mogą świętować z uśmiechem i radością. Tak jak się świętuje wspaniałą uroczystość. Nie w sposób patetyczny, smutny, ze łzami w oczach. Tysiąclecie polskiej państwowości jest świetną okazją do projektowania lepszej przyszłości.



Data i miejsce:

13 września 2025, Kraków
18.30 – rozpoczęcie korowodu historycznego od Bramy Floriańskiej
ok. 19.00 – wejście pochodu na Rynek Główny i początek spektaklu finał – muzyczna „lekcja historii" oraz mapping na Sukiennicach

Twórcy:
Scenariusz: Bronisław Maj, Jerzy Zoń
Tekst: Bronisław Maj
Muzyka: Aleksander Brzeziński
Scenografia i kostiumy: Joanna Jaśko-Sroka
Reżyseria i inscenizacja: Jerzy Zoń
Producent: Sebastian Godula

Organizatorzy:
Miasto Kraków, Województwo Małopolskie, Teatr KTO

MATERIAŁ PROMOCYJNY

NOWE MELODIE

To właśnie wtedy odrodziła się muzyka country, a pop stał się nieznośnie gładki. Nadzieję niósł rock'n'roll pozwalający odreagować to, co wydarzyło się w mieście. Oto jak 11 września odmienił popkulturę.

ANNA GACEK



Tamtego dnia Nowy Jork obudził się do bezchmurnego, błękitnego nieba. Po poniedziałkowej ulewie przyszło wyczekane wypogodzenie. „Jeśli pytacie o pogodę, był to jeden z najpiękniejszych dni roku", wspominał lokalny muzyk, Jesse Malin. Wrzesień w Nowym Jorku rzeczywiście potrafi być zachwycający. Wciąż świeci ciepłe słońce, ale wycieńczające miejskie upały stają się pieśnią przeszłości. Gra już nowa melodia, pełna złotych promieni babiego lata na rzece Hudson.

Wtorkowy poranek był pocztówkowo fotogeniczny, ujęcia metropolii malowniczo przebijały za plecami prowadzących śniadaniowe programy telewizyjne. Tego dnia rozkręcały się powoli, bo prowadzącym trafił się *slow news day*, w którym największym wydarzeniem był powrót Michaela Jordana do NBA, a lokalną ciekawostką zatrudnienie striptizerki na domową imprezę nieletnich sportowców. O ósmej trzydzieści jeden z prezenterów powitał widzów przeszywającym w kontekście nadchodzących zdarzeń zdaniem: „Ależ spokojny mamy ten dzień w Ameryce. Aż za spokojny."

Z perspektywy intensywności zdarzeń była to uzasadniona perspektywa. Wrześniowe dni w Nowym Jorku iskrzyły od natężenia atrakcji. Trwał tydzień mody, w mieście byli wszyscy najpiękniejsi ludzie świata. Kilka dni wcześniej rozdano nagrody MTV. Półnaga Britney Spears tańczyła z żywym pytonem, Christina Aguilera odbierała statuetki, a do bijącego rekordy popularności boysbandu *NSYNC dołączył na scenie Michael Jack-



Atak terrorystyczny na wieże World Trade Center. Nowy Jork, 11 września 2001 r.

KMAZUR / GETTY IMAGES

son, który na dwóch koncertach świętował w mieście trzydziestolecie swojej kariery. Rolą popkultury w nowym millenium zdawała się być bezpretensjonalna i beztroska rozrywka, a tej w Nowym Jorku nie brakowało.

Budzić miliony to dla amerykańskich dziennikarzy zaszczyt i wyróżnienie, nawet jeśli prestiżowi towarzyszą rozmowy o kolejności układania składników w kanapce. Śniadaniówki prowadzą po prostu najlepsi. We wtorek na swoich dyżurach stawili się Diane Sawyer, Charles Gibson, Katie Couric i Matt Lauer. Ostatnie, co pamiętają ze świata „przed", to jak spokojny i piękny był to poranek.

Na oczach Ameryki

O ósmej pięćdziesiąt zaczęło się ich „po", prowadzenie transmisji z katastrofy oglądanej w milionach domów na całym świecie. Sawyer wspominała po latach: „Byłam na wojnach, byłam pod ostrzałem, uciekałam przed eksplodującymi bombami... Ale nic nie mogło przygotować mnie na inferno, jakie zobaczyłam tego dnia". Gdy w jej programie drugi z porwanych samolotów uderzył z pełnym impetem w wieżę WTC, doświadczona dziennikarka była w stanie powiedzieć tylko: „O mój Boże... O mój Boże".

Peter Jennings, dziennikarz newsowy telewizji ABC, zaalarmowany przez wydawców i natychmiast sprowadzony do studia, był na wizji przez siedemnaście godzin, gotowy przeprowadzić widzów przez jeden z najtragiczniejszych dni w historii Ameryki. Jego wyważony, merytoryczny komentarz uznano za wybitny, była to lekcja dziennikarstwa najwyższej próby. By uspokoić zrozumiałe emocje, Jennings w czasie jednej z nielicznych przerw sięgnął po papierosa, pierwszego po dwudziestoletniej przerwie. Cztery lata później zmarł na raka płuc.

Tamten poranek zatrzymał ludzi przed telewizorami, bo ujęcia z Nowego Jorku i Waszyngtonu były hipnotyzująco niewiarygodne i przerażające. Telewizja pokazywała już wojnę, transmitowała wstrząsające zdarzenia, ale to było coś nowego. Atak na Amerykę. Na oczach Ameryki. Gdy minął pierwszy szok, nadawcy stanęli przed abstrakcyjnym wyzwaniem: co prezentować narodowi w rozpaczy, gniewie i żałobie? Jaka jest i będzie w tych dniach rola mediów? Wszystkie stacje telewizyjne pracowały w trybie newsowym, zrzucono programy, reklamy, zrezygnowano z tradycyjnej ramówki.

Ale Rudy Giuliani, burmistrz Nowego Jorku, wkrótce „człowiek roku" magazynu „Time", przekonywał, by wyjść z trybu alarmowego i wracać do życia. W niedzielę amerykańskie media zaczęły erę nowej normalności. Kilka dni później redaktor naczelny „Vanity Fair", Graydon Carter, zawyrokował: „Czeka nas sejsmiczna zmiana. Alternatywna, frywolna część kultury przepadnie. Właśnie skończyła się epoka ironii".

Tydzień później

David Letterman miał na ten temat inne zdanie. Był pierwszym ze słynnych gospodarzy wieczornych talk shows, który zdecydował się wrócić na antenę już sześć dni po atakach. Nagrywany w Nowym Jorku Late Show rozpoczął od emocjonalnego monologu: „W mieście jest potwornie smutno. Straciliśmy tysiące mieszkańców i widać to, czuć to, w tym strasznym, strasznym smutku. Nie wiem, czy powinienem prowadzić dziś ten program, ↦

↦ bo od dwudziestu lat nabijamy się w nim ze wszystkiego, także z tego miasta, śmiejemy się z moich włosów, z włosów Paula...” Zatrzymał monolog, patrząc na łysą czaszkę Shaffera, swojego wieloletniego kierownika muzycznego. Publiczność zaczęła się śmiać. Letterman już wiedział: udało się. Kontynuował: „Więc chociaż jest tu tak strasznie smutno, jednak robimy ten program. Bo chcemy iść do pracy, bo do tego zachęca nas burmistrz Giuliani. Mamy wrócić do naszego życia, żyć dobrym życiem, tworzyć Nowy Jork taki, jakim powinien być”.

Monolog Lettermana uchodzi dziś za legendarny i kluczowy w odbudowywaniu ducha narodu. Za Davem poszli kolejni, ufając w uzdrawiającą moc humoru. Pod koniec września na ekrany wrócił Saturday Night Live, najsłynniejszy telewizyjny program komediowy, nadawany z Rockefeller Center, serca Manhattanu. Twórcy SNL w zaledwie osiemnaście dni po zamachach mieli przez prawie dwie godziny bawić Amerykę, zrobić komedię na żywo w mieście we łzach, pyle i krwi. Niepewni słuszności swojej decyzji producenci zadzwonili do Giulianiego z prośbą o pobłogosławienie powrotu humoru do telewizji NBC. „Powiedziałem im, »wracajcie jak najszybciej«. Ludzie muszą nauczyć się żyć ze śmiechem i płaczem, bo ta mieszanka jeszcze długo będzie im towarzyszyć”, wspominał po latach.

To nie mógł być zwykły odcinek. I nie był. Otworzył go Giuliani stojący wśród strażaków i policjantów pracujących każdego dnia w gruzach World Trade Center. Aktorzy SNL na widok „bohaterów Ameryki” przybyłych na plan prosto z Ground Zero, w kombinezonach pokrytych pyłem, dymiących od wciąż żarzących się szczątków, przesiąkniętych specyficznym zapachem, który do końca życia rozpozna każdy, kto był wtedy na Manhattanie, rozpłakali się.

Krótki wstęp burmistrza, któremu na pierwszym planie towarzyszyli szefowie nowojorskiej policji i straży pożarnej, zakończył występ Paula Simona. Na tle amerykańskiej flagi, w czapeczce z napisem NYPD, wykonał „The Boxer”, pieśń z niezapomnianej „Bridge over Troubled Water” duetu Simon & Garfunkel, melodię trudu, woli przetrwania i ducha walki. W tej interpretacji „Bokserem” był Nowy Jork.

Gwiazdą odcinka była Reese Witherspoon, która wystąpiła między innymi w skeczu o rozpalonej seksualnie syrenie. Twórcy programu zdecydowali się nie poruszać tematu ataków, stawiając na tak ambitne propozycje jak skecz o dziecku, które nie może przestać puszczać bąków. Jedyny dotyczący tragedii żart włożono w newsowy segment programu, Weekend Update: „Amerykańskie służby kontynuują poszukiwania Osamy Bin Ladena. Tajne raporty sugerują, że ukrywa się w miejscu odludnym, bez śladów życia, gdzie nikogo nie spotka i nikt go nie zobaczy. Wydaje się logiczne, że FBI zarządziło przeszukiwania wszystkich kin pokazujących film »Glitter«”. Zgromadzona w studiu H8 publiczność wybuchnęła śmiechem. Ale Mariah Carey do śmiechu nie było.

Nowa lista przebojów

Wokalistka 11 września wydała nowy album, „Glitter”, ścieżkę dźwiękową filmu o tym samym tytule, w którym zagrała główną rolę. Ósma pozycja w jej dyskografii miała być kontynuacją fali spektakularnych sukcesów, stawiających ją w jednym rzędzie z ikonami muzyki i rekordzistami sprzedaży: Presleyem, Beatlesami i Madonną.

W latach 90. Carey osiągnęła wszystko, zachwycała pięciooktawowym głosem, sprzedawała miliony płyt, wylansowała globalne hity. W nową dekadę weszła z wartym 100 mln dolarów kontraktem fonograficznym i spełnionym marzeniem: główną rolą w filmie. „Glitter”, banalna i dość fatalna opowieść o miłości i muzyce, była produkcją skazaną na klęskę w *box office* i miażdżące recenzje. Premierę filmu poprzedziła premiera soundtracku, zainspirowanej popowymi brzmieniami lat 80. radosnej, beztroskiej propozycji w dość zachowawczym katalogu artystki.

Ale we wrześniu 2001 r. nikt nie chciał ani takiego kina, ani takiej muzyki. Publiczność zaczęła szanować swój czas. Jeśli w telewizji oglądają mistrzowskie dziennikarstwo, dlaczego iść do kina na słabą produkcję? Odrzucenie filmu przeniosło się również na płytę, pierwszą komercyjną klapę Carey. Do klęski wizerunkowej dołożył się również rozwieszony w całym mieście plakat filmu, także w World Trade Center.

Wyjątkowo niefortunne ujęcie uśmiechniętej Carey na tle zdewastowanych wież zainspirowało tysiące memów komentujących jej porażkę: „Dwie tragedie jednego dnia”. Tę erę swojej kariery Mariah przypłaciła załamaniem nerwowym i pobytem w zamkniętym ośrodku. Latami zakazywała swoim pracownikom wymawiania słowa „glitter”. Nie znalazła pocieszenia nawet w historii Sary Botkin, swojej wielkiej fanki, która 11 września spóźniła się do pracy, by w sklepie płytowym kupić wyczekany album ulubionej wokalistki. Sara pracowała na 105. piętrze południowej wieży WTC. W ataku zginęli wszyscy jej współpracownicy, sto siedemdziesiąt sześć osób. Wzgardzona przez krytyków, publiczność i artystkę płyta uratowała jej życie.

Carey snuła w wywiadach gorzkie teorie, że za słabą sprzedaż płyty odpowiadają 9/11 i ponure nastroje w Ameryce. Są jednak w tym myśleniu luki. 11 września ukazały się również albumy tak znakomite jak „The Blueprint” Jay’a Z oraz tak potworne jak „Silver Side Up” Nickelback, każdy sprzedany w wielomilionowym nakładzie. Muzyka była w tych dniach potrzebna, być może bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Okoliczności zdefiniowały, jaka muzyka.

Potężna stacja Clear Channel, docierająca do milionów słuchaczy, stworzyła listę piosenek zakazanych w nowej rzeczywistości. Pod cenzorski topór trafiła między innymi „Lucy w diamentowym niebie” Beatlesów, „Cudowny świat” Louisa Armstronga i „To koniec świata, jaki znamy i dobrze mi z tym” R.E.M. Tego, że oberwie się i „Nauce latania” Foo Fighters nie wymyśliliby nawet komedianci z Saturday Night Live.

Łatwo i przyjemnie

Tam, gdzie są radykalne działania, będą ofiary. Boleśnie przekonali się o tym muzycy Garbage. Gdy w 1999 r. nagrywali temat przewodni do „Świat to za mało”, dziewiętnastego „Bonda”, mieli prawo czuć podobnie, bo w kilka lat podbili świat muzyki pop. Dwa sprzedane w wielomilionowych nakładach albumy. Szesnaście przebojowych singli. Globalna popularność zespołu i sława charyzmatycznej liderki, ikony mody i młodych kobiet, Shirley Manson. Trudno uwierzyć, że zaledwie dwa lata później było po wszystkim.

„Beautiful Garbage”, trzeci album grupy, miał ukazać się w październiku 2001 r. Wrzesień muzycy spędzali na in-



KMAZUR / GETTY IMAGES

Mariah Carey promująca film „Glitter". Nowy Jork, 20 lipca 2001 r.

tensywnej promocji nadchodzącej płyty, latając po świecie i udzielając wywiadów. Wszystko po nic. „11 września kompletnie zmieniło się radio w Ameryce" – wspominała niedawno w „Guardianie" Manson – „I do dziś nie wróciło do dawnej świetności. To wtedy zaczęli grać bezpieczną, konserwatywną muzykę, bez jakiegokolwiek ryzyka. Dla charakternych kobiet lat 90. nagle nie było miejsca. Tak zaczął rozkwitać korporacyjny, prawdziwie kapitalistyczny pop. I ta tendencja nie mija, a to już ponad dwadzieścia lat".

W innym z wywiadów Shirley powiedziała wprost: „W latach 90. byliśmy wszędzie. I nagle nikt nie chciał nas grać. Ta płyta okazała się kompletną porażką. Pogrzebała naszą karierę". „Beautiful Garbage", ambitna popowo alternatywna propozycja, stała się ofiarą własnej stylistyki. Manson ma rację, wielkie rozgłośnie zradykalizowały swoje oczekiwania. Pop musiał być banalny i gładki, dlatego żadna komercyjna krzywda nie stała się wydanej w listopadzie 2001 r. „Britney" panny Spears. Gatunkowa muzyka środka, nawet najbardziej artystycznie udana, w dniach, które domagały się jasnego przekazu, nie miała szans. Wysmakowane „Beautiful Garbage" przepadło, a wraz z nim zespół.

Odrodzenie country

W nowym, jałowym krajobrazie wybiły się inne gatunki. W nowojorskich McDonald'sach emitowano piosenki z „The Look of Love", pełnej wysmakowanych standardów płyty jazzowej wokalistki Diany Krall. Na listach przebojów zaroiło się od przebojów country, a przedstawiciele gatunku stali się głosami pragnącego zemsty narodu, śpiewając patriotyczne pieśni o sile amerykańskich żołnierzy i wspaniałości Ameryki. „Włożymy wam buciory w dupę", zapowiadał tekst „Zagniewanego Amerykanina" Toby'ego Keitha, hit numer jeden z listy country amerykańskiego „Billboardu". Byłyby to dni estetycznego upadku, gdyby nie... czysty rock'n'roll.

O The Strokes, debiutantach z Manhattanu, było głośno od kilku miesięcy. Zakochana w przystojniakach w ramoneskach brytyjska prasa wieściła nadejście artystycznej sensacji, nowej rockowej rewolucji. „Is This It", pierwsza płyta zespołu, w Ameryce ukazała się na winylu 11 września. Wydana miesiąc później kompaktowa edycja albumu była uboższa o jeden utwór, zainspirowany tragiczną w skutkach interwencją nowojorskiej policji „New York City Cops" z refrenem: „nowojorscy glinarze nie są zbyt bystrzy". W erze „bohaterów Ameryki" wizerunkowe ryzyko było zbyt wysokie, Strokesi z żalem zrzucili jedną ze swoich najlepszych piosenek. Ale i bez „Glinarzy" był to album wybitny, okrzyknięty przez „New York Timesa" „ścieżką dźwiękową świata po 9/11".

Gitarowi, w idealnych proporcjach wystudiowani i nonszalanccy The Strokes, rzeczywiście rozpoczęli rewolucję. Alternatywne podziemie, kipiące od pomysłów i kreatywności, w normalnych rynkowych warunkach było skazane na niszę. Ale nic nie było „normalne". Sukces nieoszlifowanych, niepopowych The Strokes ośmielił media i wydawców, szukających w obskurnych klubach kolejnych nieoczywistych gwiazd, bo tam artyści odreagowywali to, co wydarzyło się w ich mieście.

„Ten atak zdjął z Nowego Jorku kocyk bezpieczeństwa", wspominała w książce „Meet Me In The Bathroom" Karen O, wokalistka punkowych Yeah Yeah Yeahs. „Myśleliśmy, skoro zrobili to, co wymyślą teraz? Żyliśmy w ciągłym zagrożeniu, potrzebowaliśmy jakiegoś upustu tych emocji, natychmiast. To pragnienie zainspirowało naszą pierwszą płytę, to uczucie, że jest tylko tu i teraz, bo każdy moment wydawał się nam ostatnim". „Fever To Tell", debiut Yeah Yeah Yeahs, był albumem wspaniałym, podobnie jak wydawnictwa gwiazd lokalnej sceny, Interpol, LCD Soundsystem czy The Rapture. Dla Ameryki były to dni klęski, dla amerykańskiej kultury – niezaprzeczalnego triumfu.

Miasto w gruzach

Dla tańczących w nowojorskich klubach dzieciaków, konsumujących według mieszkającego w mieście Moby'ego zatrważające ilości narkotyków i alkoholu, „bo przecież życie się kończy, po co się ograniczać", Bruce Springsteen był tak bardzo nie-cool jak nauczyciele i rodzice. Legendarny „Boss" nie był ich „szefem", był brzmieniem przeszłości. Na szczęście inaczej myślał przejeżdżający 11 września przez New Jersey kierowca. Stojąc na światłach, zauważył spacerującego muzyka. Rzucił przez okno samochodu: „Bruce, potrzebujemy cię teraz!".

Bard Ameryki, jej sumienie i głos, milczał fonograficznie od długich sześciu lat. I zrozumiał, że wystarczy. Po powrocie ze spaceru wrócił do pisania. Zanim w 2002 r. wydał znakomity „The Rising", inspirowany 9/11, nagrodzony Grammy *concept album*, na potrzeby naprędce zorganizowanego telewizyjnego koncertu charytatywnego dla „bohaterów Ameryki" odświeżył stworzoną rok wcześniej „My City Of Ruins". Wtedy pisał o upadającym Asbury Park, mieście swojej młodości.

Teraz śpiewał o Nowym Jorku, pustce, zniszczeniu, tęsknocie i stracie. „Moje miasto w gruzach" kończy modlitwa o siłę, miłość i wiarę. Powtarzane przez Bossa i chór za jego plecami „dalej, powstań!", ostatnie słowa piosenki, zostawiły miliony telewidzów z tak potrzebną nadzieją. Przypomniały także, jaka może być rola muzyki, moc tekstu. Dwa tygodnie po zamachach Ameryka miała swój hymn, pieśń ukojenia. Tańczące dzieciaki nie protestowały. ↦

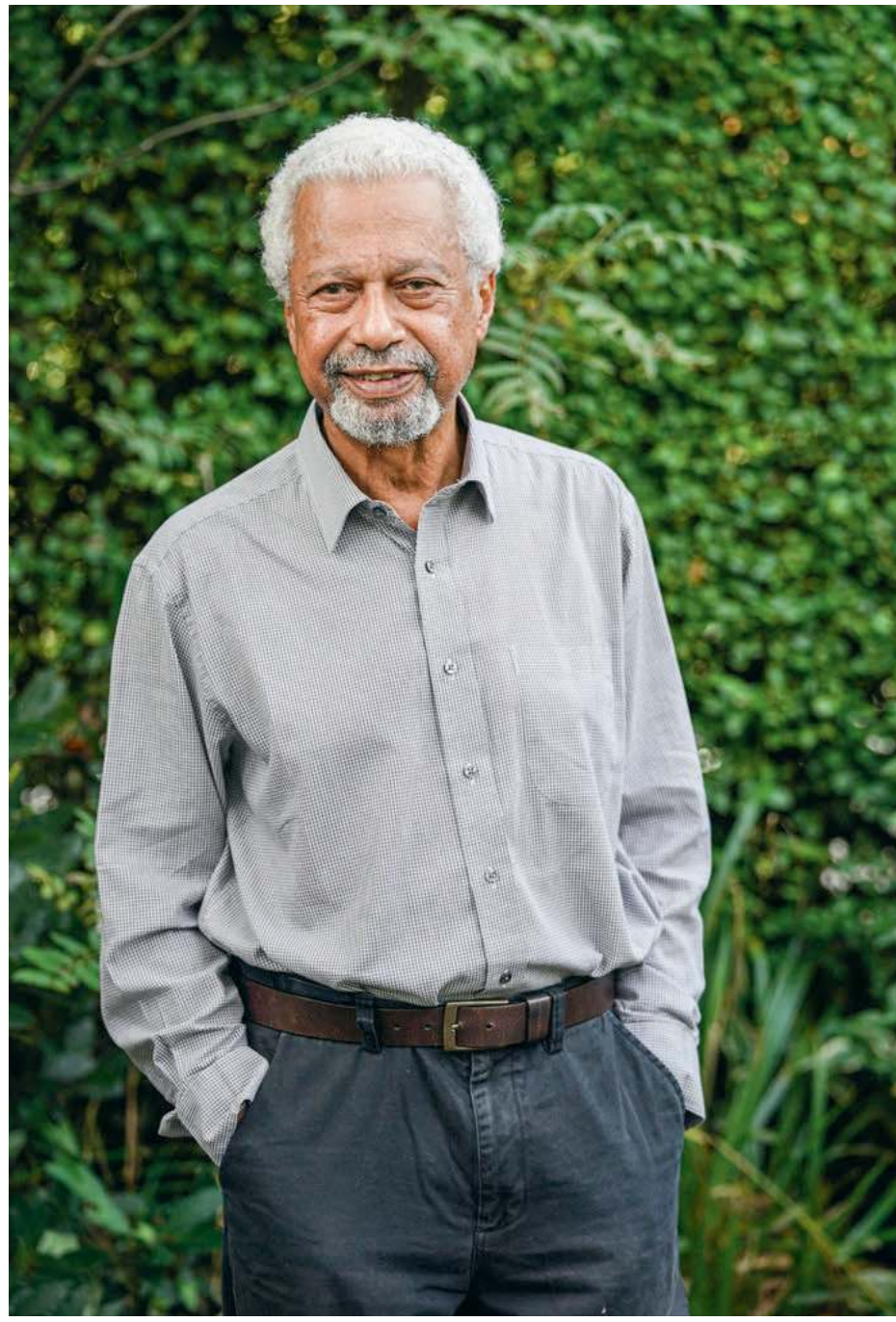
↦ 10 września w Chelsea tańczono do świtu podczas „spektakularnej" imprezy projektanta Marca Jacobsa po pokazie najnowszej, wiosennej kolekcji. Jeden z gości wspominał, że ciężkie deszczowe chmury otoczyły migoczące na horyzoncie wieże World Trade Center. „Wyglądało, jakby miały zniknąć. A następnego dnia rzeczywiście zniknęły".

Życie trwa

Wielka moda nie ma sumienia ani moralnych kompasów, a jednak w chwili tragedii projektanci stanęli na wysokości zadania. Odwołano pokazy NY Fashion Week, z dostępnych w magazynach materiałów uszyto tysiące śpiworów, rozdano ratownikom przygotowane dla gości zapasy wody. Zbudowany na potrzeby pokazu Donny Karan wielki namiot zamieniono w szpital polowy. Pracownicy wspominali, że przez pierwszą dobę nie przywieziono ani jednej żywej osoby. Następnego dnia ze szpitala zrobiono kostnicę. Ale nie przywieziono do niej ani jednego ciała. Trzeciego dnia z namiotu, w którym miały być pokazane kosztowne jedwabie i kaszmiry, zrobiono centrum pomocy dla rodzin, które musiały zidentyfikować bliskich z pomocą DNA.

Nowojorski tydzień mody wrócił kilkanaście dni później, w skromnej skali, ale i w duchu „życie trwa dalej, nie mogą z nami wygrać". Najsłynniejszy z projektantów, Ralph Lauren, ukłonił się po pokazie ubrany w bluzę z amerykańską flagą. Patriotyzm oficjalnie stał się najmodniejszym trendem sezonu, a Nowy Jork, mimo wciąż świeżych ran, został okrzyknięty „tym" miastem, najwspanialszą metropolią świata.

Tu rozgrywała się akcja najpopularniejszych seriali, „Przyjaciół", „Seinfelda" i „Seksu w wielkim mieście", którego główna bohaterka, Carrie Bradshaw, wyznała, że „nie widzi żadnego powodu, by opuścić Manhattan, bo jest tu wszystko". Tu grała najlepsza muzyka i otwierano najmodniejsze knajpy. Tu odrodziła się ważna, potrzebna i wartościowa kultura masowa, czekająca w blokach startowych po wielkim wybuchu artystycznej obfitości początku lat 90. Minęło, jak mija wszystko. Ale z każdym promieniem wrześniowego słońca uparcie o sobie przypomina. © ANNA GACEK



Abdulrazak Gurnah w Canterbury. Wielka Brytania, 7 października 2021 r.

Codzienna walka

MICHAŁ SOWIŃSKI

PORTRET | W świecie, w którym nieustannie coś zostaje nam odebrane – dom, język, miłość, bezpieczeństwo – wciąż możliwe jest odnajdywanie wartości. Nie w roli prostego zastępstwa, lecz w ramach procesu odbudowy, nawet na gruzach dawnego życia.

W jednym z esejów Abdulrazak Gurnah wspominał, że „kiedy zaczął pisać, opowiadał o utraconym życiu – miejscu, które stracił, i o tym, co z niego wciąż pamięta". „To doświadczenie straty, poczucie odebrania czegoś nieodwracalnego, stało się główną siłą napędową mojego pisania" – przyznawał. Tym samym tanzański noblista wpisuje się w długą, sięgającą początków naszej nowoczesności tradycję kronikarzy ludzkich strat i portrecistów człowieka wykorzenionego, rzuconego w obcy, nieprzyjazny świat, gdzie trzeba wciąż zaczynać wszystko od nowa.

Czytając jego prozę, odnosi się wrażenie, że wciąż powracamy do tego samego uniwersum opowieści o ludzkim losie, w którym historie jednych bohaterów stają się wariantami biografii innych. Podobnie zarysowują się ramy czasowe i geograficzne – Gurnah konsekwentnie opisuje dzieje Afryki Wschodniej ostatnich 150 lat: od początków kolonialnego porządku, przez wojny światowe, aż po drugą połowę XX w., gdy entuzjazm po wyzwoleniu spod władzy mocarstw szybko ustąpił miejsca rozgoryczeniu wywołanemu krwawymi rewolucjami i narodzinami autorytarnych reżimów. Ta wielka historia odcisnęła swoje piętno nie tylko w literaturze, lecz także na jego biografii.

Pomiędzy

Urodził się w 1948 r. na Zanzibarze, wówczas brytyjskim protektoracie, a dziś autonomicznej części Tanzanii. Dorastał w czasach gwałtownych przemian politycznych i społecznych. Jako osiemnastoletni chłopak musiał uciekać z kraju – po rewolucji z 1964 r. życie dla arabskiej mniejszości, z której się wywodził, stało się niebezpieczne. Dotarł do Anglii, gdzie początkowo żył w trudnych warunkach, pracował dorywczo, zmagał się z samotnością, brakiem środków do życia i rasizmem – koniec lat 60. w Wielkiej Brytanii to okres, w którym wyemigrowało na Wyspy wielu obywateli kurczącego się imperium, co wywołało wielką falę niechęci i napięć społecznych.

W nowej ojczyźnie ukończył studia literaturoznawcze, obronił doktorat i przez wiele lat wykładał na University of Kent, zajmując się literaturą postkolonialną i współczesną prozą afrykańską. Równolegle rozwijał karierę pisarską – od debiutanckiej powieści „Memory of Departure" (1987), przez „Raj" (1994), „Nad morzem" (2001), aż po „Powróconych" (2020) – wymieniam tylko powieści, które ukazały się po polsku (w październiku będziemy mogli przeczytać również „Kradzież"). Jego twórczość stopniowo zdobywała uznanie krytyki, był też nominowany do wielu prestiżowych nagród. Jednak jeszcze wtedy nie był szeroko znany na świecie – a jako że od początku pisał po angielsku, był właściwie nieobecny w Tanzanii.

Zmieniło się to w roku 2021, gdy otrzymał Literacką Nagrodę Nobla. Decyzja Akademii była szeroko komentowana: wielu krytyków podkreślało, że nagroda zwróciła uwagę na pisarza niedocenianego przez długi czas i związanego z regionem rzadko obecnym w centrum światowej literatury. W samym uzasadnieniu napisano, że nagroda przyznana została „za bezkompromisowe i pełne współczucia zgłębianie skutków kolonializmu oraz losów uchodźców w przepaści między kulturami i kontynentami".

Splot języków

Po 2021 r. wielu komentatorów zaczęło określać jego prozę jako wzorcowy przykład literatury postkolonialnej, przywracającej głos ludziom – a nawet całym kulturom – które przez wieki były go pozbawione. Trudno przecenić ten wymiar jego twórczości: Nobel dla pisarza z Afryki Wschodniej otworzył wielu czytelnikom oczy na historię i estetykę tej części świata.

Gurnah nie mieści się jednak w tak prosto i wąsko zdefiniowanej kategorii. Nie tylko dlatego, że każdy wybitny twórca wykracza poza ramy gatunku czy konwencji, lecz także dlatego, że w powieściach takich jak „Nad morzem" czy „Powróceni" mamy do czynienia z wielowarstwowym, palimpsestowym opisem rzeczywistości. Z każdej strony przebijają w nim echa innych epok i kultur, tworząc unikatowy splot metafor, języków i tradycji, którego stawką jest znacznie więcej niż samo przepracowywanie – czy też, mocniej, rozliczanie – przeszłości.

Zanzibar, w którym wychował się Gurnah, od wieków był miejscem spotkania kultur – arabskiej, afrykańskiej, indyjskiej i europejskiej. Ta różnorodność widoczna jest nie tylko w architekturze i obyczajach, lecz także w językach: suahili, arabski i angielski przenikały się w codziennym życiu mieszkańców wyspy. Z tej wielojęzyczności i wielokulturowości wyrasta jego literatura – zakorzeniona lokalnie, a zarazem otwarta na nowe konteksty zglobalizowanego świata.

Radykalna strata

W swojej czwartej powieści „Raj", która przyniosła mu uznanie krytyków, Gurnah opowiada historię chłopca imieniem Yusuf, oddanego przez rodziców w zamian za długi bogatemu kupcowi. Wyprawy w głąb Afryki Wschodniej konfrontują go zarówno z pięknem i bogactwem nieznanego świata, jak i z przemocą oraz brutalnością kolonialnej rzeczywistości. Powieść, której akcja rozgrywa się na początku XX w., ukazuje zarówno świat handlowych szlaków i lokalnych mitów, jak i pierwsze symptomy upadku tradycyjnego porządku pod naporem Europejczyków.

Niektórzy przyrównują ją do „Jądra ciemności" – Yusuf, podobnie jak Marlow, zapuszcza się w głąb afrykańskiego interioru, równie tajemniczego i niebezpiecznego z perspektywy chłopca wychowanego w portowym mieście. W tle stale przewija się metafora tytułowego raju – miejsca, z którego nie tylko główny bohater, ale właściwie wszyscy mieszkańcy tego świata zostali wygnani. Co więcej, Yusuf, dorastając, coraz mocniej utwierdza się w przekonaniu, że być może raj nigdy nie istniał. Nie jest to jednak pocieszenie – wręcz przeciwnie, bóle fantomowe bywają najtrudniejsze do ukojenia.

Z kolei w „Nad morzem" Gurnah przedstawia historię dwóch mężczyzn z Zanzibaru, których losy splatają się w Anglii – Saleha Omara, przybywającego jako uchodźca z fałszywym paszportem, oraz Latifa Mahmuda, dawnego emigranta, który zrobił akademicką karierę – to jeden z wielu przykładów autobiograficznych okruchów rozsianych w całej prozie Gurnaha. Obaj noszą w sobie doświadczenie utraty i wykorzenienia, a także dawny konflikt rodzinny, jeszcze z poprzedniego życia, który powraca, gdy muszą skonfrontować swoje wspomnienia. ↦

STEVE PARSONS / PA IMAGES / GETTY IMAGES

↦ Gurnah mistrzowsko rozgrywa tu napięcie między obcością a swojskością i, paradoksalnie, ta druga wcale nie daje ukojenia, a wręcz utrudnia zakorzenienie się w nowym świecie, jako że dawnych sporów nie da się rozstrzygnąć; nie ma też powrotu do dawnych więzi i wspólnot. Z drugiej strony tylko tak można zachować nie tylko część tożsamości, ale też godności. W powieści śledzimy drogę Omara do nowego świata – od wyjścia z samolotu na lotnisku w Anglii, upokarzającą przeprawę z oficerami służb migracyjnych, aż po tymczasowe mieszkanie u sympatycznej, ale traktującej go z nieuświadomioną wyższością Angielki. W wieku 60 lat musi zaczynać swoje życie zupełnie od nowa.

W „Powróconych" Gurnah opisuje jeszcze inne doświadczenie straty. Akcja rozpoczyna się na początku XX w., gdy Afryka Wschodnia znalazła się pod niemiecką okupacją. Gurnah przedstawia losy młodego Ilyasa, porwanego jako dziecko przez niemieckiego żołnierza, oraz jego siostry Aafiyi, która dorasta w osamotnieniu, próbując jednocześnie ocalić rodzinne więzi. W tle pojawia się też Hamza – chłopiec wcielony do kolonialnej armii, który wraca po latach wojny okaleczony fizycznie i psychicznie.

Każde z nich nosi w sobie inną formę straty: dzieciństwa, rodziny, własnego ciała i języka. Na pierwszy plan wysuwają się tu różne odcienie wojennej traumy. Powieść pokazuje, jak całe pokolenie Afrykańczyków zostało zmuszone do życia w cieniu cudzej historii – a ich powroty nigdy nie są pełne. I to w podwójnym sensie: wojna nie tylko wykoleiła ich świat, ale także zabrała im na zawsze część ich samych.

Radykalna nadzieja

Wszystkie te wątki spotykają się w najnowszej powieści Gurnaha, napisanej już po Noblu, która wkrótce ukaże się po polsku. Sam tytuł, „Kradzież", od razu kieruje ku doświadczeniu utraty i przemocy, tym razem jednak ukazanych w bardziej intymnym wymiarze: w gęstych relacjach rodzinnych, w historii bliskich sobie ludzi próbujących utrzymać się na powierzchni w świecie, gdzie stabilność zawsze podszyta jest lękiem. Co gorsza, straty i krzywdy kumulują się na przestrzeni pokoleń, przez co każde kolejne musi na nowo układać się z coraz bardziej skomplikowanym światem.

„Kradzież" opowiada losy kilku pokoleń jednej rodziny z Zanzibaru. Historia zaczyna się od ucieczki młodej Rayi z aranżowanego małżeństwa. Sama wychowuje syna Karima, co nie jest łatwe z wielu powodów, także związanych ze społecznym tabu. Później Karim zakłada własną rodzinę, opiekuje się także przygarniętym chłopakiem Badarem, a jego los splata się z gwałtownie zmieniającym się obliczem wyspy. Punktem kulminacyjnym stają się oskarżenia o tytułową kradzież, które wciągają bohaterów w sieć konfliktów i nieporozumień.

Gurnah nigdy nie daje łatwych odpowiedzi ani prostego pocieszenia. A jednak w „Kradzieży" pojawia się coś, co można uznać za najbardziej optymistyczny ton w jego dorobku – przekonanie, że w świecie, w którym nieustannie coś zostaje nam odebrane – dom, język, miłość, bezpieczeństwo – wciąż możliwe jest odnajdywanie wartości. Nie w roli prostego zastępstwa, lecz w ramach procesu odbudowy, nawet jeśli na gruzach dawnego życia.

Gurnah nieustannie przypomina też, że bycie uchodźcą – boleśnie podatnym na przemoc i grabież – jest potencjalnie wpisane w los każdego człowieka. Groźba radykalnej utraty wszystkiego przenika współczesny świat, choć w różnym stopniu dotyka poszczególnych ludzi. A literatura, jak wielokrotnie wcześniej, staje się miejscem, w którym uczymy się radzić sobie ze stratą.

I w tym sensie Gurnah jawi się nie tylko jako kronikarz ludzkich strat, ale przede wszystkim jako piewca nadziei radykalnej – tej, która nie polega na obietnicy odzyskania utraconego świata, lecz na zdolności do życia dalej mimo strat, na tworzeniu nowych form wspólnoty i sensu tam, gdzie wszystko wydaje się niepewne.

© MICHAŁ SOWIŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



ABDULRAZAK GURNAH będzie gościem tegorocznej edycji Festiwalu Conrada. Spotkanie poświęcone jego twórczości, zatytułowane „Życiorysy powróconych", poprowadzi Grzegorz Jankowicz.

Zapraszamy 25 października na godz. 18.00 do Małopolskiego Ogrodu Sztuki w Krakowie.

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA

W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - **101,6 FM**, Nowy Sącz - **90,0 FM**, Tarnów - **101,0 FM**, Zakopane - **100,0 FM**, Andrychów - **98,8 FM**, Gorlice - **97,4 FM**, Krynica Zdrój - **102,1 FM**, Rabka Zdrój - **87,6 FM**, Szczawnica - **90,0 FM**



COLIN MCPHERSON / ALAMY / BAEW

GWENDOLINE RILEY (ur. 1979) – brytyjska pisarka. Członkini Królewskiego Towarzystwa Literackiego. Zadebiutowała w 2002 r. powieścią „Cold Water", przez następne lata wydała sześć kolejnych. W Polsce ukazała się jej książka „Moje zmory" (Wyd. Czarne). Wielokrotnie nagradzana i nominowana do najważniejszych wyróżnień literackich. Mieszka w Londynie. Na zdjęciu: podczas Międzynarodowego Festiwalu Książki w Edynburgu, 2012 r.

Dziennik Bridget Grant

GWENDOLINE RILEY, PISARKA:

ROZMOWA | Spinoza przypominał, że oglądając swoje decyzje z perspektywy czasu, odkrywamy, jak niewiele mogliśmy zrobić inaczej. Jest w tym sporo prawdy.

KRZYSZTOF KATKOWSKI: Jesteś typową Brytyjką: wstajesz rano, pijesz herbatę...

GWENDOLINE RILEY: Piję bardzo dużo herbaty. Pod pewnymi względami jestem staroświecką angielską realistką.

Jak Charles Dickens?

Skąd wiesz? Uwielbiam Dickensa.

Wydałaś ostatnio „Moje zmory" – to pierwsza twoja książka przetłumaczona na język polski. Tytuł zapowiada grozę, ale to powieść o relacji z matką.

Tak, opowiadam o matce i córce, które przez całe życie nie potrafią ze sobą porozmawiać. W końcu ta starsza kobieta ciężko choruje i wtedy już naprawdę nie da się z nią porozumieć. Więc jest to coś w rodzaju opowieści grozy, ale osadzonej w rzeczywistości przez dziwne i straszne wydarzenia. Znajdziesz w niej niesamowitość, ale mocno zakorzenioną w klasycznym realizmie – jak u Dickensa. Ojciec rodziny na przykład jest tu całkiem Dickensowski, prawda? Trochę jak John Podsnap z „Naszego wspólnego przyjaciela".

Zatem to kronika mieszczańskiego życia?

Nie do końca. Matka i ojciec Bridget mieli duże aspiracje – wyprowadzili się z północnej Anglii, ze środowiska robotniczego, do Londynu, miasta wielkich nadziei. Nie wyszło im, wrócili w rodzinne strony. Ale ich córka przenosi się do Londynu już na dobre, zdobywa tam wykształcenie i wychodzi za mąż za kogoś, komu się powodzi. Ona rzeczywiście pnie się po szczeblach mieszczańskiej drabiny.

Twoja książka opowiada o Bridget Grant, londyńskiej akademiczce, która próbuje poradzić sobie z emocjonalnym dystansem wobec rodziców. Naznaczona wspomnieniami o przemocowym ojcu i powierzchownej, trudnej relacji z samotną i skupioną na sobie matką, stara się zachować kontrolę nad własnym życiem. Opowiadasz o jej małżeństwie i innych relacjach. O tym, jak to jest żyć z osobą, z którą niewiele cię łączy.

Gdy życie okazuje się niepomyślne, pozostaje spojrzeć na własne decyzje i dostrzec, że tak naprawdę nie mogły być inne. Jest w tym sporo prawdy. Zgodnie z deterministyczną myślą Spinozy „możemy robić tylko to, co możemy". Oczywiście powinniśmy próbować działać w sposób wolny i mieć w sobie siłę, by zrobić krok w tył, nabrać dystansu do tego, co się nam przydarza. Ale bohaterowie mojej książki nigdy tego nie potrafili. Byli zbyt zanurzeni we własnym życiu, żeby widzieć je obiektywnie.

Żałujesz, że tacy pozostali?

Ani trochę. Znasz „Lata" Annie Ernaux? To pokoleniowa autobiografia, w której francuska noblistka opisuje wszystko to, przez co przeszło i co czuło w tym samym czasie bardzo wiele osób: te same przebudzenia polityczne, marzenia, olśnienia i rozterki, podobne relacje, małżeństwa i rozwody. Osobista historia mojej bohaterki to także historia życia wszystkich ludzi w jej wieku i klasie – im wszystkim przydarzały się podobne rzeczy. ↦

↦ **Zatem żyjemy w wiecznym cyklu, bez nadziei na zmianę.**

Myślę, że nadzieja pozostaje obecna w próbie. Niekoniecznie tam, gdzie jej się spodziewasz. W mojej historii przejawia się na przykład w powtarzalnych spotkaniach matki i córki. Nawet jeśli dochodzi do nich tylko raz w roku, na piętnaście minut i obie kobiety milczą. Na tyle je po prostu stać.

To wystarczy?

Z powodów, o których moglibyśmy rozmawiać bez końca, te dwie osoby nigdy nie dadzą sobie nawzajem ukojenia. Tak po prostu jest. Obydwie mogłyby się zachowywać lepiej, ale tego nie robią.

Wiesz, dzisiaj w literaturze bardzo modne jest obwinianie o wszystko kobiet, zwłaszcza matek. Uważam, że to niesłuszne. Moja bohaterka bywa zimna, ale może tylko tak potrafi funkcjonować? Niewiele wiemy o jej dzieciństwie. Czy doświadczyła czułości, troski, zainteresowania? Jeśli nie, ma prawo być zła. W centrum tej książki jest jakaś okropna tajemnica.

Warto mierzyć się z brutalnością?

Tak, bo to prawdziwe i głęboko dotyka ludzi. W powieści „First Love" opisałam okropne małżeństwo, naznaczone werbalnym okrucieństwem tak intensywnym, że niszczy ducha kobiety. To nie jest opowieść o czarnych charakterach – tylko o ludziach, którzy bardzo źle się zachowują.

Z kolei bohaterka „Moich zmór", mająca za sobą dwa nieudane małżeństwa, do końca wierzy, że szczęście przychodzi wraz ze znalezieniem właściwego mężczyzny – jak w bajce Disneya. A kiedy rzeczywistość zdaje się temu zaprzeczać, życie staje się dla niej torturą. Dla mnie to odzwierciedlenie faktu, jak bardzo codzienność potrafi być okrutna. Tę brutalność życia chcę badać.

Pisanie takich rzeczy zmusza do ucieczki?

Wielu twórców, których podziwiam, walczyło z uzależnieniem. Ja też dopiero kilka miesięcy temu przestałam pić. Być może alkohol był moim sposobem radzenia sobie po dniach spędzonych na pisaniu. A może kiedyś ludzie po prostu dawali się temu ponieść: pili, cierpieli, umierali. Tylko dziś musimy znosić życie z odwagą i godnością, stawiać wszystkiemu czoła ze współczuciem.

Lubisz pisać?

Pisanie powieści to dziwna rzecz – tak naprawdę nie wiesz, o czym dokładnie jest twoja historia, dopóki nie minie kilka lat. Gdy piszę, tak bardzo zanurzam się w historii, że sama niewiele czuję. Moje zapiski są fragmentaryczne – tworzę je z nadzieją, że kawałki złożą się na powieść, która będzie czymś więcej niż sumą części.

Pod koniec pisania ostatniej książki miałam bezsenne noce, czułam strach, ogarniała mnie jakaś ciemność. Ale w trakcie pisania – niekoniecznie. Pisanie to takie dłubanie przy słowach.

A kilkanaście tygodni temu skończyłam książkę, która jest dużo łagodniejsza od „Moich zmór" . Nie wiem, czy historię w niej opisaną można nazwać szczęśliwszą, ale zawiera więcej nadziei. Część tej nadziei pochodzi z ukojenia, jakie daje bycie pochłoniętym przez coś twórczego, konstruktywnego. Staram się przedstawiać świat w sposób żywy i uczciwy, a przy okazji dać czytelnikom trochę przyjemności. To coś nieszkodliwego, a jednocześnie jednak coś więcej niż słowa – sposób na nawiązanie kontaktu. Nadzieja pozostaje w próbie.

© Rozmawiał KRZYSZTOF KATKOWSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Festiwal Żar Literatury 2025 W POSZUKIWANIU UTRACONEJ PRAWDY

Od 11 do 14 września 2025 Miejska Biblioteka Publiczna w Żorach zaprasza na czwartą edycję Festiwalu Literackiego Żar Literatury. Tematem przewodnim wydarzenia będzie „W poszukiwaniu utraconej prawdy" – refleksja nad miejscem prawdy we współczesnym świecie zdominowanym przez dezinformację i fake newsy.

Gośćmi festiwalu będą m.in. **Edwin Bendyk**, **Agata Bielik-Robson**, **Olga Drenda**, **Ryszard Koziołek**, **Zyta Rudzka**, **Maciej Siembieda**, **Magda Stachula** i **Michał Nogaś**. W programie znajdą się spotkania autorskie, debaty, warsztaty literackie i plastyczne, seminarium dla nauczycieli, zajęcia dla młodzieży oraz koncert **Marii Meyer**.

Organizatorem jest Miejska Biblioteka Publiczna w Żorach, a wydarzenie odbywa się pod patronatem Prezydenta Miasta Żory. Festiwal wspierają Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Katowicka Specjalna Strefa Ekonomiczna. Patronami medialnymi są „Tygodnik Powszechny" i Polskie Radio Katowice.

Szczegóły programu: **www.zarliteratury.pl**

■ *Łukasz Wojciechowski,* **DUM-DUM**, *Kultura Gniewu*



Okładka albumu Łukasza Wojciechowskiego przedstawia pocisk dum-dum, który rozpręża się po dosięgnięciu celu. Ze względu na rozległość obrażeń przezeń zadawanych, amunicja tego typu została zakazana chwilę po jej wynalezieniu. Sugestywna ilustracja pobudza wyobraźnię – tak dum-dum przeszywał tkanki, by rozrywać wnętrzności. Obraz ten nawiedza Stanisława Wojciechowskiego, mężczyznę, który jako chłopiec wcielony został do pruskiej armii, aby walczyć przeciwko powstańcom – także swojemu bratu. Wojciechowski snuje alternatywną historię swojego stryjecznego pradziadka, odpowiadając na pytanie, co by się stało, gdyby przeżył on wojnę i wyjechał w latach 30. do Berlina, gdzie kwitł modernizm, a symbole postępu – od sunących po estakadach S-Bahnów, po mieniące się w blasku neonów asfaltowe arterie – odwracały wzrok od panującego kryzysu. Powtarzalność i przewidywalność Neues Bauen stanowią kontrapunkt dla zwichrowanej przez nerwicę frontową psychiki Stanisława, który sam zresztą widzi siebie jako „golema ulepionego z ziemi okopów, krwi kolegów i pocisków dum-dum". Autor dał się poznać jako nietuzinkowy reprezentant komiksowego minimalizmu, bowiem „Dum-dum" zostało w całości narysowane w AutoCAD-zie, oprogramowaniu do rysunku technicznego. Dzięki temu twórcy udało się oddać towarzyszącą międzywojniu naiwną wiarę w technokrację, jak również zaakcentować niedopasowanie i zagubienie tych, którzy myślami nigdy nie opuścili frontu.

© REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

■ **GIORGIO MORANDI**, *Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki w Warszawie, wystawa czynna do 5 października br.*



Po raz pierwszy w Polsce mamy okazję zobaczyć wystawę jego obrazów i prac na papierze. Włoch Giorgio Morandi przez wielu uznawany jest za jednego z najwybitniejszych malarzy ubiegłego wieku. Urodzony w 1890 r. w Bolonii artysta funkcjonował trochę na uboczu. Niemal całe życie spędził w swoim rodzinnym mieście, mieszkając i tworząc w niewielkim mieszkaniu dzielonym z trzema siostrami. Niechętnie podróżował, najlepiej czując się w domu – toteż wystawę przygotowano we współpracy z bolońskim MAMbo – Museo d'Arte Moderna, posiadającym duży zbiór prac malarza. W młodości Morandi interesował się futuryzmem, a na początku lat 20., pod wpływem Giorgia de Chirico, tworzył obrazy mieszczące się w nurcie *la pittura metafisica* – pozostając wierny sztuce dawnej. Fascynował się dziełami Piera della Francesca, Rembrandta, Jeana Chardina i Paula Cézanne'a. Malował niewielkie obrazy: utrzymane w stonowanej kolorystyce pejzaże i martwe natury. I to z tych ostatnich – przedstawiających najprostsze, wręcz banalne przedmioty: butelki, rondle czy dzbanki – stał się znany. Chwalił go wybitny historyk sztuki Roberto Longhi, a Józef Czapski przekonywał, że na płótno Morandiego trzeba patrzeć „jak na obraz w kaplicy". Czy jego prace zachowały aktualność? Na wystawie w Zachęcie nie ma tłumów. Nie doczekała się też wielu recenzji. Pozwala jednak zderzyć wreszcie wzniosłe słowa o wielkości mistrza z jego pracami: oszczędnymi, ascetycznymi. Okazuje się, że ważne dla Morandiego były nie tylko obrazy, ale sam proces ich tworzenia. Może zatem malarz z Bolonii jest nam bardziej współczesny, niż mogłoby się zdawać. © PIOTR KOSIEWSKI

■ **PORTRET ZDEZORIENTOWANEGO OJCA** *(„Portrett av en forvirret far") – reż. Gunnar Hall Jensen. Prod. Norwegia 2025. Vod.mdag.*



Czy jest to spowiedź rodzica, który czuje, że zawiódł, czy raczej kolejna eksploatacja osobistego tematu? Film Gunnara Halla Jensena stanowi doskonały materiał do namysłu nad tym, czym jest rodzicielstwo dzisiaj. Uznany norweski reżyser nakręcił film o swoim synu, zmarłym niepodziewanie w wieku dwudziestu jeden lat. Nieśmiertelne pytanie „co poszło nie tak?" – z ojcostwem Gunnara, z życiem młodego Jonathana – należałoby postawić również samemu filmowi oraz Jensenowi jako jego twórcy. Z archiwalnych materiałów, na których reżyser uwieczniał swojego synka od pierwszych chwil, przebija silna rodzicielska więź, choć równocześnie jakiś nieusuwalny filtr spod znaku „kręcę, więc jesteś". Wszechobecność kamery w życiu dziecka staje się jeszcze bardziej niepokojąca, gdy w jednym z filmów tato obsadza go w roli siebie sprzed lat. Sam Gunnar wychowywał się bez ojca, ma ewidentne problemy z budowaniem bliskości, po rozstaniu z matką Jonathana założył nową rodzinę, często ucieka do chaty w lesie. Zafascynowany norweskim polarnikiem Roaldem Amundsenem usiłuje wkręcić Jonathana w swoją pasję. Tymczasem nastolatek nie chce być reżyserowany, nakłaniany do zwierzeń, buntuje się. Pomiędzy kadrami film mówi o tym, jak łatwo coś istotnego prześlepić w pogoni za rejestrowaniem ulotnych chwil. Jego dużą wartością jest nie tyle bezwzględna szczerość albo czystość intencji, bo te akurat łatwo zakwestionować, ile uruchamianie w widzach ważnych pytań. Choćby o to, na czym dziś polega „dobra" miłość do dziecka, zwłaszcza ta ojcowska, rzadziej dotychczas przedstawiana na ekranie.

© ANITA PIOTROWSKA

Jak zmieniać świat

ANITA PIOTROWSKA

DOKUMENT | Wymowa tego filmu, mimo jego archiwalnego charakteru, wydaje się bardzo współczesna. Można sobie wyobrazić – albo przynajmniej pomarzyć – jak John Lennon reagowałby dzisiaj, śledząc wiadomości z Gazy czy Ukrainy.



MATERIAŁY PRASOWE AGAINST GRAVITY

Leżą w swoim nowojorskim łóżku, zrobionym ponoć z kościelnych ławek. Non stop oglądają amerykańską telewizję: szalony kalejdoskop newsów, reklam, dziennikarskich interwencji, żywiołowych debat i ogłupiającej rozrywki. Mamy koniec 1971 r., John Lennon i Yoko Ono przenieśli się z Londynu do USA, także z powodów prywatnych – żeby odnaleźć jej ośmioletnią córkę Kyoko, uprowadzoną przez byłego męża. Ale nie to jest głównym tematem dokumentu „One to One: John i Yoko". Chodzi o ówczesne wrzenie świata, któremu para artystów nie zamierzała tylko przyglądać się z pościeli.

Ów słynny pokój w Greenwich Village, wraz z całym jego artystycznym bałaganem, został drobiazgowo zrekonstruowany dla potrzeb filmu i sprawia wrażenie, jakby bohaterowie dopiero co z niego wyszli. To jedyna w tym dokumencie inscenizacja, albowiem Kevin Macdonald i Sam Rice-Edwards opowiadają o amerykańskiej przygodzie ex-Beatlesa i jego żony przede wszystkim archiwaliami, unikając zewnętrznych wtrętów.

Dzięki konsekwentnemu i kreatywnemu wykorzystaniu metody *found footage* pozwalają całkowicie zanurzyć się w świecie Nixonowskiej Ameryki – rozpolitykowanej, rozgorączkowanej wojną w Wietnamie i przemianami społecznymi na wielu polach. Z niezgody na polityczne nadużycia, niesprawiedliwość i krzywdę zrodził się legendarny koncert „One to One", zagrany w Madison Square Garden 30 sierpnia 1972 r. Był to jedyny „pełnowymiarowy" występ Lennona od czasu rozstania z Beatlesami, zorganizowany w celach dobroczynnych i niosący przesłanie, które dziś zdaje się wybrzmiewać z nową mocą.

„Jak możemy to zmienić?" – pyta bohater tego dokumentu i nie są to czcze słowa. Zwłaszcza gdy stoją za nimi konkretne akcje, na przykład pomoc dla artysty i aktywisty Johna Sinclaira, skazanego na dziesięć lat więzienia za posiadanie dwóch skrętów z marihuaną. Masowe wiece, koncerty w jego intencji i napisana przez Lennona piosenka miały wymiar więcej niż symboliczny – przyczyniły się do uwolnienia człowieka niewygodnego dla państwa.

Przewija się przez ekran też inny ówczesny „renegat", poeta Allen Ginsberg, czy postać Boba Dylana, choć już w mniej oczywistym kontekście. Za sprawą autentycznych materiałów, bardzo gęstych i świetnie zmontowanych, w tym zachowanych rozmów telefonicznych Lennona i Ono z różnymi ludźmi, jesteśmy świadkami wielkiego kulturowego fermentu, w którym bunt nie był jeszcze towarem na sprzedaż. Macdonald i Rice-Edwards ożywiają na ekranie czasy, zanim utopijny idealizm zdążył się wypalić czy skompromitować.

I chcieliby wierzyć weń nadal, bo wymowa filmu, mimo jego archiwalnego charakteru, wydaje się bardzo współczesna. Oczywiście, jeśli ktoś tylko zechce dostrzec odpowiednie analogie. Można sobie wyobrazić – albo przynajmniej trochę pomarzyć – jak John Lennon reagowałby dzisiaj, śledząc wiadomości z Gazy czy Ukrainy. Zresztą autor „Imagine", gdyby nie został skremowany, a jego prochy rozsypane w Central Parku, pewnie przewracałby się w grobie, słysząc współczesne komentarze do jego piosenki, kiedy wykonano ją na otwarciu igrzysk olimpijskich w Paryżu. To nie są czasy dla naiwnych marzycieli i wydaje się, że dokument „One to One: John i Yoko" zrodził się także z pytania, jak dzisiaj łączyć sztukę z aktywizmem i na ile może ona cokolwiek zmienić.

Oglądamy historię człowieka, który najbardziej buntował się nie tyle przeciwko twardogłowym politykom, coraz większej inwigilacji, stronniczym sądom czy komercjalizacji kultury, co przeciwko zbiorowej apatii. Jednakże pomysły Lennona na „trasę wolności", z której zyski przeznaczone byłyby na kaucje dla niesłusznie bądź zbyt surowo skazanych, bledną wobec tego, jak twórcy dokumentu – a raczej, przy jakiej okazji – wykorzystali utwór zaczynający się od słów „Wyobraź sobie...". I na co ostatecznie poszły pieniądze zgromadzone dzięki koncertowi „One to One". Chodzi oczywiście o niesławną i już nieczynną państwową placówkę na Staten Island, gdzie przebywało wówczas, w warunkach nieludzkich, kilka tysięcy dzieci z niepełnosprawnościami umysłowymi.



ONE TO ONE: JOHN I YOKO
(„One to One: John & Yoko") – reż. Kevin Macdonald, Sam Rice-Edwards. Prod. Wielka Brytania 2024. Dystryb. Against Gravity. W kinach od 12 września.

Kevin Macdonald to szkocki reżyser filmów fabularnych („Czekając na Joe", „Ostatni król Szkocji", „Maratończyk") i dokumentalnych (Oscar za „One Day in September"). Wyspecjalizował się szczególnie w dokumentach muzycznych, np. „Being Mick", „Marley" czy „Whitney". Sam Rice-Edwards był dotychczas montażystą kilku jego tytułów i właśnie debiutuje jako współreżyser.

Kadr z filmu: „One to One: John i Yoko"

To moment w filmie, kiedy nie sposób pozostać obojętnym.

I właśnie o tym, że nie można być obojętnym, chodzi zarówno tytułowym postaciom filmu, jak i jego twórcom. Jest w tym ukryte wezwanie kierowane szczególnie do artystów, bo to oni, jako ci rozpoznawalni i posiadający „zasięgi", mają tu ważką rolę do odegrania. Autorzy swoich bohaterów nie idealizują. Skatologiczne wierszyki Ginsberga, przygotowania Yoko Ono do sesji zdjęciowej z udziałem setek much czy wspomniana afera z porwanym dzieckiem pozwalają spojrzeć na ówczesną kulturę i związany z nią styl życia pod różnymi kątami, nie tylko od strony zaangażowanych songów.

Co innego jednak wysuwa się na plan pierwszy. Z kolażu dokumentalnych materiałów wyłania się obraz skrajnie podzielonego supermocarstwa, łamiącego standardy demokracji czy prawa człowieka u siebie i za granicą. A zarazem kraju, w którym artysta używający słowa „ludobójstwo" traktowany jest niczym *persona non grata*. Film przywołuje tu analogie z innym twórcą wyklętym w USA, też Brytyjczykiem z pochodzenia, a mianowicie z Charliem Chaplinem, który w tym samym czasie, kiedy Lennona inwigilowano i straszono deportacją, przylatuje na Nowy Kontynent po trwającej aż dwadzieścia lat banicji.

Poza wszystkim daje „One to One" możliwość wsłuchania się raz jeszcze w teksty Lennona i Ono, te śpiewane i te mówione (wszystkie są w filmie przetłumaczone). Słychać w nich, jak bardzo byli dziećmi swojej epoki i zarazem jak bardzo ją wyprzedzali, co nie zawsze, zwłaszcza jej, przysparzało popularności. Film, współprodukowany między innymi przez Seana Ono Lennona, ich wspólnego syna, oraz przez Brada Pitta, nie jest typowym dokumentem „fanowskim", powstałym z rodzinnym i gwiazdorskim błogosławieństwem.

Dając wrażenie bliskiego obcowania z bohaterami i krążąc wokół przygotowań do pamiętnego koncertu, film ten jednocześnie chwyta moment istotnej przemiany – w odniesieniu do konkretnych artystów i całego niespokojnego ducha tamtych czasów. Trudno byłoby znaleźć dla niego lepsze określenie niż znana nam skądinąd „nadzieja radykalna". Nawet wiedząc, co spotkało Lennona kilka lat później i w którą stronę poszedł świat. ©

Lektor:
Jesień z poetą



■ *Antoine Compagnon*
LATO Z BAUDELAIRE'EM
Z francuskiego przełożył Jan Maria Kłoczowski. Noir sur Blanc, Warszawa 2025, ss. 134.

Lato już minęło, ale ta książka lepsza jest na nadciągający październik. „Poetą zmierzchu, cienia, żalu, jesieni" – nazywa Charlesa Baudelaire'a sam autor i cytuje „Pieśń jesienną": „Już niebawem nas ciemność w swym chłodzie zanurzy; / Żegnaj, zbyt krótkie lato i jasności żywa!". No ale seria to seria i trudno jej zmieniać tytuł.

Antoine Compagnon, literaturoznawca urodzony w 1950 r., autor „Lata z Montaigne'em", miał tym razem trudniejsze zadanie – łatwiej ułożyć przewodnik po dziele mądrościowym, jakim są „Próby". No i temperamenty obu pisarzy skrajnie różne: Baudelaire, wielki poeta, jeden z ojców nowoczesności w literaturze i diagnosta dokonujących się przemian cywilizacyjnych, był świadomym prowokatorem i mistrzem paradoksów. „Zraniony i gorzki, okrutny szermierz i genialny szaleniec" – czy z kimś takim można się zaprzyjaźnić jak z Montaigne'em? Na pewno można się nim zachwycić i próbować zrozumieć. A czasem pokłócić.

Dzisiaj „Kwiaty zła" nie stałyby się raczej przedmiotem zainteresowania prokuratury, jak w XIX-wiecznej Francji. Za to mizoginiczne wypowiedzi ściągnęłyby na ich autora potężne kłopoty. Cóż, teza, wedle której kobietom brakuje duchowości, albo zdania „Zawsze mnie dziwiło, że kobiety wpuszcza się do kościoła. O czym mogą rozmawiać z Bogiem?" dosyć zdumiewają, podobnie jak podwójnie obraźliwy aforyzm: „Kochać kobietę inteligentną to rozkosz pederasty". Uwag Baudelaire'a na temat George Sand nie zacytuję, wolę pamiętać, że był on także poetą miłości...

Wiersze i prozę autora „Paryskiego splinu" tłumaczono u nas od dawna. Lista jest długa: w Młodej Polsce Zenon Przesmycki-Miriam, Antoni Lange, Stanisław Korab-Brzozowski, Bronisława Ostrowska i tajemnicza Zofia Trzeszczkowska, która w dworze na Białorusi pracowała nad przekładami z francuskiego, prowansalskiego i portugalskiego, publikując je jako Adam M-ski. A potem Antoni Słonimski, Mieczysław Jastrun, Zbigniew Bieńkowski, Joanna Guze, Artur Międzyrzecki, Wisława Szymborska („Albatros"!), Andrzej Kijowski i inni, aż po nagrodzonego przez „Literaturę na Świecie" Marcina Ciurę, który swój przekład „Kwiatów zła", wykorzystany w tej książce, wydał... własnym nakładem. Tłumacz, Jan Maria Kłoczowski, zadedykował swoją pracę niedawno zmarłemu Ryszardowi Engelkingowi – matematykowi i genialnemu translatorowi Flauberta i Baudelaire'a. Bo to także część naszej tradycji. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Duszyczka i grzebyczek



Weź kogucich grzebieni dobrze obgotowanych, osobno w wodzie z octem obgotuj nerki i wątrobę z kapłona, tudzież cielęcą grasicę pokrojoną w paseczki, no i ze dwa jądra tegoż cielaczka, skoro i tak już rzeźnik go rozciął. Połącz to potem z sosem z grzybów i cebulki, który zrobisz na wywarze cielęcym i rozprowadzisz na koniec szczodrym chlustem bardzo wytrawnej marsali. Lub madery. To zależy, co masz w szafce z butelkami „kuchennych" alkoholi – długo by o tym rozprawiać, lista może się ciągnąć przez dwie kartki, a i tak w praktyce ma się pod ręką parę rzeczy i trzeba kombinować.

Kwestia wina jest wtórna wobec brzemiennych w treści problemów, które wzbudzał zapach unoszący się nad stołem niepozornej gospody „Roma" w wiosce gdzieś pośrodku Piemontu. Gdzie dokładnie, tego nie zdradzę, bo w tamtej okolicy, szczęśliwie wciąż niepozornej, cichej i bezludnej, i tak już zaczyna się pomału ruch turystyczny. Zauważmy tylko, że nazwa przybytku, często spotykana, świadczy o jego długim istnieniu i że się nie wstydzi być oldskulowy. W całej Italii ponazywano tak knajpy i hotele pod koniec XIX wieku, na fali entuzjazmu z racji utworzenia nowego państwa pod berłem króla osadzonego w Rzymie dopiero co odbitym z rąk papieży. Szczerze, to nie cały kraj miał powody do entuzjazmu, ale akurat Piemontczycy, którzy tę awanturę zjednoczeniową wszczęli i porobili na niej kariery, byli na pewno dumni. Czy jest na sali historyk dwudziestolecia, który by nam powiedział, ile wówczas było u nas restauracji lub kawiarni „Warszawskich"?

No mniejsza o to. Jak się rzekło, rzecz działa się w wiosce liczącej może z tysiąc dusz (za to aż trzy kościoły), jednak na mojej mapie jest ona oznaczona kwadratem równym stolicom. Dobry los dał mi ją znów na moment nawiedzić. Szefowa była jak zwykle szorstka i nienadskakująca, hrabalowska wręcz, by użyć bliższej nam geograficznie figury – ale pamiętała, co lubię. Na przystawkę ozór w tzw. zielonym sosie, a potem duszone w winie podroby. W takim przybytku robić zdjęcia daniom to totalny obciach, więc mam tylko jedno, zrobione ukradkiem, ujęcie lśniącego od sosu grzebyczka. Kiedym rozesłał do znajomych z pytaniem, co to takiego, to pomimo charakterystycznego, ząbkowanego konturu, większość odpowiadała: może to jakiś grzyb? A po rozwiązaniu zagadki często wyrażała obrzydzenie. Doprawdy, nie wiem, czemu się u nas tego nie je normalnie, jak płucek czy wątróbki. Grzebień jest przepyszny, mięciutki, przypuszczam, że równie pożywny (i chudy!) jak większość piątej ćwiartki.



NATABA / ADOBE STOCK

Lubię tę paradoksalną nazwę podrobów – wskazuje na pewien ich wyjątkowy status w obrzędzie ludzkiego posiłku. Po włosku grasica to *animella*, czyli duszyczka; coś w tym jest, przecież takie części ciała jak serce, mózg, wątroba, żołądek czy owe jakże niesłusznie pogardzane jądra stoją zdecydowanie wyżej w hierarchii części zwierzęcia niż jakieś tam mięśnie z grzbietu czy, za przeproszeniem, zadka. Jest w nich (było?) znacznie więcej życia. A może właśnie przez to, przez te nazwy tak mocno związane także z naszą tożsamością, odczuwamy lęk przed ich zjedzeniem?

A cóż ty nam tu za lewi-sztrosy będziesz wywijał, powiecie słusznie, niechże każdy zjada, co chce. Odruch obrzydzenia jest wszak bliskim kuzynem strachu. Emocje zaś w erze Narcyza, jak trąbią na nas z każdego rogu ulicy, należy traktować z czułością. Z moim ulubionym daniem wiąże się zresztą ciekawsza umysłowa łamigłówka. Otóż zwie się ono po włosku *finanziera*. Nazwa jest poświadczona dla XIX wieku (sam przepis pojawia się w źródłach wcześniej) i na pewno była to już wtedy potrawa „wysoka", jadana na salonach – jej wielkim fanem miał być ponoć hrabia Cavour. Arcyważny polityk, znacie to nazwisko z tabliczek, bo nawet najmniejsza dziura we Włoszech musi mieć dwie ulice: Garibaldiego i Cavoura właśnie.

Dobrze, ale skąd te finanse? Tropy komplikuje fakt, że identycznie zwał się rodzaj surduta modnego w połowie tamtego stulecia – o ile strój jeszcze dałoby się na siłę przypisać „finansistom", którzy być może go nosili, to już w przypadku



potrawy (a znajdziecie w sieci takie bieda-etymologie) wydaje się to naciągane. Wyjaśnienie jest banalne – otóż Piemont to pod wieloma względami odnoga Francji, a we francuskiej tradycji, np. u Escoffiera, też mamy grasicę cielęcą *à la financière* – także z użyciem grzebieni. Oraz osobno sos finansjerski, robiony w Lyonie na bazie zasmażki, bulionu, pieczarek i oliwek. A także, o dziwo, małe wypieki z mąki migdałowej i białek, nieco podobne do magdalenek.

A więc to słownikowy import. Ale skąd w takim razie u Francuzów ta dziwna nazwa? Nie byłem w stanie dotąd tego dociec, z braku czasu na czytanie poważnych książek czy dotarcie do rzetelnych specjalistów. Za to po przełknięciu ostatniego grzebyczka i wytarciu sosu (niestety kiepską bułką, to niepojęte, jak oni chleba piec nie umieją), w oczekiwaniu na deser lubię cofnąć się o krok i przypomnieć sobie, czemu finanse są finansami? To akurat prosto wyjaśnić i nie ma co do tego sporu. Pobrzmiewa w tym słowie *fin*, czyli koniec. Już we wczesnym średniowieczu Francuzi używali tego rdzenia, kiedy rozliczali, a więc „kończyli" transakcję. Nie mogli przewidzieć, że ich potomkowie po tysiącu lat nie będą mieli innego końca świata niż właśnie debet, manko i niewypłacalność.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Bonet

Zabawy słowem ucina jak zwykle pojawienie się deseru. Jest to tradycyjny piemoncki zapiekany budyń o brzmiącej z francuska nazwie. W wielu knajpkach podadzą wam go w postaci małej babeczki, ale lepiej wychodzi, jak się go robi w jednej dużej keksówce, a potem kroi na plastry.

SKŁADNIKI:
4 jajka 1 żółtko 200 g cukru 40-50 g kakao 100 g herbatników amaretti 0,5 l mleka

W garnuszku podgrzewamy 100 g cukru w 40 ml wody. Kiedy zacznie się pienić, a następnie brązowieć, wlewamy tak uzyskany karmel do foremki-keksówki długości ok. 22-25 cm. W dużej misce ubijamy ręczną trzepaczką jajka, żółtko i kolejne 100 g cukru oraz porządną szczyptę soli. Ubijamy krótko, tak żeby się wszystko połączyło, ale nie spieniło. Wsypujemy przesiane kakao, następnie pokruszone ciasteczka (w niektórych wariantach dodaje się pokruszony suchy chleb oraz drobne kawałeczki jabłka). Na koniec powoli dolewamy mleko, mieszamy, wlewamy do formy.
Rozgrzewamy piekarnik do 150 st. C. Wstawiamy doń dużą brytfannę wypełnioną wrzątkiem na 3/4 wysokości keksówki, która zawiera nasz deser, po czym ją delikatnie w tej kąpieli wodnej umieszczamy. Pieczemy około godziny. Po tym czasie bonet powinien być całkiem stężały. Jeśli jest jeszcze trochę płynny, przedłużamy pieczenie. Po wyjęciu z pieca studzimy, aż będzie całkiem zimne, i odwracamy ostrożnie na duży talerz. Po pokrojeniu na pojedyncze porcje przyozdabiamy jeszcze ciasteczkami. ©℗



BALENABIANCA / ADOBE STOCK

PSYCHE

SIWA NA AGORZE

KAROLINA WIGURA, SOCJOLOŻKA:

Przyszedł czas, w którym kobiety nie chcą już milczeć.
Chcą mówić wprost o tym, jak się czują,
i o tym, o czym dawniej nie wypadało im mówić.
Mnie wiek średni przyniósł tę właśnie wolność.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Ładnie Pani z siwizną.

KAROLINA WIGURA: Inne zdanie mają hejterzy. Piszą: „ale te włosy powinna pani ufarbować". Chcą mnie zawstydzić, mówiąc, że o siebie nie dbam – według ich standardów. Idąc do pracy powinnam ufarbować włosy na tej samej zasadzie, co założyć zegarek czy zrobić makijaż.

Kiedy powiedziała Pani sobie: dość, więcej nie farbuję?

Pierwsza myśl była taka, że skoro już tydzień po ufarbowaniu mam białą aureolę wokół czoła, to jest to zwyczajnie robota głupiego. Wtedy zapytałam męża: „Czy tobie nie będzie przeszkadzało, jak będziesz mieć siwą żonę?". On: „A jak ty się będziesz czuła?". Ja: „Dobrze". On: „No to ja też dobrze".

Krzepi.

Ważny był tu też przekaz mojej ukochanej babci Halinki. Ona nigdy nie osiwiała. Pod koniec życia wciąż miała ciemnoblond włosy przetykane siwymi pasmami. Mówiła, że marzyła o byciu siwą. Że to piękne.

I prawdziwe?

Ważne, żebyśmy jako kobiety, dbając o swój wygląd, robiły to dla siebie. A nie jako spełnienie czyichś oczekiwań. Każda z nas ma prawo zrobić to, co chce. Farbować albo nie. Byle nie słuchać hejterów. Tym kobietom, które pragną iść w górę, i tak jest strasznie trudno. A tu jeszcze wszyscy oceniają ich wygląd – jakie włosy, jaka sukienka, jaki makijaż. Można mieć wrażenie, że cokolwiek zrobią, i tak będzie źle.

W takim wymuszaniu – „farbuj się, bo musisz wyglądać młodo" – ujawnia się też lęk przed dojrzałością kobiety.

Jej doświadczeniem i wiedzą?

Kieran Setiya w książce „Kryzys wieku średniego" pisze, że to moment w życiu, w którym stoimy na szczycie góry. Stąd dobrze już widać to, co za nami, i to, co tu i teraz. I orientujemy się, że mamy coraz mniej czasu, że po drugiej stronie tej góry jest również koniec. Właśnie ta świadomość weryfikuje wszystkie nasze plany, dążenia, poczucie sensu. Zazwyczaj nie odczuwamy tego jako młodzi ludzie.

Choć wiek średni może wystąpić w różnych okresach. John Stuart Mill jako 20-latek przechodził depresję. Jego biografowie uważają, że to był bardzo wczesny kryzys wieku średniego. A w przypadku kobiety wiek średni łączy się dodatkowo z drugą zmianą.

Czyli?

Jeszcze jako dzieci, zanim staniemy się dojrzałe jako ludzie, dostajemy pierwszą miesiączkę. Na dobrą sprawę mogłybyśmy rodzić, co w dawnych czasach kobiety robiły. Z czasem dochodzi utrata dziewictwa, kiedy zaczynamy być aktywne seksualnie. To jest ta pierwsza zmiana. Natomiast wiek średni nakłada się na menopauzę, która zabiera nam zdolności reprodukcyjne. I to jest właśnie druga zmiana, która w kulturze traktowana jest jako utrata.

W Pani przypadku druga zmiana wiąże się też z chorobą, pisze Pani o tym w książce „Endo".

Zanim usłyszałam od lekarzy, że choruję na endometriozę, miałam już kryzys wieku średniego: pojawił się narastający lęk. Zasypiając koło męża, myślałam, że to dobre życie, które wiodę, zaraz się skończy. Że to wszystko jest tylko na chwilę. Z czasem ciało dogoniło emocje. Choroba, operacja, leczenie i świadomość, że nie będę mogła więcej rodzić. Na początku oznaczało to dla mnie żałobę. Rozpaczliwie szamotałam się z falami smutku i złości. Bo ja chciałam mieć jeszcze trzecie dziecko. Jednocześnie nie wyobrażałam sobie, bym poddała się *in vitro*. Nie miałam już na to siły, byłby to zbyt duży wysiłek fizyczny i psychiczny.

DARIUSZ GOLIK / FUNDACJA KULTURA LIBERALNA



KAROLINA WIGURA (ur. 1980) jest socjolożką, historyczką idei, wykładowczynią i publicystką „Kultury Liberalnej". Doktor habilitowana nauk społecznych, zajmuje się m.in. emocjami społecznymi w polityce i etyką pamięci. Laureatka Nagrody im. ks. Józefa Tischnera. Publikowała m.in. w „Tygodniku Powszechnym", „The Guardian" i „The New York Times".

Co pomogło oswoić tę utratę?

Czas. Zadawanie pytań. Endometrioza nie jest chorobą ginekologiczną, lecz systemową i autoimmunologiczną. Nie są znane jej przyczyny, ale wiele rzeczy się podejrzewa. Na przykład, że związana jest z siedzącym trybem życia, stresem, złym odżywianiem, a nawet z mikroplastikiem. Istnieje też hipoteza, że wiąże się z przebytą traumą. Zastanawiałam się nad losem kobiet z mojej rodziny, bo babcia i mama też miały w sobie rodzaj smutku. Niezależny od tego, że to kobiety wyjątkowe, oddane, realizujące się zawodowo. I niesłychanie dzielne.

Ta dzielność jest tu ważna?

Trzeba niesłychanej dzielności, żeby bez męża, ofiary stalinowskiego więzienia, wychować dwójkę dzieci na świetnie wykształconych lekarzy. To zrobiła moja babcia. Potem moja mama wychowywała dwie nastoletnie córki bez męża. Tata wyjechał za granicę, by zarabiać na rodzinę. Miał być kilka lat, został tam na dwie dekady. Zajrzyjmy w swoje rodziny – to nie jest pojedyncza historia, lecz opowieść o rodzinach wielu z nas. Czy to nie jest związane z naszą historią? Kobiety w Polsce trzymały wewnętrzną dyscyplinę, często w samotności walczyły o każdy dzień. Przy jednoczesnym uwikłaniu we własną płodność. A uwikłane jesteśmy w nią bez względu na to, czy jesteśmy matkami, czy nie, czy możemy mieć dzieci, czy nie możemy, czy w ogóle chcemy je mieć.

A gdy zostajemy matkami?

To historia nas nie oszczędza. Mężczyźni z różnych powodów znikają z domów, a kobiety zostają z dziećmi same. Pragnienie, by mieć dzieci, szybko przekształca się w znój. W narracjach historycznych koncentrujemy się na mężczyznach – ich bohaterstwie i niezłomności. Dlaczego tak mało opowiadamy o tym, co się działo wtedy z ich kobietami? Jasne, że wychowywać dzieci to nie jest to samo, co zginąć na polu bitwy. Ale jednak sprawczość kobiet w naszej kulturze jest opowiedziana tylko śladowo. Potem to się przekłada na politykę, gdzie, mam wrażenie, polaryzacja podyktowana jest przez mężczyzn, zamiast rozwiązywania codziennych spraw każdej i każdego z nas.

Pani uwikłanie?

Sama przez lata odtwarzałam postawę dzielności kobiet z mojej rodziny. Zupełnie bezsensownie, bo nie moje jest doświadczenie samotnego wychowywania dzieci. Potem przyszło otrzeźwienie. Pamiętam taką sytuację: z Janem Zielonką, ↦

↦ ukochanym filozofem i przyjacielem, spacerujemy po Oksfordzie, ja pcham wózek z moim synkiem. Jan pyta: „Słuchaj, jak ty to łączysz? Przed momentem byłaś na zajęciach, a teraz zajmujesz się dzieckiem?". Ja: „No wiesz, Janek, nasze babki, matki tak robiły, co w tym dziwnego?". On na mnie patrzy wielkimi oczyma i mówi: „Przecież ty nie jesteś w takiej sytuacji jak one, wszystko się zmieniło, co ty masz w głowie?".

Dużo się zmieniało, ale z małym dzieckiem dobrze jest być blisko.

Tyle że ja w pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że boję się być z moimi dziećmi sam na sam.

Dlaczego?

Był we mnie strach, że sami – ja i synowie – zostaniemy bez mężczyzny. Że mąż i ojciec znowu gdzieś zniknie. Tak jak mój dziadek i ojciec. Zrozumiałam, że odziedziczyłam coś, czego nie byłam świadoma nawet przez pierwsze lata życia moich dzieci. Obowiązek wychowawczy wiązał się u mnie z przeszywającym smutkiem. Odziedziczyłam zmęczenie mamy i babci. Ono wychodziło najbardziej, kiedy zostawałam z dziećmi sama, choćby na jedną noc. Towarzyszyło temu samoobwinianie się za to, że tak się czuję, mimo najgłębszego pragnienia, by dzieci mieć. Przez długi czas kompletnie sobie z tym nie radziłam. Ale byłam dzielna: zajmowałam się dziećmi, pisałam książki, chodziłam do pracy.

Milczące dziedzictwo?

Traumy pokoleniowe wnikają w nas przez osmozę. Bez słów. Ale trauma wypowiedziana to trauma oswojona. Własna – możliwa do leczenia.

A przywilejem wieku średniego jest gotowość do konfrontacji z problemami?

Przyszedł czas, w którym kobiety nie chcą już milczeć. Chcą mówić wprost o tym, jak się czują. Rozmawiać o tym, o czym dawniej myślano, że nie wypada mówić. Mnie w każdym razie wiek średni przyniósł tę właśnie wolność. „Endo" jest takim szukaniem języka. Ten wiek to także godzenie się z entropią. Że przemijamy, że tracimy młodzieńczą atrakcyjność.

No nie, tu żadnej zgody.

Chodzi tylko o tę młodzieńczą, pierwszą atrakcyjność. A potem? To nie jest kobiecy przykład, ale myślę sobie teraz o zezowatym i niskim Sartrze. Czy on był atrakcyjny? Wychodzi na to, że tak. Miał szalone powodzenie u kobiet. Co było w nim więc atrakcyjne? Prawdopodobnie inteligencja i poczucie własnej wartości. To chyba się sprawdza bez względu na płeć. Kiedy jesteśmy dziewczynami, mamy jędrną skórę, grube włosy, błyszczące oczy. Ale niezależnie od tego, jak bardzo piękne jesteśmy, to wszystko kiedyś minie. Dobrze o tym wiedzieć od najmłodszych lat, a druga zmiana nas z tym faktem nieuchronnie konfrontuje. Nawet jeżeli teraz jesteśmy świetnie zadbane. Więc atrakcyjności trzeba szukać gdzieś indziej.

W tym, co Sartre?

Podobnie, ale nie identycznie. Przywołam teraz baśń o „Śpiącej królewnie", którą dogłębnie zrozumiałam dzięki psychoanalitycznej interpretacji Bruno Bettelheima. Śpiąca królewna, jeszcze jako dziecko, automatycznie zasypia, właściwie nie wiadomo dlaczego. Ktoś jej dał jakieś zatrute jabłko, ale właściwe z jakiego powodu? I dalej: królewna budzi się już jako dojrzała kobieta. A konkretnie, zbudził ją pocałunkiem młody mężczyzna, który będzie miał z nią dzieci. On nie pyta: „Słuchaj, chciałabyś mieć dzieci?" albo „Czy już jesteś gotowa być moją żoną?". Budzi i już. Więc ona nadal działa jak automat.

Osoba niedecyzyjna?

W tej baśni jest jeszcze inna kobieta: macocha. Mroczna postać. Negatywna bohaterka, tak zawsze jest przedstawiana. To właśnie ona częstuje Królewnę zatrutym jabłkiem. Po co? Nie wiemy.

Wiemy, że starsza młodszą uznaje za rywalkę.

A może jest dokładnie odwrotnie? Może macocha chciała ustrzec królewnę przed bolesnym losem wszystkich kobiet, z menstruacjami, owulacjami, porodami, połogami, wreszcie – utratą płodności? A może przeciwnie, wręczyła jej zatrute jabłko, bo właśnie ono miało wprowadzić ją w sen gwarantujący przemianę w kobietę? Jedno jest pewne: działanie królewny nie opiera się na wiedzy. Ona jest przedmiotem, a nie podmiotem tej historii. Macocha dysponuje wiedzą. Ona wie, czyli jest wiedźmą.

A Pani?

Po operacji na endometriozę nie obudziłam się jako śpiąca królewna.

Obudziła się Pani jako macocha?

I dobrze mi w tej roli. Bo wolę wiedzieć, co robię i dlaczego. Chociaż może nie wszyscy rozumieją, dlaczego coś robię. Choćby to, że nie farbuję włosów. Ktoś może myśleć: po co akceptować na co dzień własne przemijanie w tak radykalny sposób, jednocześnie widząc, że ta twarz wyglądałaby znacznie lepiej w czarnych? Ale za tą decyzją właśnie stoi próba zgody na to, że my się w którymś momencie kończymy.

Koniec? Teraz?

Nie czuję, by wiek, w którym jestem, był wiekiem kończącym, przeciwnie, czuję, że przede mną wiele lat życia. A równolegle mam świadomość, że na to, kiedy umrzemy, nie mamy żadnego wpływu. W „Endo" piszę o moich przyjaciółkach, które były w okolicach czterdziestki i nagle pożegnały się ze światem. Martę połknął nieoperacyjny rak wątroby, Irynę w dwa miesiące zabrała białaczka.

Trzeba więc z życia korzystać, póki się da?

Od zawsze miałam w sobie mnóstwo energii. Jako dziewczyna chodziłam po drzewach, dopiero miesiączka zaczęła mi w tym przeszkadzać. Potem były konie, łyżwy, taniec nowoczesny. A przed pierwszą ciążą pojechałam na stypendium naukowe i nie mając kasy na żadne inne sporty, zaczęłam biegać. Bo to najtaniej. Wystarczy nałożyć jakiekolwiek trampki, jeszcze człowiek młody, więc nie czuje tak bardzo, że te buty nie nadają się do biegania. Szczególnie uwielbiałam biegać zimą:

KSIĄŻKI KAROLINY WIGURY



WINA NARODÓW... PRZEBACZENIE JAKO STRATEGIA PROWADZENIA POLITYKI (Wydawnictwo Naukowe Scholar i Muzeum II Wojny Światowej, 2011)

Połączenie studium filozoficznego nad pojęciami przebaczenia i skruchy oraz szczegółowej analizy politycznego i intelektualnego kontekstu, w którym dokonywano najważniejszych politycznych aktów związanych z pamięcią po 1945 r. Nagroda Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera.



POLKA ATEISTKA KONTRA POLAK KATOLIK. JEDENAŚCIE SPORÓW ŚWIATOPOGLĄDOWYCH (Fundacja Kultura Liberalna, 2022)

Karolina Wigura z Tomaszem Terlikowskim porywają się na coś, co dziś wydaje się czystą abstrakcją, a co w tym duecie okazuje się nie tylko możliwe, ale też dowodzi, że ludzi z różnych światopoglądowych światów całkiem sporo łączy. Oboje uznają Kartezjusza jako filozofa, który „uważał, że ciekawość jest pierwszą emocją, a wszystkie pozostałe pochodzą od niej".



ENDO. SZTUKA AKCEPTACJI CHOROBY (Fundacja Kultura Liberalna, 2025)

Esej, w którym choroba jest jedynie trampoliną dla szerszej refleksji nad kondycją współczesnej kobiety w wieku średnim. Jak w niej pracuje przekaz idący od matek, babek, prababek. Kiedy zamienia się on w broń obosieczną: tyleż rozwija, co podcina skrzydła. Elementarne pytanie brzmi: co zrobić, by na każdym etapie życia odnajdywać w nim sens?

---

po 7-10 minutach następuje skok endorfin, człowieka przechodzi dreszcz, a potem masz oczy biegacza i widzisz otoczenie w znacznie bardziej nasyconych kolorach, niż one są naprawdę.

A teraz?

Endometrioza zmusiła mnie, bym zrezygnowała z kolejnej rzeczy. Istnieje tak zwany endobrzuch – ta choroba wiąże się z bardzo słabymi mięśniami brzucha. Natomiast by dobrze biec, trzeba mieć silne mięśnie brzucha, inaczej powstają zbyt duże obciążenia, szczególnie na biodrach. Więc teraz biegnę wolno i zaledwie 2,5 km. A kiedyś biegłam 10 km.

Żal Pani?

Znalazłam sobie inny sport: pływanie. Sama nauczyłam się pływać w wieku 20 lat. A już po urodzeniu synów poszłam na kurs doskonalenia pływania. Potem, w czasie pandemii, nauczyłam się pływać pod okiem trenera. Obecnie codziennie robię 800 m. To dla mnie ważny element medytacyjno-zdrowotny. Adam Zagajewski „żabkę" porównał do modlitwy. Ja się nie modlę, ale odczuwam moc napędzaną szybkim wdechem i bardzo długim wydechem. A dla kobiet z endometriozą pływanie jest zalecane jako pierwsza z aktywności ruchowych. Bo endo jest często związane z brakiem mobilizacji miednicy. Wszystko w tych okolicach jest sztywne, pływanie delikatnie miednicę mobilizuje.

Podziwiam, że Pani umie mówić publicznie o tak intymnych sprawach.

Pochodzę z rodziny lekarskiej, u nas w domu swobodnie rozmawiało się o ciele i tym, co się z nim dzieje. Oczywiście, publicznie nie zawsze jest to łatwe. Liczni hejterzy chętnie odtwarzają stereotypy o „wędrującej macicy". Rozumie pani: ktoś nie zgadza się z moją analizą polityczną, więc dyskredytuje mnie, pisząc np., że endometrioza zniszczyła mi mózg. Kobiety są dyskredytowane niezależnie od poglądów. Nie argumentacją, ale sprowadzeniem do ciała.

Tym bardziej doceniam tę odwagę.

Ale czy to nie jest tak, że my kobiety powinnyśmy o tym mówić, żeby się czuć trochę mniej samotne z naszymi skrytymi doświadczeniami? Co dziesiąta z nas choruje na endometriozę, mijamy się na ulicy, pracujemy biurko w biurko, siedzimy obok siebie w pociągach. I nieraz żyjemy same ze swoim problemem, nie wiemy, co nam właściwie dolega. Boimy się, szarpiemy. Chyba lepiej wiedzieć, czym to jest, jak się przechodzi, co można zrobić?

To dotyczy też każdego innego aspektu naszego życia. Opowiem pani najbardziej nieprawdopodobną i hollywoodzką historię w moim życiu.

Nie mogę się doczekać.

W 2018 r. zostałam zaproszona na Athens Democracy Forum – dużą konferencję organizowaną m.in. przez „New York Timesa". Wahałam się, czy wziąć udział, ponieważ miałam tam być moderatorką, a nie panelistką...

Przerwę: dlaczego Pani była niezadowolona z propozycji moderowania?

Chodzi tu wyłącznie o zasadę: pana profesora zaprosimy jako mówcę, a panią profesor jako moderatorkę. Negocjowałam jeszcze z organizatorami, że chciałabym brać udział w panelu w innej roli, ale nikt mnie nie słuchał. Myślę w końcu: no dobrze, konferencja ważna, jadę. Jestem już w Atenach i na otwarciu spotykam nestora amerykańskiego dziennikarstwa, który ma prowadzić panel następnego dnia. On pyta mnie o sytuację polityczną w Polsce. Mówię, że pora, by liberałowie się ogarnęli, nie da się wytrzymać tego ich ciągłego użalania się nad sobą. A populiści wygrywają dlatego, że liberałowie im na to pozwolili. Podobny kryzys jest w Stanach Zjednoczonych – na prezydenturę Trumpa liberałowie wyłącznie utyskują. Dodałam jeszcze, że trzeba zakasać rękawy, powiedzieć, że się popełniło błędy, wyciągnąć z nich wnioski i wziąć się do roboty. Rozmawialiśmy jeszcze i rozeszliśmy się, każde w swoją stronę.

Następnego dnia idę na konferencję, w słuchawkach mam spokojnego Paula Simona, nagle dzwoni telefon i menadżerka Forum mówi: „Wie pani co, ważny panelista niespodziewanie zrezygnował z wystąpienia na ateńskiej Agorze, czy mogłaby go pani zastąpić?". Moja pierwsza myśl: Ja? Nikomu nieznana historyczka idei z Europy Środkowo-Wschodniej? ↦

↦ Druga: Nie mam odpowiedniego ubrania, tylko portki i bluzkę, a powinnam wystąpić co najmniej w garniturze lub eleganckiej sukience. W końcu pomyślałam: Dziewczyno, czekałaś na ten moment całe życie. Do roboty.

Szansa, której nie wolno zmarnować?

Zastanawiałam się, kto mnie zaprosił do panelu. Okazało się, że właśnie ten nestor, z którym rozmawiałam poprzedniego wieczoru.

Na dwie godziny dostałam do dyspozycji ekskluzywny apartament nieobecnego panelisty, w którym miałam czas się przygotować. Szminką, bo tylko ją z kosmetyków miałam w torebce, pociągnęłam usta i ruszyłam. Panel odbywał się w sercu Aten, na starożytnej Agorze. Czułam euforię: znajdowałam się w miejscu, po którym przechadzał się Sokrates, „psując" młodzież filozoficznymi dysputami. A dziś to ja mam mówić tym ludziom, co zrobić z demokracją. I w tym momencie czuję, że dzieje się ze mną coś niedobrego. Boli mnie dół brzucha, wiem, że dostałam okres. Sokrates nie miał macicy, nie zacząłby menstruować na środku Agory. Panika: bo widzę, że krzesło, na którym mam usiąść, jest nieskazitelnie białe. Na pewno je zabrudzę. A ja niczego nie mam przy sobie: tamponu, leków przeciwbólowych. Zaraz dopadnie mnie mgła mózgowa i trudno będzie mi się skoncentrować.

Współczuję z serca.

Wtedy też się znalazły blisko mnie współczujące kobiety. Wiedźmy – te, które wiedziały.

Menadżerkę Forum pociągnęłam za rękę i mówię: „Słuchaj, mam problem. Dostałam okres, ja niczego nie mam ze sobą, niczego". I widzę w jej oczach empatię. Wszystko jest jasne. Menadżerka idzie do innej kobiety, rozmawiają ze sobą, za chwilę mam już wszystko: tampony, leki, herbata.

Słowem: tak działa wspólnota. Niezmiennie jej potrzebuję.

A wystąpienie?

Poszło świetnie. Zmieniło moje życie zawodowe. To też dzięki wspólnocie kobiet.

Co jeszcze jest słabo wypowiedziane w debacie publicznej?

Seksualność. W „Endo" piszę o niej trochę, ale chcę jej poświęcić jedną z moich następnych książek. Sporo tu uproszczeń, zakłamań. Choćby takich: trzeba uszanować, jeśli w związku druga osoba nie chce już uprawiać seksu. Jak to przekroczysz, to koniec. A przecież jest też seks związku dojrzałego. Ludzie długo razem żyjący są ze sobą na coś umówieni. Skoro jedna strona nie chce uprawiać seksu, to co ma zrobić strona druga? Może ja teraz w tym momencie nie chcę, ale za 5 minut mi się to zmieni? To kwestia bliskości, komunikacji.

Traumy pokoleniowe wnikają w nas przez osmozę. **Ale trauma wypowiedziana to trauma oswojona.** Własna – możliwa do leczenia.

Seks to najintymniejszy język, którym porozumiewają się ludzie?

Istnieje cały język seksu, zgody czy niezgody na niego. Jak chcemy go uprawiać, a jak nie chcemy, kiedy i dlaczego wtedy... Seks jest związany z zaufaniem, to jego dodatkowa warstwa. Jest ważny dla naszej atrakcyjności – czujemy się po nim inaczej. Istnieje powiedzenie: *post coitum omne animal triste est* (po stosunku każde zwierzę jest smutne), tyle że nie jest to prawda. Po seksie jesteśmy właśnie upewnieni w sobie, spokojniejsi, spełnieni. Wszystkie problemy spadają wtedy na poduszkę obok.

Istnieją jeszcze jakieś pożytki z wieku średniego?

Moim przywilejem teraz jest to, że dzięki lekom na endometriozę mogę zupełnie wygasić cykl menstruacyjny. Uważam, że to wspaniałe. Nie dlatego, żebym kiedyś nie afirmowała cyklu menstruacyjnego, wręcz przeciwnie – to, jak dobrze działa kobiece ciało, daje radość. Ale ponieważ po drodze doświadczyłam okresów trudnych, ze smutkiem, bólem rozsianym po ciele, to zdecydowanie wolę stan obecny.

A tęsknota za młodością?

Nie mam. Ileż wartościowego doświadczenia musiałabym wtedy utracić. Myślę raczej o tym, czy uda mi się dziś lepiej popłynąć na basenie.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA



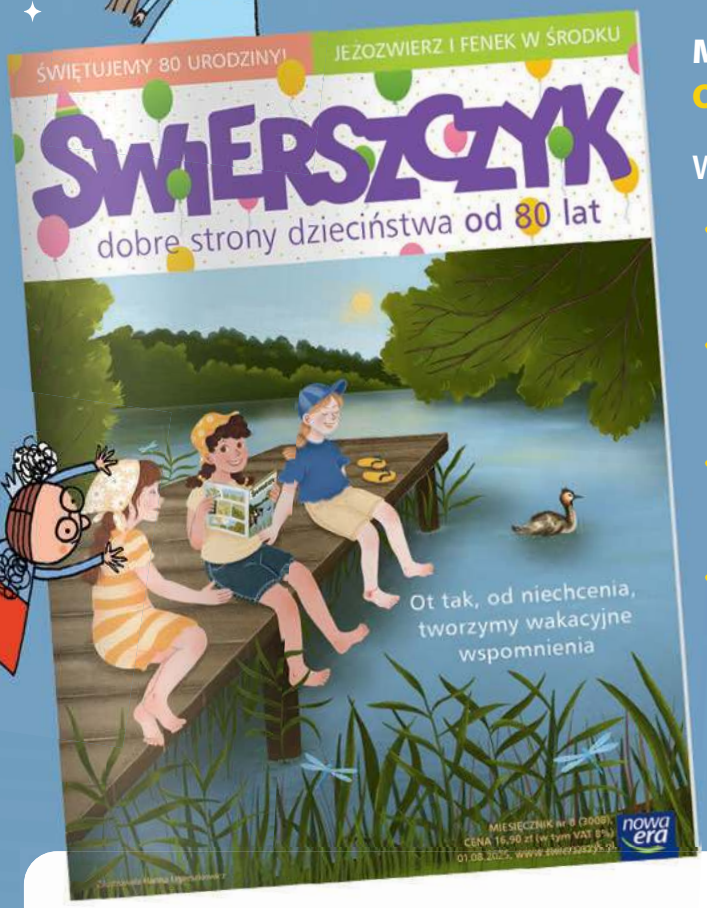
FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

10 % rabatu z kodem TYGODNIK

ŚWIERSZCZYK

dobre strony dzieciństwa od 80 lat



Miesięcznik literacki z aktywnościami. Od 80 lat towarzyszy polskim dzieciom!

W każdym numerze:

- ✓ **wiersze i opowiadania** najlepszych polskich autorów
- ✓ **piękne ilustracje** wykonane w różnorodnych technikach plastycznych
- ✓ **wciągające aktywności** ćwiczące umiejętności potrzebne w szkole
- ✓ **łagodne i bezpieczne dla dzieci treści,** wolne od przemocy

Prenumerata Świerszczyka

Prenumeraty – roczną i półroczną – zamówisz w sklepie online.
Użyj kodu rabatowego **TYGODNIK** i ciesz się **10% zniżki**!

sklep.swierszczyk.pl

TOMASZ

Stawiszyński: *Sposób na...*



W powieści Edmunda Niziurskiego „Sposób na Alcybiadesa" uczniowie męskiej szkoły im. Lindego w Warszawie dowiadują się o istnieniu niezawodnych metod, które pozwalają neutralizować co bardziej wymagających nauczycieli. Czyli – przy minimalnym wysiłku uzyskiwać najlepsze oceny oraz inne, wcale liczne apanaże. Przy czym cena tych sposobów jest wprost proporcjonalna do surowości i niedostępności pedagogów, a ponieważ bohaterów nie stać na te najbardziej drogocenne, muszą się zadowolić wariantem na poczciwego i niegroźnego historyka zwanego Alcybiadesem. Wynikają z tego nieprzewidziane konsekwencje, ale nie mogłoby być inaczej, to w końcu powieść Niziurskiego.

Choć świat wygląda dziś zupełnie inaczej niż w epoce, kiedy ta książka powstawała, zostały w niej uchwycone jakieś odporne na upływ czasu i szerokość geograficzną wymiary życia. Np. doświadczenie młodocianych przyjaźni. Pierwszych inicjacji, wyzwań, lęków, poszukiwań, intensywności i uniesień, które przeżywamy zawsze tak samo. Bo niezależnie od tego, co by na ten temat sądzili postmodernistycznie usposobieni humaniści, prawie na pewno istnieje coś takiego jak uniwersalna ludzka natura. I równie uniwersalne do niej klucze, w tym owe tytułowe „sposoby", w skrócie „spony", jak wszyscy pamiętamy.

„Sposób na Alcybiadesa" przypomniał mi się ostatnio w cokolwiek nieoczywistym, przyznaję, łańcuchu skojarzeń, podczas lektury tekstu z „New York Timesa", którego bohaterem jest niejaki Joseph Awuah-Darko. Ów pochodzący z Ghany młody artysta i kurator pod koniec 2024 r. opublikował na Instagramie dramatyczny film. Płacząc, wyznawał w nim, że cierpi na chorobę afektywną dwubiegunową, a swoim życiem jest już tak ekstremalnie zmęczony, że zdecydował się wyjechać do Holandii i wystąpić do tamtejszego rządu z wnioskiem o eutanazję. Zanim to jednak zrobi – dodawał w kolejnym poście – uruchamia niniejszym „projekt ostatniej kolacji". I oczekuje na zaproszenia od ludzi z dowolnego zakątka ziemi. Ktokolwiek zechce go ugościć, porozmawiać z nim, zapewnić mu mile (i smacznie) spędzoną godzinę lub dwie, może się, proszę bardzo, odezwać doń za pośrednictwem internetu.

Ogłoszenie wywołało gigantyczny odzew. Od jego publikacji minęło niemal 10 miesięcy, Darko zjadł już mnóstwo posiłków, poznał rzeszę ludzi, zwiedził kawał świata, jak również pozyskał, bagatela, ponad pół miliona obserwatorów na Instagramie. W międzyczasie okazało się jednak, że jego ghańska przeszłość wygląda zgoła inaczej, niż o tym pierwotnie opowiadał, że są tam niejednoznaczności i niejasności, łącznie z historiami domniemanych oszustw czy malwersacji.

Pojawiło się także sporo krytycznych głosów zarzucających mu nieodpowiedzialne i groźne propagowanie i romantyzowanie samobójstwa. Głosy te padały – i padają – zarówno ze strony ekspertów od zdrowia psychicznego, jak i osób cierpiących na chorobę afektywną dwubiegunową oraz ich bliskich. Holenderscy prawnicy podkreślają z kolei, że w przypadku Darko nie ma mowy o zgodzie na eutanazję, nikt mu jej bowiem w takich okolicznościach nie wyda. Zresztą on sam przestał o tym wspominać, zwłaszcza odkąd poznał mężczyznę, z którym postanowił się związać. Wskutek tego wszystkiego wielu obserwatorów, którzy wyjściowo przejęli się jego opowieścią, uznało, że wydarza się tu raczej jakiś specyficzny performens, nie zaś desperackie wołanie o pomoc.

Przyznam, że się z tymi zastrzeżeniami i zarzutami zgadzam. Intuicja mi podszeptuje nawet, że niebawem powstanie o Josephie Awuah-Darko jakiś serial, z cyklu tych, których mnóstwo wyroiło się ostatnio na platformach streamingowych. Fenomen Darko i podobnych mu postaci opiera się bowiem – i tu wracamy do Niziurskiego – na zastosowaniu jednego z takich niebywale skutecznych „sposobów". Wygląda on z grubsza następująco: przywdziej odpowiednią tożsamość, użyj odpowiednich słów kluczy, uderz w odpowiednie emocjonalno-ideologiczne struny, a wszystko, co zrobisz, zostanie natychmiast (oczywiście – do czasu) wyłączone spod wszelkiej krytyki. Ba, więcej nawet – stanie się *a priori* niekwestionowalne, każda zaś próba weryfikacji tego, co mówisz, nie wspominając o negacji, będzie automatycznie uznawana za formę represji.

Przy czym zjawisko to przechodzi w poprzek światopoglądowych podziałów. W środowiskach liberalno-lewicowych gwarancje stuprocentowej akceptacji daje dziś często identyfikacja związana ze zdrowiem psychicznym, etnosem, orientacją seksualną, tożsamością płciową etc. W kręgach prawicowo-konserwatywnych będzie to afiliacja religijna, patriotyzm albo przywiązanie do innych tradycyjnych wartości.

No dobrze, ale czy wobec tego istnieje jakiś sposób na... takie sposoby? Owszem, i to bardzo prosty. A mianowicie – przykładanie tych samych, jednolitych i przejrzystych kryteriów do każdego, bez żadnych, najmniejszych nawet wyjątków. Nasz on czy nie nasz, słuszny czy niesłuszny, katolik, lewak, gej, heteryk czy wręcz przeciwnie – jest to sprawa drugorzędna. Najpierw należy sprawdzić, czy mówi prawdę. Czy jest uczciwy i rzetelny, czy jego cierpienie / postawa / historia są autentyczne, czy też może po prostu opanował do perfekcji sztukę takiej lub innej „spony" – w efekcie szkodząc najbardziej właśnie sprawom, z którymi publicznie występuje. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

TYGODNIK POWSZECHNY



JESIEŃ NAJLEPSZA NA CZYTANIE

Ten sam Tygodnik – różne możliwości. Wybierz, jak Ci wygodniej.

DOSTAWA DO DOMU

Poczta Polska

- Prenumerata kwartalna: 190 zł
- Prenumerata półroczna: 367 zł
- Prenumerata roczna: 687 zł
- Prenumerata roczna z 4 wydaniami specjalnymi: 787 zł

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/sklep | Masz pytania? Zadzwoń! 668 479 075

ODBIÓR W PACZKOMACIE

InPost

- Prenumerata kwartalna: 189 zł
- Prenumerata półroczna: 366 zł
- Prenumerata roczna: 686 zł

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

RITHIKA GOPAL / UNSPLASH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA



Narodowy Instytut Fryderyka Chopina

XIX MIĘDZYNARODOWY KONKURS PIANISTYCZNY IM. FRYDERYKA CHOPINA WARSZAWA 2025

19TH INTERNATIONAL FRYDERYK CHOPIN PIANO COMPETITION WARSAW 2025

chopincompetition.pl

2-23 PAŹDZIERNIKA 2025

2-23 OCTOBER 2025

RP Patronat Honorowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Karola Nawrockiego

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MECENAS: ORLEN

PARTNER STRATEGICZNY: Bank Polski

PARTNER GŁÓWNY: TOTALIZATOR SPORTOWY

PARTNER ZŁOTY: PZU

WSPÓŁORGANIZATORZY: Warszawa; TVP; dwójka Polskie Radio; UMFC Uniwersytet Muzyczny Fryderyka Chopina

PARTNERZY: LEXUS; LOTNISKO CHOPINA WARSZAWA; emitel; YAMAHA; ROBERT DOBRZYCKI foundation; REGENT Warsaw Hotel; cloudware; eBilet; Filharmonia Narodowa; INSTYTUT ADAMA MICKIEWICZA

OFICJALNY PRZEWOŹNIK NIFC: LOT

PATRONI MEDIALNI: TVP KULTURA; 100 LAT POLSKIEGO RADIA; Polskie Radio Chopin; pap Polska Agencja Prasowa; ELLE; RZECZPOSPOLITA